

J A C E K   D Ą B A Ł A

złodziej; twarzy

RH<sup>+</sup>  
RESERSE

*Ali-Baba*

Jacek Dąbała

# ZŁODZIEJ TWARZY



## Rozdział I

Morderca był czarującym człowiekiem. Nazywał się Wiktor Szober i uchodził za niezwykle uzdolnionego lekarza. Kiedy pojawiał się w towarzystwie, rozstaczał wokół siebie zapach drogiej wody kolońskiej i emanował rzadko spotykaną uprzejmością. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ubierał się w najlepszych sklepach. Studia medyczne z wyróżnieniem ukończył w Nowym Jorku i w Warszawie. Cztery lata później w Wiedniu otrzymał tytuł doktora na podstawie pracy o przeszczepach skóry. Doktor Szober, ceniony chirurg plastyczny, znał większość najważniejszych ludzi w stolicy, poczynając od prezydenta, a kończąc na popularnych artystach. Nic nie zapowiadało, że kiedykolwiek zrobi coś złego.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat poślubił najładniejszą studentkę Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Szczęście małżeńskie przerwał jednak wypadek: samolot pilotowany przez doktora rozbił się o ziemię. Mąż i żona cudem uniknęły śmierci. Niestety, twarz Patrycji Szober na zawsze oszpecili blizny po oparzeniach. Po czwartej operacji doktor zmuszony był przyznać, że przegrał. Zniekształcona skóra wciąż pozostawała odrażająca. Gdyby nie fotografie, głos i piękne ciało, doktor nigdy nie rozpoznałby żony...

Przez wiele miesięcy oboje dodawali sobie otuchy. Czasami, jakby wbrew logice, to ona każda mu wierzyć w sukces operacji i namawiała do podjęcia kolejnej próby. Niestety, skóra, którą hodował z jej komórek, nie była przydatna: zawsze pozostawały blizny, brakowało brwi, rzęs, ust i nosa. Żadna rekonstrukcja dawnej urody nie była udana, dlatego doktor godzinami siedział w laboratorium i eksperymentował. Poświęcał wszystkie swoje siły i zdolności wynalezieniu lekarstwa, które hamowałoby odrzucenie przez organizm obcego ciała. Kiedy po raz kolejny okazywało się, że eksperyment zawodził, z wściekłości krzyczał i kopał w ścianę. Chyba właśnie wtedy niebezpiecznie zbliżył się do ostatecznej granicy...

Przełom pojawił się nagle. Preparat „MX”, którym doktor karmił laboratoryjnego szczura, zadziałał. Po operacji rany zwierzęcia szybko się zagoiły i stały prawie niewidoczne. Organizm nie odrzucił przeszczepu, a nowa sierść całkowicie zakryła ślady po skalpeli. Szczur zdechł dopiero siedem dni po odstawieniu leku. Wniosek

był prosty: bez regularnego zażywania „MX” przeszczep był odrzucany i następował zgon. Potem Szober zrobił coś, czego nie powinien, a mianowicie zoperował sobie fragment skóry na rękę. Wycięty kawałek zamroził i schował w lodówce. Trójkąt o równych dziesięciocentymetrowych bokach pobrał z ciała młodego mężczyzny oczekującego na sekcję zwłok.

Przez dwa miesiące doktor po kryjomu łykał preparat i obserwował przeszczep. Ręka przestawała boleć, a blizna kurczyła się szybciej, niż przypuszczał. Kobieta przeczuwała, że mąż ryzykuje, ale nie miała siły mu tego powiedzieć. Myślała wyłącznie o pozbyciu się swojej

szpetnej twarzy. Budziła się w nocy zlna potem, zasypiała i ponownie budziła. W jej głowie rodził się pomysł, którego nie chciała nazwać. Odkrycie doktora przyniosło obojgu nadzieję, ale także strach przed własnymi pokusami. Kiedy okazało się, że preparat działa, doktor zdecydował się dłużej już nie czekać.

Po śniadaniu usiadł w fotelu i przez chwilę udawał, że czyta gazetę.

- Wiesz, o czym myślę? - jego głos nie zabrzmiał naturalnie.
- Nie wiem - skłamała żona.
- To jest możliwe... - kontynuował, nie odrywając oczu od gazety. Chciał, żeby

przejęła inicjatywę.

- Co jest możliwe? - zapytała cicho.

Podniósł głowę. Kobieta zacisnęła zniekształcone powieki.

- Wszystko - odparł. - Znowu możesz być piękna. Jeżeli tylko tego chcesz...
- Boję się - tym razem powiedziała prawdę.
- Ja też - stwierdził drżącym głosem.

- Powiedziałeś profesorowi o swoim odkryciu? - zapytała cicho. Wierzyła, że ma jeszcze szansę i może zmienić swoje życie. Potrzebowała tylko impulsu.

- Nie, nie powiedziałem...

Tego się spodziewała.

- Nikt nie wie, co odkryłem. Tysiące ludzi czeka na to, a ja od kilku miesięcy trzymam wszystko dla siebie... Dopóki jesteś chora...

Nagle podniósł głos, jakby chciał się wytłumaczyć.

- A co mam zrobić? Pochwalić się i raz na zawsze zamknąć przed tobą drzwi?

Chcę, żebyś była piękna,

żebyś znów się śmiała. Nie zauważyłaś, że od wypadku nikogo nie zaprosiliśmy? Schowaliśmy się, bo nie chcemy straszyć ich twoją... - przerwał i pokręcił z niesmakiem głową. Wiedział, że się zagalopował.

- To nic. - Podeszła i objęła go od tyłu. Tak było lepiej. Nie widział jej i mógł

marzyć. - Chcę, żebyś był szczęśliwy; chcę, żebyśmy oboje byli szczęśliwi, kochanie...

Doktor Szober pocałował ją w rękę i po raz pierwszy od wielu miesięcy uśmiechnął się. Nagle przestał się bać i denerwować, jak gdyby słowa żony wyzwoliły go od wyrzutów sumienia i odpowiedzialności. Nie pamiętał już o naukach swojego profesora: „przede wszystkim nie krzywdzić”; odkrył nowe możliwości i nie zamierzał się nimi dzielić. Nie mógł. W końcu oboje mieli tylko jedno życie.

– Będzie dobrze - powiedział, sięgając ręką do jej rozpuszczonych włosów - o nic się nie martw...

Nawet jeżeli były to tylko słowa, to przynosiły ulgę. Oboje mieli nadzieję, że limit bólu w ich życiu raz na zawsze się wyczerpie.

Kłamstwo nabierało nowego znaczenia.

Julia Górską po raz ostatni uśmiechnęła się zalotnie do fotografa i z ulgą zeszła ze sceny. Po pięciu godzinach pracy była zmęczona i głodna. Bolały ją mięśnie i piekły oczy. Poza tym miała dość faceta, na którego twarzy malował się grymas cierpienia za każdym razem, kiedy wołał do niej, żeby była zmysłowa. Dziewczyna marzyła o karierze modelki. Dopiero zaczynała i jej zdjęcia ani razu jeszcze nie znalazły się na okładce. Doświadczone koleżanki powiedziały jej, że jest śliczna, ale zdecydowanie za stara. Dwadzieścia lat oznaczało w tej branży stryczek. Wytrzymywała jednak dziesiątki sesji z podrzędnymi fotografami, mając nadzieję, że w końcu ktoś ją zauważy. Fotograf pomachał jej ręką na pożegnanie, ale się nie odezwał. Dziewczyna poprawiła płaszcz, zarzuciła na ramię sportową torbę i wyszła na ulicę. Przypomniała sobie, że powinna pobrać pieniądze z bankomatu. Nie przypuszczała, że zaledwie kilka minut dzieliło ją od zwrócenia na siebie uwagi mężczyzny, który właśnie podjął najgorszą decyzję w swoim życiu.

Wiosenny wieczór pachniał jeszcze chłodem zimy. Wyprostowała szyję i charakterystycznym krokiem modelki skierowała się w stronę przystanku. O tej porze zaczynał się w telewizji mecz piłkarski i ulice były mniej zatłoczone niż zwykle. Potrząsnęła włosami, które zafalowały w świetle sklepowych wystaw. Na przystanku stały tylko trzy osoby. Młody mężczyzna z rękami w kieszeniach zataczał się obok słupa i głośno przeklinał. Domyśliła się, że nie mógł doczekać się na autobus. Dwoje starszych ludzi z laskami udawało, że go nie widzą. Ona również postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Chłopak jednak szybko ją dostrzegł.

– Fajna z ciebie dupa... - wybełkotał. - Jak się nazywasz?

- Słuchaj - starała się zapanować nad głosem - jestem zmęczona i spieszę się do domu...

- Co ty, ty, ty - chłopak zająknął się i zatoczył do tyłu - ja cię, kur...

Dziewczyna odwróciła się i zaczęła pospiesznie oddalać się od przystanku. Zerknęła do tyłu i zobaczyła, że pijany chłopak nie miał zamiaru zostawić jej w spokoju. Skręciła w boczną uliczkę i rozejrzała się za taksówką. Kilka razy pomachała ręką, ale nikt się nie zatrzymał. Większość kierowców śpieszyła na mecz. Zaczęła wyobrażać sobie najgorsze. Chłopak próbował ją dogonić. Zorientowała się, że pomyliła drogę i przez najbliższe kilkaset metrów nie znajdzie żadnego przystanku. Uliczka była wąska i mroczna. Ponownie spojrzała za siebie. Chłopak nie zrezygnował.

Czarna limuzyna zwolniła tuż obok niej i boczna szyba cicho zjechała w dół. Miły głos zapytał:

- Jakiś problem?

- No - zawahała się — ten chłopak...

Nie zdążyła pokazać palcem, ponieważ mężczyzna z samochodu przerwał jej:

- Proszę wsiadać, spróbujemy uciec...

Wsiadła odruchowo. Uprzejmy głos kierowcy wzbudzał zaufanie. Miał w sobie magnetyczną siłę przyciągania. Ruszyli bez pośpiechu. Dziewczyna spojrzała ukradkiem na nieznanego. Był przystojny i elegancko ubrany. W samochodzie ładnie pachniało. Poczula, że mężczyzna zaczyna ją interesować. Przestraszyła się i próbowała o tym nie myśleć. Nie było to jednak proste. Łagodny głos George'a Michaela unosił się we wnętrzu samochodu i uspokajał. Lęk gdzieś zniknął, a jego miejsce zajęła ciekawość.

- Dokąd panią zawieźć?

Jego wzrok był przenikliwy; zmieszała się.

- Może... - Nie była zdecydowana, co ma odpowiedzieć. Chciała, żeby to spotkanie trwało jak najdłużej. - Może...

- O tej porze nie jest w Warszawie bezpiecznie - stwierdził po prostu. - Właściwie to jestem już po pracy i mogę panią odwieźć do domu. Gdzie to jest?

- Na Wroniej - odpowiedziała z ulgą. - Tam mieszkam.

Po raz pierwszy uśmiechnął się do niej. Nie zauważyła, że kilka sekund wcześniej sięgnął do kieszeni i coś z niej wyjął.

- Przepraszam, poprawię pani zagłówek - odezwał się, sięgając w jej kierunku. - Proszę się trochę nacylić...

Uklucie igły było nagłe i bolesne. Trwało jednak bardzo krótko. Zanim zdołała

cokolwiek pomyśleć, straciła przytomność. Mężczyzna zatrzymał samochód koło najbliższego śmietnika i przez okno wyrzucił strzykawkę. Ruszył szybko, kierując się w stronę domu, gdzie czekała go kilkugodzinna ciężka praca. Na ciało dziewczyny starał się nie patrzeć. Zanim zaatakował, długo zastanawiał się, czy wziąć leki uspokajające. W końcu z nich zrezygnował. Musiał być w dobrej formie i zachować jasność umysłu.

Przed swoim domem zwolnił. Rozejrzał się, ale nie zobaczył nikogo znajomego. Wyłączył kompakt i otworzył pilotem garaż. Kiedy zamknęły się metalowe drzwi, spojrzął na twarz dziewczyny. Oparta o drzwi samochodu wyglądała tak, jakby przed chwilą usnęła. Dopiero teraz mógł stwierdzić, że była naprawdę piękna, a kształt jej głowy i owal twarzy miały odpowiednie proporcje. Wcześniej, w świetle latarni, nie był tego do końca pewien. Zwrócił tylko uwagę na zmysłowy chód dziewczyny i jej piękne włosy.

Opuszkami palców dotknął delikatnej skóry. Powoli wodził nimi po czole, rzęsach, policzkach, nosie i brodzie. W jemu tylko wiadomy sposób zapamiętywał załamania, naprężenia i jędrność. Przez moment pomyślał o bliźnowcach. Tego właśnie bał się najbardziej

– brzydka blizna mogła zniszczyć efekt każdej operacji. Teoretycznie wszystko było pod kontrolą, praktycznie natura od czasu do czasu lubiła sprawiać niespodzianki. W duchu modlił się o powodzenie. Choć przeprowadził setki symulacji komputerowych, nieraz zastanawiał się, jak będzie wyglądać kobieta, której przeszczepi twarz obcej dziewczyny... Był chirurgiem, który chciał dokonać cudu. Nowy wygląd miał pozostać tajemnicą przez ponad miesiąc. Nie było czasu na wykonanie zdjęć, ze- skanowanie i wprowadzenie wzoru na kości i mięśnie pacjentki. Pewny był tylko jednego: jego nieszczęśliwa żona, jeżeli przeżyje operację, będzie znów normalnie wyglądać. Koszmar i wstřet znikną.

Sala operacyjna na poddaszu willi czekała.

W chwili gdy Julia Górská ostatecznie traciła życie i swoją piękną twarz, prokurator Robert Mann upuścił czajnik i ukrop wylał mu się na buty. Wtedy nie wiedział jeszcze, że śmierć tej kobiety okaże się dla niego ważna. Woda spływała i rozlała się wokół. Mann odskoczył, usiadł na podłodze i nerwowo zaczął szarpać cienkie sznurówki. W duchu modlił się, żeby stopy były całe. Na szczęście wrzątek nie pozostawił na nich śladu. Potem pojawiło się niewytłumaczalne napięcie. Nagłe i nieprzyjemne. Tak jakby ktoś zza okna wołał o pomoc. Czasami to się zdarzało. Nie potrafił tego wytłumaczyć. Miewał wówczas wrażenie, że dostrzega się o czymś, co działo się poza jego świadomością; jakby czytał w

myślach o wyroku, który miał dopiero zapaść. Tym razem było podobnie. Prokurator wyprostował się i odruchowo zaczął nasłuchiwać. Poprawił szelki, na których zwisła pod pachą beretta, oparł rękę na okiennej klamce i cierpliwie czekał. Opuszki jego palców bębniły w szybę. Gdyby w tej chwili ktoś go zapytał, co czuje, odpowiedziałby, że absolutnie nic. Zawsze tak odpowiadał - zgodnie z prawdą, chociaż nikt mu nie wierzył.

Wszystko zmieniło się po wypadku. Kilkanaście lat temu ukończył studia prawnicze z wyróżnieniem i wiózł swoich rodziców do dziewczyny, którą zamierzał poślubić. Na peryferiach Warszawy uderzył w nich wypakowany sokami tir i wszystko się nagle skończyło. Rodzice Roberta Manna zginęli na miejscu, a on sam przez dwa miesiące na przemian odzyskiwał i tracił przytomność. Potem zauważył, że jego uczucia się wypaliły. Od tamtej pory nie potrafił się bać i rezygnować z nadmiernego ryzyka. Wtedy właśnie zaczął okłamywać sam siebie i grać przed otoczeniem wesołego człowieka, który na wszystko znajdował ironiczną odpowiedź. Chodził na wyścigi, na nocne maratony do kina, zaglądał do klubów i dyskotek, i regularnie trenował krav magę. Przede

wszystkim jednak skrupulatnie przygotowywał się do zawodu prokuratora.

Teraz jego uwagę przykuł śmietnik. Jeżeli coś miało się wydarzyć, to właśnie tam. Wpatrywał się w zasłonięty krzewami blaszak. Sekundy mijały i nic się nie działo. Raz jeszcze popatrzył na migające światłami nocne miasto i powoli odwrócił się w stronę leżącego na podłodze czajnika. Wiedział, że przeczucie nie pojawiło się bez powodu. Dziesiątki razy przekonał się, że instynkt rzadko go zawodził. Był jak gąbka, która nasiąkała wszystkimi zapachami. Może dlatego, sprawiając niespodziankę losowi, cofnął się nagle i raz jeszcze wyjrzał na zewnątrz. Teraz coś zobaczył.

Było ich trzech, nieśli dużą torbę. Nierzucającą się w oczy i wygodną jak fotel dentystyczny. Przypomina trumnę - pomyślał. Przez chwilę wydało mu się, że gdzieś ich już widział. Zastanawiał się, czy go zauważyli. Na tle oświetlonego okna musiał być widoczny nawet z dwustu metrów. Ale jeżeli tak było, nie dali tego po sobie poznać. Szli pewnym krokiem w kierunku klatki schodowej.

Kiedy zniknęli w budynku, Mann przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu kości. Popatrzył na swoje odbicie w szybie i poprawił ręką włosy. Nie wystarczyło mu to, dlatego wyjął z kieszeni spodni mały grzebień i szybko się przeczesał. Przed miesiącem skończył trzydzieści pięć lat i wydawało mu się, że młodość ma już za sobą. W dodatku nie był zbyt przystojny... Miał metr siedemdziesiąt wzrostu, przerzedzone owłosienie i nieproporcjonalną sylwetkę. Na pomarszczonej twarzy



widać było

nieprzespane noce. Kobiety, które mu się podobały, nie zwracały na niego uwagi. Był dla nich równie niewidoczny jak śmietnik, słup lub dach wieżowca. Spojrzał na swoje czarne spodnie, niebieską koszulę i krawat - teraz to im przede wszystkim groziło poważne niebezpieczeństwo. O twarz się nie martwił, nic jej nie mogło zaszkodzić.

Odbezpieczył berettę i podszedł do krzesła, na którym wisiała jego marynarka. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął nielegalny tłumik, zawahał się, po czym schował go z powrotem. Usłyszał odgłos zatrzymującej się windy. Powoli wszedł do przedpokoju. Przez moment zastanawiał się czy zadzwonią i strzelą przez drzwi, czy też spróbują je cicho otworzyć. Rozległo się stłumione pukanie. Ktoś nie mógł się zdecydować czy szybko załatwić sprawę i uciec, czy też udawać sąsiada. Mann wykrzywił pogardliwie usta. Na swój sposób zrobiło mu się lżej. Każdy osiłek był mniej lub bardziej przewidywalny. Przypominał radio nastawione przez pięćdziesiąt lat na tę samą stację.

Drzwi drgnęły i do środka wsunął się wielki, barczysty dwudziestolatek w czarnej skórze. Prokurator stał za wąską ścianką w pokoju i z półmroku przyglądał się przybyszom. Żadnego z nich nie znał. Pierwszy i ostatni trzymali w rękach pistolety z tłumikami; środkowy stanął nieco z tyłu i cicho postawił torbę na podłodze. Widać było, że zamierzali szybko zakończyć wizytę. Ręka z pistoletem wsunęła się do pokoju. Na przegubie błysnął złoty zegarek. Kiedy beretta Manna dotknęła lufą wygolonej głowy, wszyscy znieruchomieli.

- Strzelić? - zapytał prokurator. Starał się zapamiętać, że został napadnięty i powinien zadzwonić po policję.

Twarz wielkoluda skurczyła się, a oczy mocno zacisnęły. Rozległo się coś w rodzaju westchnienia.

- Nie mówcie mi tylko, że wpadliście się ostrzyc - głos Manna zabrzmiał jak fragment dialogu z filmu sensacyjnego. Czuł się zwolniony z odpowiedzialności.

Mężczyźni w korytarzu zamarli w głupim milczeniu. Bali się i próbowali to ukryć.

- Dogadajmy się - pierwszy odezwał się ten z torbą. Miał szeroką twarz i długie, równo przycięte bokobrody. - Nie strzelaj...

- Musicie mnie uspokoić - przerwał Mann.

Prawie w jednej chwili oba pistolety spadły na podłogę.

- Może być? - zapytał ten z lufą przy skroni.

- A możecie położyć się na podłodze? - Mann docisnął pistolet, starając się nie

spuszczać z oka dwóch pozostałych.

Mieli jednak dość. Posłusznie położyli się na brzuchu i z własnej woli założyli sobie ręce na plecy. Jak w telewizji. Prokurator pokazał lufą, że wszyscy trzej mają się zmieścić w korytarzu. Kiedy ostatni doczołgał się na miejsce, Mann usiadł na krześle i w milczeniu zaczął się im przyglądać. Sprawiał wrażenie kogoś, kto zastanawia się, jaki wymiar kary zaboli bardziej niż śmierć. Cisza stawała się nieznośna.

– Przymknąłeś naszego kumpla... - przerwał milczenie ten od torby.

Mann ze zrozumieniem pokiwiał głową, ale się nie odezwał. Osiłki wymienili znaczące spojrzenia. Dopiero teraz zaczynali się naprawdę bać. Nie tak wyobrażali sobie napad i reakcję prokuratora.

– Jak się nazywasz? - Mann zadał nudne pytanie. Ten, który wszedł ostatni, spojrział ponuro i nie odezwał się.

– Zrobisz sto pompek.

– Klicki - odpowiedział, ponieważ zaskoczyło go zachowanie prokuratora.

– Sto pompek - powtórzył Mann.

Klicki z wrażenia aż otworzył usta. Jego wygolona czaszka i czerwony nos prawie zamieniły się miejscami. Dwaj pozostali zmarszczyli brwi i spojrzeli po sobie. Tamten nie czekał dłużej, podniósł się na rękach i w równym tempie zaczął robić pompki.

– Cicho! - Mann zawiesił na pozostałych przezroczyście spojrzenie. Beretta wciąż spoczywała w prawej dłoni, a palec leżał na spuście. Słysząc było miarowe sapanie Klickiego.

– Odbiło ci? - zapytał niepewnie najwyższy z nich. Jego broda dotykała podłogi, a słowa ledwie przecisnęły się przez gardło.

– Lubicie muzykę?

To pytanie jeszcze bardziej ich zaniepokoiło. Teraz byli już pewni, że trafili pod zły adres.

– Ja lubię - odparł barczysty.

– A jak się nazywasz? - Mann wydał się nagle bardzo zainteresowany. Nawet lekko się pochylił. W tym momencie przypominał dziecko i to właśnie było najgorsze.

– Furtak - odpowiedział szybko tamten.

– Hubert Janiak - dodał trzeci, widząc pytające oczy Manna. Bali się, że szalenciec straci nad sobą panowanie.

– A teraz chcę, żebyście zaczęli mruzczyć. Waszą ulubioną melodię -

zdecydował prokurator.

Dopiero później obliczył, że w tym samym czasie Julia Górską, już bez twarzy, zapakowana w foliową torbę, jechała w obszernym bagażniku czarnej limuzyny. Melodyjne mruczenie wkradało się w coraz cięższe i głośniejsze sapanie Klickiego. But prokuratora wystukiwał rytm ich ulubionej piosenki, a spojrzenie miało nienaturalnie uduchowiony wyraz.

– Sto... - wysapał Klicki i zwał się wykończony na podłogę. Pozostali mrużeli nadal.

– Rozbieraj się - polecił krótko Mann.

– Co? - wyrwało się zaskoczonemu Klickiemu.

– Do naga. A ty, Furtak, staniesz przy drzwiach na rękach... - Prokurator podrapał się beretką w ucho. - Zobaczymy, czy spociałeś się pod pachami.

Po kilku minutach wszyscy trzej stali nadzy. Prokurator milczał i sprawiał wrażenie kogoś, kto nie ma zamiaru położyć się spać. W końcu Janiak pierwszy nie wytrzymał i schylił się z wściekłością po slipki.

– Nie strzelisz - warknął przez zaciśnięte usta.

Mann poruszył tylko brwiami. To wystarczyło, żeby

Janiak zawahał się i zeszytniał. Zobaczył oczy, które w tym momencie należały do świata komiksu.

– Możecie iść - stwierdził nagle prokurator. - Ubrania odbierzecie jutro na portierni w prokuraturze.

Dłużej nie czekali. Wybiegli z mieszkania, zasłaniając rękami przyrodzenia. Przeklinali Zygmunta Rolkę

zwanego „Bonasera” - człowieka, który ich wysłał, żeby nastraszyli prokuratora.

Wszyscy trzej nie mogli dojść do siebie po fackie, że tak po prostu ich wypuszczono. Kiedy wsiedli do samochodu, Klicki sięgnął do skrytki po telefon komórkowy i wybrał numer. Wjechali na szosę prowadzącą do Piaseczna.

– Szefie, to ja. Nie udało się. - Gdyby nie ciemności, pozostali zobaczyliby, że twarz Klickiego staje się śmiertelnie biała. - No, zaskoczył nas... Musimy się najpierw ubrać... Nie, zabrał nam ciuchy... Facet ma świra... Tak, zaraz będziemy. - Odłożył słuchawkę. - Mamy do niego jechać. Na waleta...

– Świrujesz? - jęknął Furtak.

– Nie powiedziałem ci najlepszego - zaśmiał się złośliwie Klicki. - Chce, żebyśmy tak weszli na bankiet.

– Ja nie jadę - wściekł się Janiak. - A kto tam jest?

– Nie wiem - Klicki nie próbował nawet kłamać. - Na pewno jego żona i

córka...

- Niecee... - Jęk Furtaka przypominał skrzypnięcie drzwi w prosektorium. - Mają się na nas gapić? Szef przegina...

- Może mu o tym powiem? - Janiak miał w oczach chorobliwą złośliwość.

Wszyscy trzej nie mieli jeszcze pojęcia, że swoją nieudolną akcją zmusili „Bonasere” do wykonania jednego z najtrudniejszych telefonów w życiu.

- Prokurator Mann? - pytanie było raczej retoryczne.

- Tak, to ja - odpowiedź zabrzmiała sennie.

- Mówi Rolka. Zygmunt Rolka... - Męczyzna sprawiał wrażenie lekko spiętego. Były to jednak pozory. Tak naprawdę powstrzymywał wściekłość.

- Pamiętam - odparł krótko Mann.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że jestem pana dłużnikiem - głos „Bonasery” zabrzmiał naprawdę szczerze.

- Tak? - Mann stawiał pytania w sposób bolesny i wymagający cierpliwości.

- Moi ludzie pomylili drzwi - wyjaśniał cynicznie gangster. - Chodziło o „Pelerynę”...

- Wiem, kim jest „Peleryna” - uciął Mann. - Spędzi w więzieniu kilka ładnych lat.

- Nie naciskam - wtrącił „Bonasera”. - Skreślam go.

- Dlaczego pan zadzwonił? - zapytał prokurator, sadowiac się wygodnie w miękkim fotelu. Zrobiło mu się błogo i przymknął oczy.

- Bo nie chciałem, żeby pan zadzwonił pierwszy - wytłumaczył gangster. - Wyciągam rękę do zgody. Może przyjdzie dzień, kiedy się na coś przydam... Nigdy nie wiadomo. Życie jest coraz trudniejsze, a o przyjaciół nielawo.

- Przeprosiny przyjęte. - Prokurator ziewnął obok słuchawki. - A tak z ciekawości: a gdyby ci trzej nie pomylili drzwi?

- No cóż... - „Bonasera” zastanawiał się. - Mieli pana pożegnać w imieniu „Peleryny”.

- Czyli... - wtrącił chłodno Mann.

- Uparty z pana człowiek... - głos „Bonasery” wcale nie zabrzmiał sympatycznie. - Pożegnać to pożegnać. Widocznie co innego nam obu pisane. Może się zaprzyjaźnimy...

- Na pewno... - Mann nawet nie uchylił powiek. - Dobranoc.

Miał dość tej dziwnej rozmowy i chciał się zdrzemnąć. Poza tym wyobraził sobie, że w pokoju pojawiła się dziewczyna z dużym biustem, w czarnych pończochach. Tak naprawdę wystarczyłyby mu tylko pończochy na jej nogach, takie z koronką

na udach.

– Będę o panu pamiętał - skończył „Bonasera” i odłożył milczącą słuchawkę. Prokurator odchylił głowę do tyłu i usiłował zasnąć. Dopiero teraz poczuł zaniepokojenie. Znał większość interesów „Bonasery” i od lat na niego polował. Na swój sposób dobrze się znali. Przemyt kradzionych samochodów, alkoholu i papierosów pozwolił tamtemu zdobyć i częściowo zalegalizować olbrzymi majątek. Mann słyszał, że wrogowie nazywali „Bonasere” wariatem. Miewał pomysły lepsze niż mafiosi pokazywani w filmach. Podobno gangster osobiście betonował kończyny swoich wrogów w czterech miskach i z takimi „butami” i „rękawiczkami” wrzucał ich do wody. Uwielbiał patrzeć, jak starali się płynąć z pięciokilogramowymi ciężarami na rękach i nogach. Mówiono, że „Bonasera” miał zwyczaj grać wtedy na gitarze smętne i chwytające za serce melodie. Przeważnie Stanisława Grzesiuka. W takich momentach niemilosiernie fałszował.

Prokurator postanowił nikogo nie zawiadamiać. Szkoda mu było czasu. Poza tym wierzył, że już wkrótce zdobędzie dowody, które pozwolą mu aresztować całą organizację „Bonasery”. Sprawa, nad którą od kilku lat pracował, dobiegała końca. Aresztowany „Peleryna” był zaledwie jednym z elementów mafijnej układanki. Siedział i mógł co najwyżej słać rozpaczliwe prośby o wyciągnięcie go na wolność. Niestety, mógł też kupić sobie życie prokuratora.

Głęboka noc zabarwiła niebo na granatowo. Na peryferiach Warszawy zgłosił ostatecznie życie początkującej modelki - Julii Górskiej. Jej młodą twarz zabrał ktoś inny, a martwe ciało otulił czarny foliowy worek. Nic nie zapowiadało, że tajemnica kiedykolwiek wydobędzie się na światło dzienne. Rzeka miała ostatecznie zatrzeć ślady.

## **Rozdział II**

Nadszedł ważny dzień. Patrycja Szober po raz pierwszy miała spojrzeć w lustro. Z niecierpliwością czekała na ten moment. Kiedy minęła pooperacyjna słabość i mąż odłączył ją od kroplówki, odetchnęła. Wiele razy wydawało jej się, że umiera. Śniła o strasznych miejscach i odrażających ludziach. Wszyscy byli umazani krwią i przypominali polacie czerwonego mięsa u rzeźnika. Chciała to przerwać i zapomnieć, ale sen uparcie powracał. Pociła się, dostawała drgawek, krzyczała i błagała o litość. Nikt jednak nie potrafił jej pomóc. Środki uśmierzające ból i głos męża z trudem broniły ją przed szaleństwem. Zmuszała się do walki. Chciała czuć się potrzebna i piękna. Tęskniła za nowym życiem, spacerami po mieście i kolacjami w dobrych restauracjach. Nie wierzyła, że obrzęk z jej twarzy zniknie już po czterech dniach, a ostatnie siniaki po dwóch tygodniach. Czekwała na

najgorsze. Pewnego dnia jednak ból zgasł i otworzyła oczy. Uświadomiła sobie, jak bardzo chce żyć. Patrzyła w sufit i czuła na twarzy ciężar opatrunków. Zauważyła stojak z kroplówką i lekko uniosła głowę. W jej ręce tkwiła igła i plastikowa rurka, przez którą wolno kapą lekarstwo. Rozejrzała się z wysiłkiem, dostrzegając także stoły i urządzenia przeznaczone do operacji chirurgicznych. Stały w rogu pokoju przykryte białymi prześcieradłami. Obok niej znajdował się stolik, którego nie pamiętała. Zauważyła na nim lekarstwa i talerz z jedzeniem. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające pola, łąki i nastrojowe małe miasteczka, a na drewnianej kolumnie blisko drzwi kołysał się olbrzymi bukiet świeżych kwiatów. Po chwili jej spojrzenie natrafiło na mosiężny dzwonek. Stał w zasięgu ręki, wśród buteleczek z lekarstwami. Kiedy zadzwoniła, jej uszy zarejestrowały przejmujący dźwięk metalu. Zmęczona opadła na poduszkę. Usłyszała szybkie kroki na schodach i po chwili do pokoju wbiegł jej mąż.

- Nareszcie... - szepnął. - Już po wszystkim.
- Chciałam... - Mówienie przez opatrunki nie było łatwe. - Czyja umierałam?
- Nie żartuj. Jesteś okazem zdrowia - zaśmiał się doktor. Prawie mu uwierzyła.
- Co się stało? - wyszeptwała. Usta zdawały się obce i zbyt grube.
- Opuchlizna już prawie zniknęła - wyjaśnił. - Teraz wszystko pójdzie szybko. Zmieniamy lekarstwa. Mocne idą na półkę. Gdyby cię coś bolało, weź to... - Pokazał palcem kolorowe opakowanie.
- Czy... czy operacja... czy... udała się? - wydusiła z siebie. Nie mogła się powstrzymać.
- Oczywiście - zapewnił ją z szerokim uśmiechem. - Wszystko przebiegło zgodnie z planem.

Doktor nie wspomniał o kłopotach, jakie miał z własną kondycją. Nie powiedział o setkach drobnych czynności w czasie operacji, które musiał wykonywać całkowicie sam. Urządzenia, które zgromadził w pokoju na poddaszu, wymagały stałej obserwacji, podczas gdy on musiał się równolegle skupić na przeszczepie. Przez wiele godzin pracował w poczuciu narastającej przegranej. Wydawało mu się, że o czymś zapomni, że czegoś nie zauważy i zwali się na niego kolejne nieszczęście. Kiedy serce Patrycji zaczęło gwałtownie przyspieszać, a ciśnienie skoczyło prawie do dwustu, sam musiał opanować sytuację. Zdjęcie skóry z twarzy Julii Górskiej zajęło mu godzinę. Precyzyjnie oddzielał wszystkie warstwy, starając się niczego nie uszkodzić. Całość zawiązał w dużą serwetę nasączoną solą fizjologiczną. Później

zabrał się do ściągania zniekształconej bliznami skóry z twarzy żony. W głowie pulsowały mu wcześniejsze pomiary, dane i symulacje. W czasie operacji cicho pogwizdywał. Potem robiło się coraz gorzej. Zmęczenie o mało go nie zabiło. Pod koniec słaniał się na nogach i coraz częściej opierał o stół. Kiedy nadszedł największy kryzys, musiał wykonać najtrudniejszą część planu. Robił to milimetr po milimetrze, jakby chciał zatrzeć w pamięci fakt, że pracował już wiele godzin i nikt go nie zastąpił. Na odsłoniętej tkance twarzy żony układał skórę czoła i policzków. W napięciu modelował także fragmenty oczu, nosa i ust. Najtrudniejsza część operacji: podłączenie nerwów czuciowych nadoczodołowych, podoczodołowych i bródkowych - kosztowała go niemalże utratę przytomności. W porównaniu z tym przyszywanie skóry do mięśni było jak wycięcie zwykłego kaszaka. Na końcu połączył śluzówkę w jamie ustnej, modląc się, żeby wszystko poszło dobrze. Chciał, aby jego żona miała piękne, pełne usta, które mógłby całować lub po prostu na nie patrzeć. Wiedział, że to właśnie ostatecznie mogło zdecydować o urodzie i każdy błąd

mógł wszystko zepsuć. Owal dziurek nosa, nienaturalne drgania powiek czy sztuczny grymas zagrażały starannie przemyślanej wizji. Im bliżej było do końca operacji, tym częściej musiał opierać ręce, aby chociaż przez kilka sekund odpoczęły. Opinaki, peany i pęsety wirowały mu w oczach, a imadło do zszywania raz omal nie wypadło mu z ręki.

Nie zdradził żonie, że tylko w przybliżeniu wiedział, jak będzie wyglądała po operacji. Obraz na komputerze pokazywał kobietę ładną, ale pozbawioną życia. W precyzyjnej maszynie komputera była to doskonała, wielowymiarowa fotografia. W rzeczywistości jednak miała ona przecież mówić, śmiać się, płakać i robić miny. Wiktor Szober tysiące razy obracał komputerową głowę, sprawdzał wyliczenia i przewidywał naciągnięcia skóry na czaszce. Chciał wierzyć, że jego ręce wyczarują to, co tak dobrze zaplanował w komputerze. Kiedy uznał operację za zakończoną, położył się na fotelu obok stołów, na których leżały jego żona i zamordowana studentka. Zdążył tylko zdjąć gumowe rękawice i natychmiast zasnął snem śmiertelnie zmęczonego człowieka. Ostatnią myślą, jaka przebiegła mu przez głowę, była nadzieja, że pacjentka nie umrze w czasie jego snu.

Patrycja patrzyła sztywno w sufit i cierpliwie czekała, aż mąż zakończy badanie. Udawała, że jest przygotowana na wszystko. Najbardziej denerwowała się, gdy obserwował i dotykał szwów. Mimo że robił to bardzo delikatnie, wydawało jej się, iż za każdym naciśnięciem skóra na jej twarzy się odrywa. Kilkakrotnie zapytał ją, czy cokolwiek czuje. Niektóre dotknięcia czuła wyraźnie, inne słabiej

lub wcale. Odetchnęła, kiedy pokiwał

z zadowoleniem głową. Dopiero wtedy dał jej lusterko. Oparła je o brzuch i nie podnosiła ręki. Bała się tego, co zobaczy. Szober nie spuszczał z niej oczu. Uśmiechał się, widząc idealnie zrastające się szwy i brak obrzęku. Doktor przeżywał ten dzień w wyjątkowy sposób. Dopiero teraz mógł naocznie stwierdzić, że operacja się udała, a jego żona znów stała się piękna.

Odkrył ku swojemu zaskoczeniu, że nowy wizerunek zaczyna mu się podobać i na swój sposób nawet podniecać. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jej pragnie - i zmieszał się. Ona jednak tego nie zauważyła. Myślała tylko o własnej twarzy. W końcu podniosła lusterko i spojrzała w nie ze strachem. Przez kilka minut w pokoju panowała całkowita cisza. Doktor miał nadzieję, że żona zaakceptuje jego pracę i szybko zapomną o koszmarze, jaki przeżyli. Pragnął tego, ponieważ coraz częściej musiał sięgać po butelkę z alkoholem. Pozwalało mu to na krótko dojść do siebie i stłumić złe wspomnienia. Wtedy przestawał widzieć oczy zamordowanej dziewczyny i skórę z jej twarzy w swoich rękach...

- To nie jestem ja... - takie były pierwsze słowa Patrycji. W pierwszym momencie nie zwrócił na nie uwagi.

- Coś nie tak? - zapytał.

- To nie jest moja twarz - powtórzyła żona, podnosząc na niego puste oczy. Nigdy wcześniej nie widział kogoś tak bardzo zdziwionego.

- Kochanie, to jest teraz twoja twarz - powiedział z naciskiem. Usiadł na łóżku i wziął ją za rękę. - Te cienkie blizny będą prawie niewidoczne. Wyglądasz wspaniale... Patrycjo, znów jesteś piękna i wszyscy będą za tobą szaleć...

- Dziwnie się czuję... - westchnęła kobieta, odkładając lusterko. - Wydaje mi się, że mieszka we mnie ktoś obcy.

- Woląłeś tamten koszmar? - zdenerwował się doktor. Zdarzyło się to, czego obawiał się najbardziej nie tylko on, ale każdy chirurg plastyczny: reakcja pacjenta po operacji.

- Zaczekaj chwilę... - Wyszedł na minutę i wrócił ze zdjęciem zniekształconej i pokrytej bliznami twarzy. Fotografii wcisnął jej w rękę. - O to chodzi? Chciałabyś nadal tak wyglądać?

- Boże... - Rozpląkała się i bezwiednie zmarszczyła twarz. Bólu prawie nie poczuła. - Ja... ja sama nie wiem... Nie chcę tego zdjęcia, słyszysz? Spal je! Nie chcę tego, co było - krzyczała na całe gardło. - Nie wiem, co się ze mną dzieje!

Pochylił się i przytulił ją. Czuł, jak drżała. Jego ręka gładziła jej plecy, a usta całowały cienką bliznę przy uchu.



- Wszystko minie - odezwał się spokojnym głosem. - To chwilowy szok. Jak po porodzie... *Słyszysz mnie?* To szok. Musisz się przyzwycząić. Nie podobasz się sobie?

- Ale to nie jestem ja... - nowy spazm wstrząsnął ciałem Patrycji.

- Co ty opowiadasz? - zaprzeczył łagodnie doktor. - To ty, tylko odmieniona... Kochanie, przecież ludzie codziennie zakładają nowe buty, nowe ubrania, zmieniają kolor paznokci, wstawiają sobie zęby, farbują włosy, zmniejszają nosy, likwidują zmarszczki na szyi... Chyba nie muszę ci tego wszystkiego mówić. Osobiście zrobi

łem parę setek brzuchów, ud, pośladków i piersi. Czy ty myślisz, że silikonowe wkładki zmieniają człowieka, że nie jest już ten sam? Bzdura. Nie zoperowałem ci mózgu, tylko twarz. Po prostu zmieniłaś wygląd, nic więcej. No i kocham cię, słyszysz? To jest najważniejsze!

- Przepraszam - próbowała się uspokoić. - Na pewno się przyzwyczaję. Masz rację, jestem głupia. Tylko...

- Czego się jeszcze boisz? - wtrącił i wyprostował się.

- Ta twarz... - zaczęła opornie. - Ta twarz nie jest ani moja, ani... - Patrzyła na niego tak, jakby zamierzała skoczyć z dziesiątego piętra.

- Oczywiście - roześmiał się niemalże szczerze. - Jesteś zupełnie nową kobietą. Tą samą, a zarazem cudownie odmienioną. Tamta osoba już nie istnieje. Nie ma jej, nigdy się nie urodziła. Ta twarz należy wyłącznie do ciebie, zawsze należała...

- I podobam ci się? - zmieniła nagle temat. Nie miał czasu pomyśleć, czyją przekonał. Znow była opanowana i przypominała dawną Patrycję.

- Bardzo - potwierdził szybko. - Tak bardzo, że chcę się z tobą kochać. Natychmiast i bez gadania...

- Naprawdę? - wydawała się zaskoczona. - Nie udajesz?

Doktor wstał i Patrycja zobaczyła, że nie przesadzał. Uśmiechnęła się i powoli odsunęła koldrę.

Dwa dni później mąż poinformował ją o niespodziance. Siedziała właśnie w salonie, oglądała telewizję i piła rozpuszczalną kawę, kiedy przed jej nosem pojawił się olbrzymi bukiet róż. Zapach kawy i kwiatów przyjemnie zakręcił jej w głowie. Szober wyglądał uroczyście

i bardzo tajemniczo. Założył czarny garnitur, nowe buty, nowy krawat i koszulę. Ostrzygł się krócej niż zwykle i pachniał dobrą wodą kolońską.

- Niespodzianka, kochanie. - Szober zachowywał się tak jak dawniej. Był rozluźniony i dowcipny. Intensywny zapach nie pozwolił jej poczuć od niego

alkoholu. Nie miała pojęcia, że od rana wypił już ćwiartkę czystej wódki i wcale nie miał zamiaru na tym poprzestać.

– Chcesz mi coś powiedzieć? - udawała, że jest w dobrym nastroju i nic jej nie dolega.

– Sprzedałem ten dom i wyprowadzamy się - powiedział zadowolony. - Przeszłość zostawiamy za sobą. Tam, gdzie się przenosimy, wszystko jest nowe. Ubieraj się i zapomnij, że kiedykolwiek tu mieszkałaś.

– Sprzedałeś ten dom?... - spytała z niedowierzaniem. - Bez porozumienia ze mną?

– Tak właśnie zrobiłem, kochanie - potwierdził doktor. - To moja niespodzianka...

– No ale ja muszę się spakować - próbowała oponować. - Moje ubrania, kosmetyki, obrazy...

– Po to wszystko przyjadę wieczorem - powiedział bez wahania. - Ekipa jest już umówiona. Chodźmy stąd!

Właśnie zamierzał wyłączyć telewizor, kiedy na ekranie pojawił się czarny foliowy worek leżący na brzegu rzeki. Ze środka wystawała ręka. Wokoło kręciło się kilkunastu policjantów, a w oddali stała grupka gapiów. Nie musiał słuchać dziennikarskiego komentarza. Wiedział, kim była kobieta w worku. Poczul dreszcz przerażenia. Wiedział również, że żona wpatruje się w obraz. Pokonał sztywność i zdecydowanym ruchem wyłączył

telewizor. Potem oboje wstali i skierowali się do łazienki. W milczeniu patrzyli na swoje odbicia w lustrze. Odruchowo, jakby szukali zajęcia i chcieli powstrzymać mdłości, sięgnęli po pastę. Orzeźwiający smak przywodził na myśl dzieciństwo i brak problemów. Na kilkadziesiąt sekund oderwali myśli od telewizyjnej wiadomości. Kiedy wyplukali usta, Patrycja spojrzała na męża i szepnęła:

– Jedźmy już...

Robert Mann marzył o wielkiej miłości. Nie przyznawał się do tego, ale tak właśnie było. Nawet wtedy, gdy z dna Wisły koparka wyciągnęła foliowy worek ze zwłokami młodej kobiety. Wezwano go w środku dnia. Zastanawiał się właśnie, jak powinna wyglądać jego przyszła żona, kiedy zadzwonił telefon. Na cyfrowym pulpicie granatowego aparatu wyświetlił się numer znajomego policjanta. Pół godziny później prokurator Mann stał nad zwłokami i zbierał pierwsze informacje. Przyglądał się napuchniętym i zniekształconym fragmentom ciała. Jego ciekawość eksplodowała dopiero wtedy, gdy okazało się, że dziewczyna nie ma twarzy. Lekarz obejrzał się w stronę prokuratora i wymownie pokazał miązgę z przodu

głowy.

- Dziwne, prawda? - zapytał.

Za ich plecami toczyła się walka z telewizyjnymi ekipami. Każdy z reporterów chciał jak najszybciej otrzymać informacje o zbrodni. Przepychali się i wołali w kierunku zaprzyjaźnionych policjantów.

- Nie ma twarzy - stwierdził sucho prokurator. - Szczury?

- Nie wiem jeszcze, ale to mało prawdopodobne - odparł lekarz. - Szczerze mówiąc, wygląda mi to na robotę cholernie inteligentnego szczura... Tak jakby wiedział, czego chce, i zajął się wyłącznie twarzą. Taki szczur-sma- kosz...

- Pewnie ma pan rację - odparł Mann, nie reagując na cynizm lekarza. - Kiedy będzie pan wiedział coś więcej?

- Jutro - odpowiedź była tak samo konkretna jak zwłoki na piasku.

Prokurator pochylał się i raz jeszcze obejrzał ciało. Dokładnie, centymetr po centymetrze. Zrobił, co do niego należało, i skierował się z powrotem do samochodu. Kiedy przedzierał się przez tłum gapiów, ktoś szarpnął go za ramię i zawołał:

- Prokurator Mann?

- Tak, to ja - potwierdził, odwracając głowę. Przed nim wyrosła długonoga blondynka z okrągłymi okularami na nosie. Rzucił okiem na logo stacji przyklejone do kamery.

- Co może pan powiedzieć na temat zwłok wyłowionych z rzeki? To morderstwo czy samobójstwo? - zapytała dziennikarka, rezolutnie potrząsając głową. Mikrofon wyrósł tuż przed twarzą prokuratora.

- Pierwsze informacje będę miał dopiero jutro. Na razie nic pewnego nie mogę powiedzieć - wyrzucił z siebie zgrabną formułkę. W jednej chwili kilka dodatkowych mikrofonów pojawiło się w pobliżu.

- Co pan powie o twarzy tej kobiety? - nie dawała za wygraną blondynka w okularach.

- Cóż, ona nie ma twarzy - powiedział zgodnie z prawdą. - W miarę postępów w śledztwie będę państwa informował o wynikach. Do widzenia.

Mann odwrócił się i szybko ruszył w stronę swojego samochodu. Jego nieforemna sylwetka kołysała się na boki, a pochylona głowa sprawiała wrażenie wykutej w kamieniu. Dziennikarka pobiegła za nim. Ekipa z trudem dotrzymywała jej kroku.

- Da mi pan swój telefon? - zapytała, mrużąc przymilnie oczy. - Będę dzwonić... Rozumie pan, chcę, żeby moja stacja miała to pierwsza...

Mann podał jej służbową wizytówkę z numerem centrali. Dziewczyna

przypominała mu sukę ogara. Była chuda i wygięta do przodu jak wierzba. „Straszna baba” - pomyślał i zapalił silnik. Otworzył okno i widząc kamerę, grzecznie odpowiedział:

- Jestem do dyspozycji...

Nie wiedział, że od kilku minut był uważnie obserwowany. Przyglądała mu się atrakcyjna dziewczyna w obcisłych dżinsach i niebieskiej bluzce z głęboko wyciętym dekoltem. Nie było w tym ani zachwytu, ani pogardy, ani nienawiści. Wyłącznie zainteresowanie. Stała obok małego kabrioletu za co najmniej czterdzieści tysięcy dolarów i paliła papierosa. Jej zaokrąglone biodra i sterczący biust zwracały uwagę i mogły przyprawić o zawrót głowy. Ruszyła za samochodem prokuratora, nie wyjmując z ust papierosa. Na siedzeniu obok leżała sportowa torba, z której wystawał dres i kilka puszek

napoju regenerującego. Jedną z nich dziewczyna otworzyła w trakcie jazdy i przyłożyła do ust. Jej oczy wyrażały takie uwielbienie, że można by było wystawić je na aukcji. Włączyła radio i całym ciałem zaczęła akcentować rytm melodii.

Nagle Mann wjechał na chodnik i ostro zahamował. Uświadomił sobie, że zapomniał o urodzinach swojego trenera, Henryka Zonenfelda, instruktora krav magi. Tylko raz w roku była szansa napić się z nim piwa. Miał czterdzieści pięć lat i kochał swoich wychowanków tak samo jak walkę. Prokurator kupił piętnaście puszek i wybiegł ze sklepu. Spóźnienie nie wchodziło w grę; lepiej by było w ogóle nie przychodzić...

Zderzenie było na tyle mocne, że puszki wysunęły się z pękniętej torby i potoczyły po chodniku. Mann w ostatniej chwili podtrzymał dziewczynę, która skurczyła się pod wpływem bólu. Jego łokieć zareagował odruchowo i trafił ją w splot słoneczny. Dziękował Bogu, że nie uderzył jej w szczękę. Powoli łąpała oddech.

- Przepraszam panią, to moja wina - Mann starał się załagodzić sytuację. - Chyba się zagapiłem...

- Nie, nie, to moja wina - odpowiedziała dziewczyna, rozcierając sobie brzuch. - Biegłam do sklepu i... No i reszty nie pamiętam, bo na pana wpadłam.

- Wszystko w porządku? - zapytał z troską w głosie. Gdyby wiedział, że ją spotka, kupiłby pastę i umył zęby w sklepowej toalecie.

- Trochę mi się kręci w głowie - odparła, opierając się na jego ramieniu. - Chyba rzeczywiście mocno w pana walnęłam...

- Odwiozę panią do domu - zaproponował.

- Chyba to dobry pomysł - zgodziła się z wahaniem. - Boję się, że mogłabym zemdleć za kierownicą...

- A może pojedziemy do lekarza? - zaniepokoił się prokurator. - Znam...
- Do domu - wtrąciła, mocniej się o niego opierając. - Zaraz mi przejdzie...

Wsiadli do samochodu Manna jak para narzeczonych. On trzymał ją pod ramię, ona lekko się na nim opierała. Czuł jej zapach i kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że spełniało się jego marzenie. Piękna dziewczyna wpadła na niego i potrzebowała pomocy. W czasie jazdy opierała się o zagłówek i co pewien czas dziwnie na niego patrzyła. Znał to spojrzenie. Należało do kobiet, które oglądał w filmach. Trochę wyzywające i trochę tajemnicze. Podała adres w pobliżu ulicy, przy której mieszkał. Po drodze minęli bank, co do którego miał niemalże pewność, że nigdy nie zbankrutuje. Uśmiechnął się i na jego brzydkiej twarzy pojawił się cień czegoś pociągającego. Nie zdawał sobie sprawy, że w takich chwilach zaczynał się kobietom podobać.

Odprowadził ją na drugie piętro ekskluzywnego apartamentowca. Mieszkanie dziewczyny było duże i prawie pozbawione ścian wewnętrznych. Całość została zapełniona lekkimi drewnianymi meblami. Odruchowo westchnął.

- Jakies kłopoty? - zareagowała, dotykając jego ręki. Miała miękką skórę i ciepły dotyk. - Proszę siadać, zrobię kawę...

- Nie chcę pani... - próbował zaoponować.

- Już mi lepiej.

- W takim razie nie odmówię - odpowiedział pospiesznie. Nadal nie wierzył, że coś takiego mogło się przytrafić właśnie jemu. Podświadomie czekał, kiedy dziewczyna odwróci się i oficjalnym głosem podziękuje mu za pomoc. Opadł na fotel i nie odrywał wzroku od jej pośladków. Doszła już do siebie, ponieważ na stoliku pojawiły się serwetki, łyżeczki, dwie filiżanki i talerz z jabłkowymi chrupkami. Zdołał zauważyć, że mieli identyczne czajniki. Trochę go to rozbawiło. Nabierał pewności, że coś ich łączy.

- Jaka kawa? - zapytała, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Dobra - odparł bez zająknięcia. - Oczywiście, jeżeli mogę wybierać...

- Oczywiście - zaśmiała się. Otworzyła szafkę i zobaczył kilkanaście opakowań swojej ulubionej kawy. Był tak zaskoczony, że stracił głos.

- Zdziwiony? - zapytała. - Ja też lubię dobrą kawę.

Wyszedł po godzinie całkowicie oszołomiony jej

urodą i serdecznością. Zapomniał o treningu, o trupie wyłowionym z wody i urodzinach trenera. Po raz pierwszy od wielu lat czuł się zrelaksowany. Dowiedział się, że dziewczyna ukończyła właśnie psychologię i zastanawia się nad prywatną praktyką. Powiedziała mu także, że ma na imię Beata, a przyjaciele mogą mówić

do niej „Bibi”. Mann wołał pozostać przy pełnym imieniu. W czasie spotkania oboje siedzieli na miękkich kanapach, żartowali, śmiali się i opowiadali sobie zabawne scenki ze swojej młodości. Przypomniawszy sobie nawet odważny kawał o dwóch gaździnach. Kiedy go opowiedział, wybuch śmiechu był tak mocny, że zobaczył w jej

oczach łzy. Zachowywali się o wiele głośniejszy, niż mogły znieść ściany nowego budynku. Z góry kilkakrotnie rozlegało się stukanie. Wtedy robiło im się jeszcze weselej.

Powrót prokuratora do domu na pewno nie był zgodny z prawem. Gdyby policja chciała go zatrzymać i ukarać punktami, musiałby zdawać co najmniej trzy dodatkowe egzaminy. Samochód wręcz przeskakiwał boczne uliczki, a prawa stopa raz po raz mocno wciskała pedał gazu. Gwizdał głośno razem z nastawionym na fular radiem. Nic nie słyszał i nic go nie obchodziło. Czuł się świetnie i zamierzał ten stan podtrzymywać. Jeszcze w samochodzie otworzył puszkę piwa i wypił wszystko duszkiem. Właściwie rzucił się na złocisty płyn i wyssał go z szybkością pompy próżniowej. Opakowanie zmiażdżył w dłoni i odrzucił do tyłu, wydając przy tym euforyczny okrzyk. Na szczęście szybko znalazł się pod domem. Niewiele brakowało, by uwierzył, że człowiek z natury może latać. Nigdy nie miał się dowiedzieć, że zaraz po jego wyjściu dziewczyna wykreśliła dobrze sobie znany numer telefonu.

– Cześć, tato, to ja. Jest twój...

– Cześć, kochanie - odezwał się ciepło Zygmunt Rolka zwany „Bonasera”. - Nie mogło być inaczej. Moja córka, jak tylko zechce, każdego doprowadzi do ołtarza.

– Nie żartuj, tato - przerwała mu, udając niezadowolenie. - Interesy to interesy. Nawet w rodzinie...

– O ósmej mamy w domu małą kolację - zmienił temat „Bonasera”. - Może wpadniesz?

– Chcesz mi o czymś powiedzieć, prawda? - rozszyfrowała go bez trudu. Kochała ojca i wiedziała, że on także gotów jest zrobić dla niej wszystko. Po śmierci matki, która zginęła przed dziesięciu laty w wypadku, byli najbliższymi sobie ludźmi.

– Nic się przed tobą nie ukryje - „Bonasera” westchnął tak, jakby sugerował, że niesie ciężar ponad siły.

Prokurator spał przez trzy godziny. Kiedy się obudził, po omacku zszedł z łóżka i z

zamkniętymi oczami dotarł do kuchni. Wcisnął guzik na czajniku i za chwilę usłyszał syk - woda na kawę zaczęła się nagrzewać. Na wspomnienie pustych puszek po piwie pokiwał z uznaniem głową. „Warto było” - pomyślał. Miał tylko nadzieję, że z radości nikogo nie zastrzelił. Pół godziny później był już dobudzony po kawie. Zadzwoił do lekarza badającego zwłoki znalezionej dziewczyny. Ten poinformował go, że niedługo skończy sekcję i będą mogli porozmawiać. Sprawiał wrażenie bardzo czymś zaskoczonoego, ale przez telefon nie chciał niczego wyjaśniać.

Mann minął Galerię Centrum, jak zawsze wyciągając szyję, żeby zobaczyć, co jest w środku. W radiu podawali kolejną wiadomość o zwłokach dziewczyny znalezionej w Wiśle. Dziennikarze własnymi kanałami ustalili, że prawdopodobnie została zamordowana, a jej twarz specjalnie oszpecona. Twierdzili, że ktoś nie chciał, żeby została rozpoznana. „Może tak, może nie” - skrzywił się prokurator.

- No i co? - przywitał go lekarz i chyba nawet nie czekał na odpowiedź. Po prostu musiał się do kogoś odezwać.

W białym fartuchu wyglądał jak piekarz. Zmęczenie wyryło na jego chudej twarzy wyzywający grymas; coś, czego nie dawało się na pierwszy rzut oka określić. Lekarz pokazał palcem zwłoki na stole. Prokurator wziął głęboki oddech i ruszył w tamtą stronę. W prosektorium było chłodno i śmierdziało formaliną.

- Znalazł pan? - Mann wiedział, że lekarz doskonale go zrozumiał. Nie musieli na siebie patrzeć.

- Coś tu nie gra... - usłyszał w odpowiedzi. Tak mógł mówić tylko ktoś bardzo doświadczony. - To młoda dziewczyna. Mogła mieć dwadzieścia cztery lata, może rok więcej. Dziewica. Pięknie zbudowana... Brak śladów usiłowania gwałtu czy jakiegokolwiek szarpaniny. Wszystko odbyło się w białych rękawiczkach. Nie rozumiem... Najpierw dostała silną dawkę jakiegoś środka usypiającego... Muszę jeszcze zbadać, co to było. Myślę, że jeszcze wtedy żyła. Jej twarz, jak pan wie, zniknęła. To, co pan widzi... - Prokurator zmusił się, żeby spojrzeć na miazgę w miejscu twarzy Julii Górskiej. - Ktoś oblał to miejsce kwasem. Nie chodziło mu jednak o twarz, on oblał ranę po zdjęciu skóry...

- Ja też nie rozumiem - przerwał zdziwiony prokurator. - Czy chce pan powiedzieć, że ktoś zerwał jej z twarzy skórę? Bandycki napad?

- Raczej nie - wyjaśnił spokojnie lekarz. - Ten ktoś zerwał jej skórę bardzo dokładnie... Starał się zamaskować ślady, ale kiedy dobrze się przyjrzałem i zobaczyłem brzegi, dało mi to do myślenia.

- Może została zaatakowana nożem i... - Mann nie zdążył dokończyć.

- Niemożliwe - uciął jego domysły lekarz. - To nie był zwykły nóż. Nikt nie wykonuje takich cięć bagnetem. To był skalpel, normalny, chirurgiczny skalpel. Może nawet taki...

Przed oczami Manna pojawiło się ostrze.

- Jest pan pewny? - Prokurator nie wyobrażał sobie, jaki mógłby być powód takiego morderstwa. Chyba że morderca był psychopata.

- Jestem pewny, że jej twarz została usunięta za pomocą skalpela - potwierdził patolog. - Myślę też, że zrobił to fachowiec... Może nawet lekarz. To cholernie precyzyjne cięcia, zbyt precyzyjne, panie prokuratorze... Nie wiem, czyja sam potrafiłbym zrobić to lepiej.

Mann pochylił się nad czymś, co kiedyś było twarzą młodej dziewczyny. Starał się zauważyć brzegi skóry i wysnuć jakieś wnioski. Nic jednak nie potrafił dostrzec. Nie miał pojęcia, w jaki sposób lekarz na to wszystko wpadł.

- Niczego precyzyjnego tutaj nie widzę, doktorze - odezwał się sceptycznie. Miał nadzieję, że tamten ma chociaż cień wątpliwości.

- Niech pan zobaczy cięcia koło uszu - poradził patolog. - Idealne. Na szczęście kwas tego nie zniszczył. Te dwa centymetry sporo o człowieku mówią... Na linii czoła też jest nieźle. Lubię fachowców, lubię ich robotę...

Mann spojrział na niego krzywo i odszedł od stołu. Miał dość. Czuł, że znów mógłby się napić.

- Mam szukać lekarza? Chirurga? - zapytał konkretnie.

- Nie wiem - odpowiedziało mu wzruszenie ramion. - Jutro dostanie pan raport na biurko. Idę, muszę się zdrzemnąć...

Patolog pochylił się i odszedł w stronę przeszklonego pokoju na końcu prosektorium. Stała tam zapalona lampka i komputer. Na ścianie wisiały anatomiczne mapy, a między nimi zdjęcia żony i dwojga dzieci lekarza. Na żyrandolu dyndał plastikowy kościotrup. Prokurator poruszył odruchowo brwiami, mruknął pod nosem „dobranoc” i cicho wyszedł. Pierwszy raz miał do czynienia ze zbrodnią, która naprawdę go zaintrygowała. Zastanawiał się, czy w Warszawie nie pojawił się przypadkiem jeden ze słynnych podręcznikowych morderców - piekielnie przebiegłych i trudnych do opisania. Tej nocy, kładąc się spać, Robert Mann nie wymyślił niczego mądrego. Zanim zasnął, wyjął z bocznej kieszeni marynarki telefon i wysłał do Beaty Alond SMS-a. Napisał krótko: „Było wspaniale. Spij dobrze. Dziękuję. Robert Mann”.

„Bonasera” pokiwał z uznaniem głową. Nie oddał jednak telefonu córce, lecz przekazał go siedzącemu najbliżej siwowłosemu, przystojnemu mężczyźnie. Był to



Janusz Derski, pseudonim „Kopyto” - człowiek, który od początku budował z „Bonasera” potęgę nielegalnego imperium. Derski odczytał tekst w telefonie komórkowym i uśmiechnął się do Beaty, którą pamiętał jeszcze jako małą dziewczynkę. Od chwili narodzin nosiła nazwisko matki - Alond. Dostojne i dobrze brzmiące. Jej ojciec uznał, że tak będzie bezpieczniej. Poza tym zawsze twierdził, że córka i tak weźmie nazwisko po mężu, a wnuki bardziej od więzów krwi pokochają pieniądze.

- Chciałbym was poinformować, że nasz drogi prokurator Mann zakochał się właśnie w mojej córce i zaczął słać do niej miłosne listy - odezwał się poważnym tonem „Bonasera”. - Cóż, przeznaczenie...

Pomarańczowy, mieszczący się w damskiej dłoni telefon wrócił do dziewczyny, która z zagadkowym uśmiechem schowała go do torebki. Nie czuła się ani speszona, ani zdziwiona. Zawsze działało się tak, jak zaplanowali z ojcem. Także w przypadku znajomości z prokuratorem Mannem. Lubiła wcielać się w rozmaite role i nie miała nic przeciwko kłamstwu. Znała swoją wartość, akceptowała urodę i pragnęła realizować ambicje. Czekala tylko na okazję, aby pokazać, na co ją stać. Inaczej niż Lidia Motke, nowa żona „Bonasera”, która nigdy nie brała udziału w naradach i żyła na uboczu, korzystając głównie z bankietów i podróży. Chyba jej to odpowiadało i wołała nie wiedzieć, czym zajmował się jej mąż.

Przy wielkim okrągłym stole poza ojcem, córką i Derskim siedziało jeszcze pięciu mężczyzn. Wszyscy zaufani, bogaci i oddani „Bonasera” na śmierć i życie. Od początku wychował ich w poczuciu misji i uległości wobec siebie. Sam zachowywał się tak, jakby był bratem don-a Corleone z *Ojca chrzestnego*. Ubrał się też prawie identycznie jak tamten, poruszał tak samo powoli i przybierał lekko zbolaty, dobrotliwy wyraz twarzy. Kiedy z kimś rozmawiał, odchyłał do tyłu głowę i w skupieniu słuchał. Zanim podjął decyzję, wysłuchi

wał uważnie opinii swoich najbliższych współpracowników. Oni także znali na pamięć wszystkie trzy części filmu. Sławę i upadek rodziny Corleone „Bonasera” przeanalizował z dokładnością archeologa. Spacerował przed telewizorem, zatrzymywał w odpowiednich momentach taśmę wideo i głośno dzielił się swoimi uwagami. Jego ludzie już dawno zrozumieli, że każda kłeska zaczynała się od zdrady, chciwości i zbyt dużych ambicji. Śmierć ulubionych bohaterów przeżywali jak własną. Gdyby mogli, weszliby do filmu z setką goryli i pomogli „ojcu chrzestnemu” zrobić w Nowym Jorku porządek. W ten sposób głośny film przyczynił się do wychowania gangsterów. Kiedy Zygmunt Rolka zaczynał mówić, kiedy jego głos stawał się tak samo zachrypnięty jak don-a Corleone, w salonie

zaczynało się prawdziwe misterium. Jeżeli nawet ktoś wyczuwał dziwność sytuacji, to nie ośmielał się czegokolwiek zmieniać. Dzięki „Bo- naserze”, jego stylowi i odwadze, zarabiali setki milionów złotych. Jeśli czasem odczuwali, że od kogoś zależą, to wszystko mijało w zetknięciu z rzeczywistością. On wpadał na najlepsze pomysły, on skupiał na sobie uwagę polityków, bankowców i dziennikarzy. On jeden potrafił zachować zimną krew nawet w sytuacjach kłopotliwych, takich jak ta z „Peleryną”, który lada chwila miał zacząć odsiadywać wyrok dziesięciu lat więzienia lub wydać ich i ukryć się przed światem jako świadek koronny.

Każdy z mężczyzn siedzących przy stole zajmował się czym innym. Naprzeciwko Beaty siedział Franciszek Zyga, znany jako „Czub”, ponieważ po wódce tracił nad sobą panowanie i zaczynał strzelać gdzie popadnie. Kierował kradzieżami samochodów. Pilnował sprzętu do

podrabiania dokumentów, umów kupna-sprzedaży i dowodów rejestracyjnych. Dobierał i likwidował swoich ludzi osobiście. Niektórzy mówili, że uwielbiał zamykać winowajców w wielkiej klatce w jednym ze starych hangarów i strzelać do nich z zawiązanymi oczami. Jeżeli ofiara przeżyła, sięgał po kałasznikowa i ostatecznie kończył sprawę. Z wyglądu przypominał dobrego wujka. Miał wąsy, pulchną twarz i duży brzuch. Kiedy jadł, słychać było mlaskanie i ciężkie sapanie. Za przemyt wódki odpowiadał Romuald Falski. Pseudonimu nie miał i wszyscy zwracali się do niego po imieniu. Ten wysoki na prawie dwa metry mężczyzna uprawiał kiedyś boks i skakał ze spadochronem. Mimo pięćdziesięciu lat był żyłasty i bardzo silny. Dzięki niemu „Bonasera” opanował ponad trzydzieści procent przemytu wódki ze Wschodu. Falski pilnował regularności dostaw, opłacał celników, wymyślał schowki i nielegalne rozlewnie. Zatrudniał ludzi w całej Polsce. Kupował też banderole odklejane od legalnie kupowanego alkoholu. Mimo że handlował wódką, sam nigdy nie pił. Uśmiechał się, kiedy widział butelki, i przeliczał je na pieniądze. Gdyby umiał się modlić, to z pewnością modliłby się do wizerunku amerykańskiego dolara. Poza tym przeważnie milczał i obserwował. Rozkazy „Bonasery” wykonywał dokładnie i bez skrupułów.

Małutki Ryszard Bień, pseudonim „Wabik”, kontrolował haracze za „opiekę” nad bogatymi biznesmenami. Wyznaczał strefy wpływów i dogadywał się z innymi przestępcami. Nazywał ich „kolegami”. Od czasu do czasu, kiedy publicznie uznał kogoś za przyjaciela, szybko do

chodziło do pogrzebu. Przemytem papierosów zajmował się Jerzy Mamicz, pseudonim „Korba”. Robił dokładnie to samo co Falski. I szło mu coraz lepiej.

„Bonasera” żartował nawet, że Mamicz zarobił na ich wspólnych interesach co najmniej dwa razy więcej. „Korba” wytrzeszczał wtedy swoje małe oczka i przerażająco szczerze pytał: „Czy szef chce pożyczyć ode mnie pieniądze?” Mamicz lubił zadawać ból. Doskonale wiedziały o tym wszystkie jego kochanki. Ślady po ugryzieniach goiły się długo, ale każdy taki seans bardzo się dziewczynom opłacał.

„Rumba”, czyli Zenek, bo nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, odpowiadał za ochronę. Był barczysty i wysportowany. Tylko „Bonasera” wiedział, że przez wiele lat służył w jednostkach specjalnych, a kiedy po drobnym wypadku go zwolniono, nie miał co ze sobą zrobić i w końcu znalazł się na gangsterskim chlebie. Przypadkowo uratował „Bonasera” życie. „Rumba” zauważył, że pod srebrną limuzyną klasy S jakiś mężczyzna instaluje ładunek wybuchowy. Siedział wtedy w restauracji i smętnie myślał o swoim przyszłym życiu. Zapamiętał także, kto przyjechał luksusowym samochodem i w którym miejscu usiadł. Nie zastanawiając się długo, „Rumba” podszedł do „Bonasery” i zapytał, czy mogą przez chwilę porozmawiać. Gangster, który jadł obiad z córką i żoną, obrzucił spojrzeniem swojego goryla, siedzącego dwa stoliki dalej. Tamten kiwnął tylko głową, że wszystko kontroluje i jak będzie trzeba, to posieka nieznajomego na kawałki. „Rumba” nachylił się do ucha „Bonasery” i powiedział, co zobaczył. Od tamtej pory ani razu nie widział, żeby twarz jego szefa kiedykolwiek bardziej zbladła. Kiedy Zygmunt Rolka zadał mu pytanie, co powinien zrobić, udał roztargnienie. Odpowiedział pytaniem: „A co powinienem zrobić?”. Otrzymał konkretną odpowiedź: „Ukarac”.

Nie miał nic do stracenia. Żona od niego odeszła, kiedy został bez pracy, dawni przyjaciele nie mieli czasu na towarzyskie spotkania, a pieniądze z zasiłku wystarczały na zaledwie kilka dni. Dlatego skinął głową, że się zgadza. Wyszedł przed restaurację, odszedł kilkadziesiąt metrów i zniknął za szeregiem samochodów. Mocno pochylony podbiegł do limuzyny i błyskawicznie oderwał ładunek od podwozia. Potem cofnął się i z drugiej strony ulicy, wtopiony w tłum, podszedł do busa, w którym siedział zamachowiec. Umieszczenie namagnesowanego ładunku na podwoziu trwało zaledwie sekundę. Pół godziny później, kiedy „Bonasera” wsiadał z rodziną do swojego samochodu, zamachowiec uruchomił zdalnie sterowany zapalnik. Z busa pozostały tylko nierówno porozrywane blachy i kradziona tablica rejestracyjna.

Tacy właśnie ludzie otaczali „Bonasera” przy stole. Oni również czekali na decyzje szefa. Nigdy nie przyjmował ich wszystkich w tak odświętny sposób. Po raz

pierwszy zaprosił też swoją córkę. To mogło oznaczać zmiany. Nie denerwowali się, czekali. Kiedy „Bonasera” odezwał się swoim ochrypłym głosem, przestali jeść. Gangster odchylił głowę do tyłu i w jednej chwili przemienił się w starego don-a Corleone.

– Nadszedł czas zmian - powiedział z naciskiem „Bonasera”. - Starzejemy się i wszyscy chcielibyśmy cieszyć się życiem. A o to coraz trudniej... - Zgromadzeni potakiwali głowami. - Pomyślałem sobie, że trzeba w naszym życiu dużo zmienić. Trzeba również zdecydować, co będzie z naszym bezpieczeństwem. Ludzie tacy jak my mają ostatnio coraz trudniejsze życie. A nawet je tracą... Ich praca, wysiłek wielu lat, idzie na marne. Pewnie już zauważyliście, że zmieniłem samochód. Tak, to właśnie początek nowego. Koniec z „mercami” i „beemami”, koniec z dresiarским szpanem...

– A co z naszymi... - Mamicz nie dokończył; z przejęcia wytrzeszczył oczy. Na podjeździe przed willą „Bonasery” stały samochody za co najmniej pół miliona dolarów.

– To znaczy, „Korba”, że nasze samochody muszą pójść w odstawkę - wyjaśnił gangster. - Inne czasy, inne potrzeby...

– Boże, świat się wali... - westchnął Zyga.

– Chciałbym, żebyśmy sprzedali nasze interesy młodszym - „Bonasera” dokończył z naciskiem.

– Szef mówi poważnie? - wyrwało się Falskiemu.

– Zgadłeś - uciął „Bonasera”. - Chcę, żebyście przeżyli, a to nie będzie łatwe...

– A co będziemy robić? - zapytał jak zwykle niecierpliwym Mamicz. - Emerytura?

– Dla tych, którzy zechcą... - potwierdził poważnie gangster. - Pozostali mogą ze mną eksportować kineskopy...

Wszyscy odetchnęli. Znów wiedzieli, na czym stoją. Kineskopy były od dwóch lat przykrywką do największego z interesów „Bonasery” - przemytu narkotyków. Firma, która produkowała kineskopy, robiła je najtańszym kosztem i wysyłała na Zachód i na Wschód. W ten

sposób mogła przemycać każdą ilość marihuany, heroiny, kokainy lub amfetaminy. Z możliwości tej chętnie korzystali sprawdzeni klienci.

– Moja córka będzie nam pomagać inwestować pieniądze w legalne interesy - zdecydował „Bonasera”. - Od jutra wchodzimy w nieruchomości. Zaczniemy kupować więcej ziemi, więcej domów, więcej lokali. Będziemy budowali wszystko, co przynosi pieniądze. Musimy stworzyć sieć firm budowlanych lub

korzystać z już działających. Może nawet niektóre przejąć... Ale to już nie nasza głowa. Ona zadecyduje. Czy wszystko jasne?

- A da sobie radę? - zapytał wprost Bień zwany „Wa- bikiem”.

- A jest inne wyjście? - uspokoił go „Bonasera”. - Musi.

Udawali, że go zrozumieli. „Wabik” odgadł, że nadal będzie dużo pracy. Na jego ustach pojawił się grymas, który oznaczał uśmiech.

- Uczciwy biznes, panowie, pozwoli nam doczekać wnuków. - Gangster podniósł kieliszek. - Zdrowie mojej córki!

- A kineskopy? - zapytał Falski, przelitykając bez mrugnięcia wódkę.

- Jeszcze dwa lata i zakończymy produkcję - odparł uspokajająco „Bonasera”. - Wyssiemy co się da i spasu- jemy... - przerwał, zdając sobie sprawę, że użył prymitywnego słowa. Wyobrażał sobie, że prawdziwy „ojciec chrzestny” starał się mówić elegancko. Chrząknął i kontynuował: - Potem będą już tylko nieruchomości...

- A co z nami? - dobiegło zza stołu.

Widać było, że nagłe zmiany wywołały strach. Ludzie „Bonasery” z trudem przyjmowali do wiadomości, że w ich interesie leży wycofanie się z rynku. Czuli się silni i w każdej chwili gotowi do walki o własne imperia. Po raz pierwszy nie rozumieli swojego szefa i obawiali się jego córki. Przerażało ich słowo „uczciwość”.

- Inni nam nie przepuszczą... - jęknął Mamicz. - Szefie, coś mi się widzi, że z naszej branży chyba nie można się wycofać. Zawsze człowieka znajdują...

- Jeżeli będziesz mądry i będziesz mnie słuchał, to przysięgam na moją głowę, że dożyjesz w spokoju starości. - Zabrzmiało to jak wyrok. - Musimy nauczyć się żyć... przyjemnie. - W tym momencie wszyscy głośno się zaśmiali. Atmosfera zrobiła się swobodniejsza. - Teraz wypijmy za pogrzeby...

Beata Alond podniosła kieliszek i wstała. Wiedziała, że ludzie ojca patrzyli na nią nieufnie. Dla większości z nich spokojne życie było ostatnią rzeczą, jaką mogli sobie wyobrazić.

- Za szczęście i dobrą pamięć - powiedziała i wypła wódkę jednym haustem. O mało nie straciła oddechu, ale tak to musiało wyglądać. Gdzieś w głębi duszy nie wahałaby się nawet zabić. Przyzwyczaiła się do interesów, w których powodzenie zależało od usunięcia przeciwnika. Chciała wierzyć, że ci śmiertelnie niebezpieczni mężczyźni bez sprzeciwu potrafią zamknąć swoje dotychczasowe, dochodowe biznesy. Tym bardziej że policja i prokuratura coraz widoczniej się nimi interesowały. Myślała o dniu, w którym wszyscy mogliby zniknąć i rozpocząć

nowe życie. Oczywiście za pieniądze zarobione dotychczas.

Nowy dom doktora Szobera z daleka przypominał kolorową galaretkę. Był niski, rozłożysty i wkomponowany między drzewa. Miał dach z czerwonej dachówki, białe ściany i zaciemnione szerokie okna. Przy tarasie znajdował się basen, nad którym w pochmurne dni można było zamknąć szklaną konstrukcję. Obiekt ogradzala wysoka, zakończona ostrymi kolcami siatka. W razie potrzeby można ją było podłączyć do prądu. Nowy dom pachniał i zdawał się wtapiać w otoczenie. Projekt i wykonanie już z daleka zdawały się zapowiadać godne pozazdroszczenia życie.

Palce Patrycji Nowickiej nerwowo skubały resztki zdjęć. Zostawiała tylko te z najwcześniejszego dzieciństwa. Za wszelką cenę starała się odnaleźć w nowym miejscu. Jednak z każdym dniem było gorzej. Teraz miała problem nie tylko ze sobą, ale także z otoczeniem. Z jednej strony czuła się obco we własnym ciele, z drugiej nie potrafiła odkryć wokół siebie czegoś, czego mogłaby się chwycić, żeby nie wpaść w depresję. Jej wewnętrzny głos błagał o chwilę spokoju i poczucie tożsamości, wyrzuty sumienia zamęczały gwałtownymi atakami. Nie potrafiła już spokojnie oglądać telewizji ani czytać czasopism. Malowanie, które kiedyś ją pochłaniało, zeszło na margines. Przypominało jej o niewinności i nieznośnie uruchamiało pamięć. Kiedy przychodziła zła godzina, zaczynała przeraźliwie wyć. Zamykała się w piwnicy i wyrzucała z siebie strach i nienawiść. Mimo że znów wyglądała ładnie, a ślady operacji niemalże zniknęły, przestała patrzeć w lustro i używać kosmetyków. Jej

codziennym ubraniem stał się szlafrok i domowe pantofle. Kiedy przestała się czesać i zaczęła wcześniej kłaść do łóżka, doktor zareagował.

– Kochanie, nie kochaliśmy się od miesiąca - powiedział.

– Źle się czuję - szepnęła ze łzami w oczach. - Jest mi strasznie źle. Strasznie...

Nie rozumiem siebie, ciągle widzę tamtą dziewczynę, mam wrażenie, że zaraz tu przyjedzie policja i resztę życia spędzimy w więzieniu... Boję się, że spotkam gdzieś jej rodziców i że oni mnie rozpoznają...

Doktor zastanowił się przez dłuższą chwilę i z rozmysłem odpowiedział:

– Na wszystko jest na tym świecie lekarstwo. Trzeba tylko chcieć je znaleźć. Aspiryna pomaga na przeziębienie i na ból głowy, a pasta do zębów zabezpiecza przed próchnicą. Jeszcze coś innego pomaga na kaszel... Może powinnaś znaleźć sobie jakąś koleżankę? Przyzwyczaisz się do niej i będziecie mogły wspólnie spędzać czas. Po co myśleć o przeszłości? Jej nie ma! Koniec. Urodziłaś się i żyj...

– Pewnie masz rację - skinęła bez przekonania głową.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Zanim zdołała się zorientować, pocałował ją w usta. Tak jak przed laty, kiedy się poznali. Jego bliskość i narastające podniecenie, które czuła przez szlafrok, sprawiły, że przemogła się i nie oponowała. Nie miała pojęcia, że myśli doktora zaatakował najmniej przewidywalny wirus. W czasie namiętnego pocałunku miał wrażenie, że całuje dziewczynę, którą zamordował. I nie sprawiło

mu to przykrości. Wręcz odwrotnie - jeszcze bardziej pociągało. Kiedy skończyli się kochać, Patrycja wstała i podeszła do szafy z ubraniami. Była zdecydowana walczyć. Wbrew sobie i wbrew chorobie. Narastała w niej wściekłość, którą skierowała przeciwko cierpieniu, jakie ją dotykało.

Przez kolejne dni spacerowała po cichych uliczkach w pobliżu domu, wyjeżdżała taksówką do hipermarketów i usiłowała wtopić się w tłum. Dawni znajomi próbowali się do nich odzywać, ale Szoberowie nie odpowiadali. Stopniowo wszystko wygasło i telefony milkły. W nowym miejscu od rana do wieczora panowała cisza. Patrycja próbowała się odnaleźć. Wymyśliła sobie twarz, z którą mogłaby się zaprzyjaźnić. Pragnęła kogoś polubić i móc swobodnie poplotkować. W końcu znalazła. Upatrzyła sobie kobietę około trzydziestu lat, ubraną z wyszukaną elegancją, eksponującą bujne rude włosy, zgrabne pośladki i niezwykle regularne, filmowe rysy twarzy.

Na olbrzymim parkingu trudno było znaleźć okazję do nawiązania znajomości. Patrycja sprowokowała nieznajomą w pewną sobotę, kiedy tamta szła z wózkiem wypchanym po brzegi zakupami; wybiegła niby to przypadkowo zza jej samochodu i efektownie upadła. Krzyknęła i chwyciła się za kolano. Nieznajoma kobieta zatrzymała się i zapytała z życzliwością w oczach:

- Czy to coś poważnego? - Kiedy mówiła, jej usta układały się w zmysłowe wzory.

- Nie mogę ruszać kolaniem - odpowiedziała z bólem w głosie Patrycja. - No i na dodatek złamałam obcas... Mąż wraca dopiero...

- Daleko pani mieszka? - zapytała kobieta. Jej duże oczy przykuwały uwagę.

- Na Mokotowie.

- O, to niedaleko - stwierdziła nieznajoma. - Mogę panią podwieźć. Mieszkam na skraju Mokotowa...

Potem była herbata w nowym domu Szoberów, rewanż w willi Katarzyny Raiss, bo tak nazywała się nieznajoma, wreszcie wspólne wypadki do kawiarni, do teatru i na koncerty. Patrycja ucieszyła się, że Katarzyna była rozwódką, ponieważ miała ją tylko dla siebie. Jej nowa koleżanka pracowała jako dyrektor w jednej z za-

granicznych firm. Była specjalistką od *public relations*. Bezdietna i bardzo zapracowana. Znajomość z Patrycją szybko przerodziła się w przyjaźń. Wspólne małe tajemnice, drobne złośliwości pod adresem innych i niekończące się wypadki do sklepów z ubraniami wyznaczały rytm kolejnych wieczorów i weekendów.

Depresja została zepchnięta na dno świadomości, pozostawiając w zamian drażniące napięcie. Patrycja stała się poirytowana, zaczęła palić papierosy i coraz częściej sięgała po butelkę. Robiła to jednak wyłącznie w samotności. W takich chwilach nienawidziła swojej twarzy. Uważała, że nie ma wyrazu i żaden mężczyzna nie może być nią zainteresowany. Kiedy spotykała się ze śladem choćby zaciekawienia, odpowiadała chłodem, który odstraszał potencjalnego zalotnika. Wróciła do malowania, ale wyłącznie dla podtrzymania dobrego wrażenia w oczach Katarzyny Raiss. Jej obrazy były teraz wściekle kolorowe i wyrażały wszystko to, co nie mogło ujrzeć światła dziennego.

Każdy dzień Patrycja rozpoczynała od lektury gazet i kolorowych magazynów. Pograżała się w ciekawostkach i plotkach. Lektura pozwalała jej na krótko zapomnieć o cierpieniu i skupić uwagę na drobnych przyjemnościach, bo tak właśnie coraz częściej traktowała przyjaźń z Katarzyną. Wieczorami lub w weekendy Patrycja starała się omawiać z koleżanką różne atrakcyjne tematy. Czasami była to wymiana zdań na temat wywiadu ze sławnym aktorem, który obwieszczał dumnie, że pozostanie z widzami na zawsze. Innym razem były to uwagi o znanej prezenterce telewizyjnej, która ogłosiła milionom ludzi, jaką zupę najbardziej lubi. Zdarzało się również, że obie skupiały się na ciężkim życiu współczesnej „arystokracji”.

Doktor obserwował nową znajomość żony z zainteresowaniem. Sam również nie mógł sobie poradzić z wyrzutami sumienia i prawie bez przerwy pracował. Przyjmował pacjentów także po godzinach. Czasami przesadzał. Jego diagnozy zawsze prowadziły „na stół”. Od pamiętnego pocałunku z żoną zaczęły go prześladować obrazy niemalże pornograficzne. Widział seksualne orgie, w których uczestniczył i za każdym razem wpadał w nagie ramiona zamordowanej dziewczyny. Wiedział, że wszystko to było chorą imaginacją, ale nic nie mógł na to poradzić. Wizyta u psychiatry nie wchodziła w grę. Ani w przypadku żony, ani jego. Miłość małżeńska Szoberów przerodziła się teraz w gwałtowne akty seksualne, po których nie rozmawiali ze sobą, kładąc się od razu spać. Nie było w nich dawnej bliskości, lecz dzikość i zwyczajne fizyczne wyładowanie. Oboje oddalali się od siebie i dobrze o tym wiedzieli. Gdy jednak zaczynali rozważać rozstanie, natychmiast wracali myślami do wspomnień i



stwierdzali, że jeszcze do tego nie dojrzeli. Był to oczywiście unik, z którego zdawali sobie sprawę, ale nie odważyli się nazwać rzeczy po imieniu. Przed rozwodem chronił ich strach. Nie byli pewni, czy poradziliby sobie w nowych związkach. Bez alkoholu doktor nie umiał już nawet rozmawiać z obcymi kobietami. Plótł wtedy wyłącznie bzdury i widać było, że myślami był nieobecny. Kobiety tego nie tolerowały.

- Jestem gotowa - w ten sposób żona poinformowała go o swoich zamiarach.

- To znaczy? - Rozparł się w ulubionym fotelu, wlał w siebie setkę i marzył o chwili spokoju.

- Wiem już, jaką chcę mieć twarz - zdecydowała Patrycja. Godzinę wcześniej łyknęła tabletki uspokajające.

- Nie rozumiem - wyszeptał zaskoczony.

- Przyzwyczaiałam się do jej widoku i chcę ją mieć - wyjaśniła tajemniczo.

- Nadal nie łapię. - Nie dbał już o elegancję języka. Od kiedy dużo pił, stał się mniej wrażliwy na subtelności.

- Popatrz na mnie - poleciała.

- No i co?

- Nie wiesz?

- Nie bardzo - odparł. Zaczynała go denerwować. Poza tym nie lubił, kiedy płatał jej się język. Lekarstwa i alkohol robiły swoje.

- Chcę, żebyś mi przeszczepił twarz Katarzyny - wyjaśniła z triumfem w głosie. - Lubię ją...

Milczał przez minutę. Zastanawiał się, czyjego żona mówiła poważnie.

- To nienormalne - ocenił z mieszanymi uczuciami. - Myślałem, że się przyjaźnicie.

- Bo to prawda - uspokoiła go. - Przyjaźniłam się z nią, ponieważ spodobała mi się jej uroda. Przyzwyczaiałam się do jej widoku i uznałam, że mogłabym tak wyglądać. Nie rozumiesz? Znam jej twarz i uważam prawie za swoją własną... Patrzę na Kaśkę, jakbym sama widziała się w lustrze. Jeszcze nie rozumiesz?

- Jesteś o tym przekonana? - raczej stwierdził, niż zapytał. Był coraz bardziej pijany i w tym stanie chciał pozostać jak najdłużej. Alkohol pulsował w jego żyłach, podsycając błogostan i tłumiąc niepokój. Wstał, poszedł do kuchni i przyniósł butelkę z wodą. Musiał się napić wody, żeby nie zasnąć. Tego dnia miał zamiar pić do upadłego.

Nadszedł kolejny późny wieczór, pełen nadziei i skupienia. Oboje wyjechali samochodem do miasta, wdychając przez *uchylone okna* przesiąknięte spalinami

powietrze. Zatrzymali się koło budynku, w którym pracowała Katarzyna Raiss. Tym razem to Patrycja miała wbić igłę strzykawki w plecy albo szyję ofiary. Barbituran czekał w pogotowiu, gotowy uspić wszystko, co żyło. Doktor odmierzył odpowiednią porcję i dokładnie poinstruował żonę, w jaki sposób ma użyć strzykawki. Była tak przejęta, że nie wypuszczała jej z ręki. W myślach powtarzała ruch, który miał sprawić, że igła trafi we właściwe miejsce.

Czekali. Budynek, w którym pracowała Katarzyna, był całkowicie oszklony i przypominał akwarium. Na ulicy widać było grupki młodych ludzi zmierzających na dyskotekę lub do pubu. Zaczął padać deszcz i światła za oknami samochodu rozmazywały się w kolorowe wzory.

Katarzyna wybiegła z budynku, zasłaniając głowę torebką. Miała na sobie dopasowany szary kostium. Wyglądała elegancko i seksownie. Doktor z przyjemnością obserwował jej odsłonięte kolana i kształtne, opięte spódnica uda. Czekał, aż zbliży się do samochodu i będzie mógł ją zawołać. Jego palce nerwowo stukwały w przycisk do automatycznego otwierania szyb. Czuł się fatalnie i przysięgał sobie, że zaraz po operacji upije się do nieprzytomności.

- Kasiu! - Patrycja otworzyła tylne drzwi. - Wsiadaj z przodu, podwieziemy cię...

- Ale miałam szczęście - ucieszyła się Katarzyna. - Moja fryzura zaczynała przypominać gniazdo wron... Byliście na zakupach?

Doktor ruszył. „Taka odmiana dobrze mi zrobi” - pomyślał, patrząc na profil Katarzyny Raiss.

- Coś w tym rodzaju - Patrycja roześmiała się nienaturalnie głośno. - Zapraszamy cię na kolację. Krewetki w sosie czosnkowym... Twoje ulubione.

- To jakaś okazja? - Katarzyna uśmiechnęła się. Przez moment jej oczy spotkały się ze spojrzeniem Szobera. Nie wiedziała dlaczego, ale poczuła się dziwnie. „Chyba jest trzeźwy” - pomyślała zaskoczona. Dlatego patrzył tak przenikliwie, po lekarsku.

- Żadna. - Patrycja śmiała się prawie bez przerwy. Poprawiała przy tym włosy i potrząsała głową. Ona również odstawiła środki uspokajające i alkohol. - Po prostu moja najlepsza koleżanka spędzi z nami miły wieczór po ciężkim dniu pracy. Szober włączył najnowszą płytę Carlosa Santany. Rytmiczne dźwięki gitary wypełniły wnętrze samochodu.

- Twój mąż chyba nie jest z tego powodu szczęśliwy...

Odpowiedź była przewrotna i zmuszała do reakcji.

– Jestem załamany... - Profil Szobera uległ lekkiej deformacji, co mogło oznaczać uśmiech. Tak przynajmniej wydawało się Katarzynie Raiss.

– Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że was mam...

Dwadzieścia minut później osunęła się bezwładnie na drzwi samochodu. Santana już nie grał, a deszcz padał jeszcze intensywniej. Doktor Szober po raz ostatni zobaczył w lusterku twarz swojej pierwszej ofiary, Julii Górskiej. Patrzył obojętnie i bez emocji; już jej nie pragnął. Była jak zużyty but. Obraz zamazywał się i znikał. Zbliżali się do domu. Szober uświadomił sobie, że w wyobraźni widzi nadal swoją żonę. Tę dawną, sprzed wypadku. Wszystko, co wydarzyło się potem, nie liczyło się. Zanim wyszli z samochodu, odczekali, aż skończą się wiadomości. Dali sobie czas na marzenia o szczęściu. Ponownie wzięli się za ręce i mocno je zacisnęli. Ich głowy pochyliły się ku sobie, dotknęły, tak jakby szukały energii do przetrwania. Katarzyna Raiss była już tylko nową twarzą. Szober sięgnął do schowka i wyjął swój przysmak. Rozerwał opakowanie i poczęstował żonę. Czekoladowe paluszki przypomniały im szczęść

liwe dni. Inny wtedy był wiatr, inny zapach... Inne było wszystko.

– Bierzmy się do pracy - westchnął doktor. - I nie martw się. Tym razem też się uda.

Patrycja myślała podobnie.

Druga operacja przebiegła znacznie szybciej niż poprzednia. Niemalże automatycznie ustawił kroplówkę ze znieczuleniem, ściągnął skórę z obu twarzy i zajął się zamykaniem naczyń krwionośnych. Tym razem krwawienie było większe i częściej musiał używać peana. Kiedy skończył, upewnił się ostatecznie, że zostawia żonę w dobrym stanie. Przeszedł do salonu. Po drodze wrzucił do kosza rękawiczki.

Nie mógł wiedzieć, że kilka godzin wcześniej przypadek zdecydował o losie ich obojga. Igła, którą niewprawna ręka Patrycji wbiła w szyję Katarzyny Raiss, ześlizgnęła się z kołnierza jej bluzki i nieco wykrzywiła. Dlatego śmiertelna dawka barbituranu dostała się do organizmu tylko częściowo. Reszta wypłynęła na skórę i wsiąkła w materiał.

Wyjęta z lodówki zimna butelka pasowała do dłoni i miała przyjemny wygląd. Doktor pił „z gwinta”. Nie wiedział, że każdy łyk wyznaczał minuty, w których najbliższa przyjaciółka jego żony odyskiwała przytomność. Kiedy padł bez czucia na kanapę i zaczął głośno chrapać, zdarzył się cud.

Katarzyna zobaczyła sufit oczami bez powiek. Potem podniosła się na łokciach i rozejrzała po pokoju. Z narastającym strachem zobaczyła krew na swoim ubraniu,

kropłówkę i nieznaną kobietę ze straszliwie opuchniętą twarzą na łóżku obok. Zerwała się na bosaka i chwycając się, ruszyła do drzwi. Po drodze z przerażeniem rozpoznawała meble w domu Szoberów. W salonie zauważyła pijanego doktora. Dotknęła twarzy i poczuła ból. Wydawało jej się, że jest pogrążona we śnie. Krew, tępe mrowienie w całym ciele, strach i brak pamięci sprawiły, że chciała jak najszybciej znaleźć się u siebie w mieszkaniu. Zbierało jej się na wymioty i z trudem odnajdowała siły, aby trafić do wyjścia.

Była noc. Padał deszcz, a latarnie rozlewały na mokrej jezdni lśniące światło. Katarzyna biegła w kierunku głównej ulicy. Mokre krople rozpuściły skrzepy w miejscu jej twarzy i na ubraniu pojawiły się strużki krwi. Początkowo ich nie zauważyła. Chłód sprawił, że wracała jej świadomość. Zorientowała się, że wokół prawie nie było ludzi. Dochodziła trzecia nad ranem i miasto jeszcze spało. Nieliczne taksówki przemykały wzdłuż budynków, a pojedyncze pary wynurzały się i szybko znikaly.

Zatrzymał ją krzyk kobiety. Zamiatła chodnik przed wejściem do jednego ze sklepów. Widok krwawej miazgi w miejscu twarzy Katarzyny Raiss omal jej nie zabił. Do- zorczyńni uciekała środkiem ulicy, nie przestając krzyczeć. W nielicznych oknach zapaliły się światła. Ktoś zaklął z wściekłością, aż echo przetoczyło się pośród budynków.

„Co się dzieje?” - pomyślała Katarzyna. - „Co mi jest?” Wtedy zobaczyła się w lustrze jednej z wystaw. Najpierw nie wiedziała, co widzi. Wydawało jej się, że ma przed sobą koszmarne manekina. Potem podniosła rękę i zorientowała się, że manekin w lustrze robi dokładnie to co ona. Z jej gardła wydobyło się przerażające wycie. Jej ciało sprężyło się. Kobieta z nieprawdopodobną szybkością wybiegła na ulicę. Potem, w pisku opon, na masce taksówki dokonała się reszta. Nadeszła śmierć.

O wypadku doktor Szober dowiedział się z telewizji. Wypowiedź prokuratora zwróciła jego uwagę dopiero pod koniec wiadomości. Sam nie zauważył nawet braku ciała na sąsiednim łóżku, bo interesował go wyłącznie stan zdrowia żony. Na uprzątnięcie zwłok zostawił sobie dobę. Prokurator powiedział jednak coś niepokojącego. Poinformował, że twarz zabitej w wypadku kobiety ma zostać komputerowo odtworzona; wówczas jej wizerunek zostanie pokazany publicznie. Doktor dziękował losowi, że przed operacją nie zapomniał o usunięciu z jej ubrania dokumentów, a z rąk i uszu pierścionków i kolczyków. Wiedział jednak, że nadeszła pora na kolejną zmianę miejsca zamieszkania.

Po obejrzeniu następnych wiadomości miał już pewność, że policja wcześniej czy

później dotrze do jego gabinetu. Nie będą mieli dowodów, ale na pewno znajdzie się w kręgu podejrzanych. Nie łudził się, że jego koledzy z patologii nie zauważą idealnych cięć skalpela. „Wcześniej czy później dotrą do mnie” - pomyślał z irytacją. Zanim zszedł do salonu, obejrzał olbrzymi obrzęk na nowej twarzy swojej żony i sięgnął po czekoladowe paluszki. Zjadł dwa na raz. Po prostu musiał się czymś zająć. Dwie godziny później ugotował sobie zupę grzybową z torebki i znów wyjął z lodówki butelkę wódki. Wyłączył telefon i położył się na kanapie. Nadal nie mógł

uwierzyć, że barbituran nie zadziałał do końca. Teoretycznie Katarzyna Raiss powinna umrzeć jeszcze w samochodzie. Zanim się całkowicie upił i zasnął, zdążył z pijackim uśmiechem wybełkotać:

- Wyszła bez makijażu i to ją zabiło...

### **Rozdział III**

Potężny cios ominął głowę Roberta Manna zaledwie o milimetry. Uderzenie metalowego pręta trafiło w betonowy mur. Gdyby nie sznurówka, o której prokurator przypominał sobie dopiero kilka minut po wyjściu z samochodu, leżałby teraz z roztrzaskaną czaszką. Pochylił się pod wpływem nagłego impulsu i to go ocaliło. Poznał ich, mimo że mieli na głowach kominiarki. Byli tak głupi, że nie zmienili nawet ubrań. Klicki, Furtak i Janiak rzucili się na niego prawie w jednej chwili. Poruszali się jednak zbyt wolno, żeby cokolwiek zdziałać. Wizyty w siłowni dały im masę i siłę, pozbawiły jednak szybkości. Dlatego Mann przeżył. Najpierw oberwał Furtak. Uderzenie „z kopa” prosto w brzuch odrzuciło go kilka metrów do tyłu i już nie wstał. Leżał, tracił oddech i wił się z bólu. Jako drugi nadział się na potrójne uderzenie pięściami Janiak. Po tej akcji jego twarz przypominała stek. Klęczał i próbował zatamować krew. Klicki odebrał ciosy w krocze i nerki, osunął się obok kolegów i stracił przytomność. Dopiero wtedy prokurator ściągnął im z głów kominiarki.

- Zadzwonisz do „Bonasery” i podziękujesz mu za opiekę - powiedział, patrząc na Furtaka, który powoli dochodził do siebie.

- Nie znam numeru... - syknął mężczyzna i szybko pożałował. Boczne kopnięcie w udo zabolowało jak nieszczęśliwa miłość.

Przypadkowi przechodnie starannie unikali patrzenia w stronę bijących się mężczyzn. Ich oczy wyrażały strach. Dla nich bandyci mogliby nie żyć. Mann wiedział, że tęsknili za karą śmierci i szeryfem, który na miejscu i szybko wykonywałby egzekucje.

- Kto zna numer, niech podniesie rękę - kontynuował cierpliwie.

- Ja znam - wyrwał się Janiak. - Zadzwoń... - Wyjął mały aparat i nacisnął przycisk. Połączenie trwało zaledwie kilka sekund. - Szefie, mamy problem...

- Powiedz, że prokurator go pozdrawia... - zadrwił Mann. Nadawał całemu zajściu filmowy charakter.

- Ten prokurator tam jest...? - „Bonasera” wpadł w szał, a Janiak błyskawicznie oddał słuchawkę Mannowi.

- Dzień dobry! - głos gangstera zdradzał wściekłość. - Co te moje barany znowu wymyśliły? Ręczę panu, że nic o tym nie wiem...

- Na pewno - zgodził się łaskawie Mann. - Chcieli mnie uspokoić metalowym prętem. W parku. Podaję miejsce dla ścisłości...

- Daję panu moje słowo, że zrobili to na własną rękę - wyjaśnienie miało zabrzmieć wiarygodnie. - Teraz jestem pana podwójnym dłużnikiem...

- Dopiero teraz zaczynam się naprawdę bać, panie Rolka - stwierdził cierpko Mann. - Im więcej ma pan u mnie długów, tym gorzej na tym wychodzę...

- Wyślę panu zdjęcia - wtrącił „Bonasera”. Za wszelką cenę chciał być kulturalny. - One pana przekonają. A teraz niech pan poda słuchawkę któremuś z tych idiotów.

Obiecane zdjęcia nadeszły tydzień później. Były kolorowe i dobrze zrobione. „Ktoś znał się na swojej robocie” - pomyślał Mann. W kopercie nie było żadnego listu. Fotografie przedstawiały Janiaka, Klickiego i Furtaka. Stali nago w miskach zalanych betonem, na pokładzie jachtu, z którego widać było wodę. Ich miny zdradzały strach. Następne zdjęcia przedstawiały lot każdego z osobna do wody. Wyrzuceni niewidzialnymi rękami za burtę łapali w płuca swoje ostatnie oddechy. Jedno zdjęcie było ciemne i przedstawiało podwodną głębię. Prokurator wiedział, że „Bonasera” pozwolił sobie na ten żart, ponieważ uważał się za kogoś w rodzaju artysty. Tajne raporty ze śledztwa donosiły, że w domu Zygmunta Rolki odbywały się co pewien czas „artystyczne” orgie, na których nie brakowało znanych twarzy aktorów, dziennikarzy, muzyków, pisarzy i malarzy. W aktach Manna znajdowało się nawet zdjęcie „Bonasery” w masce Zorro, z gitarą i w białej podkoszulce wymalowanej przez jednego ze znanych awangardowych artystów. Wśród nadesłanych przez anonimów fotografii jedna przedstawiała gitarę gangstera. W ten sposób Mann miał poznać intencje „Bonasery”. Bez świadków i bez dowodów. Gitara nie stanowiła podstaw, aby wnieść przekonujące oskarżenie.

Po bójce prokurator wrócił do samochodu. Jego komórka zadzwoniła dokładnie w chwili, gdy wjeżdżał na stację benzynową. Poznał głos znajomego patologa.

- Doktor Sitarz? Patolog? - upewnił się Mann.

- Dokładnie - potwierdził tamten. - Mam coś nowego dla pana. Pamięta pan tamtą dziewczynę bez twarzy?

- Pamiętam. Trudno byłoby coś takiego zapomnieć.

- To dobrze, bo mam następną - wyjaśnił z triumfem w głosie lekarz. - Niech pan do mnie spadnie, to ją sobie obejrzymy...

- Jest pan pewny, że to taki sam przypadek? - prokurator miał jeszcze nadzieję, że się myli. Tak naprawdę liczył na to, że sprawy seryjnych morderców nigdy nie trafią na jego biurko. Górę wzięła jednak ciekawość. - Jadę...

Nie żałował. Nos mówił mu, że trafił na niecodzienną sprawę. Widok rozbitej głowy Katarzyny Raiss silnie nim wstrząsnął. Tym razem ciało było po wypadku i mimo że leżało w chłodni, nie sprawiało wrażenia martwego. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Z mieszanymi uczuciami Mann oglądał różowy lakier na paznokciach palców u nóg i niewielki, przedstawiający motyla tatuaż na lewym pośladku.

- Teraz mogę panu powiedzieć, że tamta pierwsza dziewczyna została zamordowana w podobny sposób - odezwał się lekarz. Poruszał śmiesznie brwiami i oblizywał wargi po zjedzeniu ciastka.

- Nie bardzo rozumiem. - Mann podniósł na niego zdziwione oczy.

- Skóra ściągnięta z twarzy to tylko fragment jakiejś większej całości - zaczął ostrożnie patolog. - W poprzednim przypadku nie mogłem jednoznacznie stwierdzić, o co w tym wszystkim chodzi... Wie pan, ciało leżało długo w wodzie, zostało oblane kwasem... Miałem pewne podejrzenia, ale nie chciałem wprowadzać pana w błąd. Teraz to co innego. Tej kobiecie najpierw wstrzyknięto barbituran, a dopiero potem przeprowadzono operację zdjęcia skóry z twarzy...

- Czy to znaczy, że ktoś najpierw je usypia, a dopiero potem, jak pan powiedział, operuje?

- Usypia to za dużo powiedziane - odparł z krzywym uśmiechem lekarz. - Raczej zabija... Nie mam wątpliwości, że mówimy tutaj o śmiertelnej dawce. W pierwszym przypadku prawdopodobnie tak było. Tym razem zaszło coś, czego morderca nie przewidział. Igła ześlizgnęła się po kołnierzyku i część barbituranu po prostu nie przedostała się do organizmu... Miała szczęście w nieszczęściu.

- Co pan sugeruje? - Prokurator zastanawiał się, dlaczego pominął listę najbardziej podejrzanych. Właściwie nie pominął, tylko odłożył do szuflady, na później.

- Myślę, że stoi za tym lekarz lub ktoś, kto zna się na chirurgii - stwierdził

spokojnie doktor Sitarz. - Może jakiś stary felczer? Kto wie?

- Myślałem o lekarzach... - szepnął cicho Mann. - Wtedy jednak miałem za mało danych. Co jeszcze, doktorze?

- Była dość bogata - odpowiedział patolog. - Jej ubranie zostało kupione w firmowych sklepach. Nawet majtki i stanik... - Zauważył wyczekujące spojrzenie prokuratora i kontynuował: - No cóż, skóra denatki jest doskonale utrzymana. Solaria, kremy, gabinety kosmetyczne... Na pewno regularnie tam chodziła. Była raczej

wysportowana. Zęby wyleczone, bez ubytków. Włosy zdrowe.

- Sugeruje pan, że pracowała w bogatej firmie? - zapytał prokurator, wpatrując się w pępek ofiary. „Ładnie zawiązany” - przemknęło mu przez myśl. Na zmiażdżoną głowę starał się nie patrzeć.

- To możliwe - wzruszył ramionami lekarz. - Kobitka miała klasę...

- Bezpośrednia przyczyna śmierci? - głos Manna zabrzmiał niecierpliwie. Miał dość tego miejsca.

- Wypadek samochodowy, panie prokuratorze - odpowiedział sztywno patolog.

- A gdyby nie wbiegła pod samochód, czy miała jakieś szanse?

- Oczywiście - doktor jakby się zawahał - jeżeli wcześniej nie zabiły jej stres...

- To znaczy? - westchnął Mann.

- To proste. - Doktor Sitarz był wyraźnie zmęczony. Stał się chłodny i zasadniczy. - Kiedy umierała, znajdowała się w śmiertelnym stresie. Wbiegła pod samochód, ponieważ nie wiedziała, co robi. Prawdopodobnie... Zaznaczam, że tylko prawdopodobnie. Wpadła w szok, kiedy zobaczyła się w lustrze na wystawie... Wtedy naprawdę dowiedziała się, że nie ma twarzy. Po prostu zobaczyła krwawą miazgę...

- Uciekała?

- Myślę, że tak - potwierdził lekarz.

- Ma pan ciastko na brodzie - rzucił prokurator.

- Dziękuję - patolog skinął głową i z niechęcią spojrzął na Manna. - Zostawiam na potem...

Lista chirurgów była długa i nie nasuwała żadnych podejrzeń. Dzielnica, w której zginęła Katarzyna Raiss, liczyła kilkadziesiąt tysięcy ludzi i szybkie sprawdzenie wszystkich nie wchodziło w grę. Prokurator siedział przy swoim odrapanym biurku i wodził długopisem po kartce papieru. Miał nadzieję, że policjanci, z którymi współpracował, wpadną w końcu na coś, co pozwoli nadać śledztwu



właściwy kierunek. Od kilkunastu godzin szukali podejrzanego wśród lekarzy. Zaznaczali miejsca pracy i odnosili to do dzielnicy oznaczonej na mapie czerwonym flamastrem. Mann poprawił pod pachą beretę i założył marynarkę. Po całym dniu pracy miał ochotę spędzić wieczór w towarzystwie kogoś miłego. Zrezygnował z treningu i wykreślił numer telefonu Beaty Alond.

– Dobry wieczór - zaczął lekko stremowany. - Robert Mann...

– O, jak to miło - zawołała z przekonaniem córka „Bonasery”. - Właśnie się zastanawiałam, co zrobić z dzisiejszym wieczorem.

– Myślę, że taka dziewczyna nie musi się o to martwić - odpowiedział z ulgą prokurator. - Chcę pani zaproponować kolację w chińskiej restauracji. We dwoje...

– A będzie pan grzeczny? - wyraźnie się z nim droczyła. Na ten wieczór miała już plany, ale teraz postanowiła je zmienić. Poza tym podniecała ją ta sytuacja. Prokurator miał w sobie ten rodzaj brzydoty, który zachęcał do zadawania cierpień. Była ciekawa, w jaki sposób

mężczyzna zareaguje, kiedy dowie się w końcu, że pokochał córkę „Bonasery”. Z premedytacją westchnęła do słuchawki.

– Przyjadę po panią. - Mann z trudem nad sobą panował.

Po telefonie zerwał się z krzesła i bez rozgrzewki zrobił pięćdziesiąt pompek. Musiał się zmęczyć, żeby nie oszaleć. Nigdy wcześniej nie umawiał się z tak pięknymi kobietami. Nawet nie próbował. Pozostawały mu przeważnie te szare i niewidoczne. Otworzył drzwi szafy i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Mimo że był do siebie przyzwyczajony, pokiwał z rezygnacją głową. Pocieszał się, że był podobny do Woodyego Allena i trafił na dziewczynę, która gustowała w takich właśnie jak on brzydalach.

Jedzenie w chińskiej restauracji przypominało drażnienie witką pawia. Poza smakiem i zapachem w powietrzu unosiła się aura zaledwie uchwytniej tajemnicy. To sprawiło, że prokurator rozluźnił się i poddał atmosferze oczekiwania. Beata Alond wyglądała tak pociągająco, że nie potrafił ukryć swego zmieszania. Jej przezroczysta bluzka i dekolt mimo woli skupiały jego uwagę. Nie wiedział, jak to ukryć, i próbował żartować. Doskonale zapamiętał zgrabne pośladki, które dziewczyna aż czterokrotnie pozwoliła mu obejrzeć, udając się do toalety. Prowadziła grę, która ją także wciągała. Wyczuwała, że prokurator od dawna nie miał żadnej kobiety. Złapała się na tym, że z premedytacją chce go do siebie przywiązać. Chciała, żeby zaczął ją błagać o miłość. Kelnerka podała zieloną herbatę i jabłko w karmelu.

– Jesteś piękna - wydusił z siebie Mann. Mniej więcej w połowie spotkania

przeszli na „ty”.

- To zasługa światła - odpowiedziała, udając zaskoczenie.
- Jesteś tak piękna, że za chwilę zwariuję - powtórzył z drzeniem w głosie.

Przychodziło mu to z wielkim trudem.

- Pora na nas. Rano mam spotkanie - zakończyła z niewinnie podniesionymi brwiami. Jej piersi w namiastce stanika zafalowały. Mann spochmurniał.

Kiedy odwiózł ją do domu, a ona pożegnała go krótkim pocałunkiem, jęknął:

- Chyba mnie tutaj nie zostawisz...
- Dobranoc - usłyszał i po chwili zobaczył, jak biegnie w stronę klatki schodowej.

Nie przypuszczał nawet, że ich spotkanie w restauracji zostało zarejestrowane na taśmie przez dwoje młodych ludzi siedzących dwa stoliki dalej. Nie miał pojęcia, że w pudełku zapalek kryła się miniaturowa kamera cyfrowa, a w kłapie żakietu Beaty tkwił schowany mikrofon. Zdziwiłby się jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że od początku do końca byli pilnowani przez ludzi „Bonasery”. Czarna limuzyna odjechała dopiero wtedy, gdy zapaliło się światło w pokoju dziewczyny. Mann leżał przez piętnaście minut na samochodowym fotelu i zastanawiał się, co powinien zrobić. Myślał o spędzeniu tej nocy z nią. Wyobrażał sobie, co by zrobiła, gdyby nagle zapukał do jej drzwi. W końcu zrezygnował i powoli odjechał. Jego wóz sunął po ulicach tak majestatycznie, jakby wioził przyszłych teściów.

Przez pierwszą godzinę nie mógł zasnąć. Przekręcał się z boku na bok, zapalał lampkę, włączał telewizor, ale sen nie przychodził. Wreszcie położył się na podłodze i zaczął wyciskać osiemdziesięciokilogramową sztangę. Miał wrażenie, że jego hormony rozgrzały się do białości. Nagle stał się spragnionym seksu samcem. Nic nie mógł na to poradzić. Sztanga opadła na podłogę, a on usiłował złapać oddech. Zmęczenie wprawdzie łagodziło napięcie, ale nie dawało psychicznego komfortu. Około trzeciej nad ranem zachciało mu się w końcu spać. „Nareszcie odpocznę” - pomyślał. I wtedy na górze rozległ się tupot butów. Twarde podeszwy bębniły o sufit w rytmie stepowania. Kiedy wydawało się, że jest po wszystkim, stukanie butów rozlegało się na nowo. Nieregularne, głośne i gwałtowne. Prokurator wytrzymał do czwartej. Wreszcie wstał i w piżamie wybiegł na klatkę schodową. Mężczyzna w skórzanych półbutach udał zdziwienie i oburzenie. Mann zagroził, że zaskarży go i osobiście zadba o wymierzenie kary. Tamten zaśmiał się tylko i zatrzaskał drzwi.

Gdyby Mann myślał tej nocy logicznie, zauważyłby, że w jego życiu zaczęło się

dziać coś całkowicie nowego; nagle i z wyjątkowym natężeniem. Piękna kobieta wydawała się oszaleć na jego punkcie, sąsiad ćwiczył taniec akurat wtedy, gdy on miał zamiar iść spać, a opony w samochodzie były cierpliwie przebijane. Po tygodniu zaczęła go prześladować muzyka poważna. Tym razem w mieszkaniu poniżej jakiś chuderlawy typ uderzał w klawisze pianina, starając się za wszelką cenę zagrać poprawnie gamę. Na nieszczęście nie miał w ogóle słuchu i każdy dźwięk wybuchał w mieszkaniu prokuratora niczym granat. Niezaspokojona miłość do Beaty

Alond, bezsenność i ciągle zdenerwowanie wprawiły Roberta Manna w stan przypominający odurzenie narkotykami. Przestał kojarzyć fakty, coraz mniej czytał i miewał zmienne nastroje. Nie przypuszczał nawet, że brał udział w cynicznym planie „Bonasery”. Gangster wykupił, słono przepłacając, dwa mieszkania - bezpośrednio nad i pod prokuratorem, wynajął odpowiednich ludzi i cierpliwie czekał, aż szaleństwo dojrzeje i rozsądzi głowę Roberta Manna od środka.

Po trzech tygodniach nie przybył ani jeden nowy dowód w sprawie mafii, pojawiła się za to niekompletna lista lekarzy, z którymi należało porozmawiać. Wśród nich znajdowało się także nazwisko Wiktora Szobera. Prokurator podkreślił trzy pierwsze osoby i zmęczony usnął na krześle. Nie zauważył, że do pokoju kilkakrotnie zaglądali jego koledzy, po czym z uśmiechem na ustach cicho się wycofywali. Jedna z młodych asystentek zrobiła mu nawet zdjęcie. Akurat w tamtym momencie chrapał głośno, a jego usta otworzyły się i zamarły w głupim wyrazie.

Doktor Szober nie mógł wiedzieć, że popełnia błąd, wyprowadzając się z Mokotowa. W ten sposób zwrócił na siebie uwagę prokuratora Manna, któremu nie przeszkodziły w tym ani stres, ani bezsenne noce. Wystarczyła informacja, że pewien lekarz zmienił miejsce zamieszkania. Pewnego popołudnia w salonie Szobera rozległ się telefon. Doktor był wtedy pijany i starał się wytrzeźwieć przed wieczornym zabiegiem.

- Mówi Mann - głos w słuchawce wydawał się śmiertelnie zmęczony. - Jestem prokuratorem i prowadzę śledztwo w sprawie śmierci dwóch kobiet. Chciałbym się z panem umówić na spotkanie.

- Jakie spotkanie? - wybełkotał z trudem Szober. - Czego pan ode mnie chce? Jestem dzisiaj po dużej wódce i nie mam zamiaru nigdzie wychodzić...

- Cóż, zadzwonię jutro. - Słuchawka opadła na aparat, a prokurator szeroko ziewnął. Nie miał zamiaru umawiać się z pijanym lekarzem. Koledzy zarzucali mu nieraz, że nie trzyma się ściśle procedury i umawia na spotkania osobiście. Oni

korzystali z sekretarek i oficjalnych wezwań. Już na wstępie mrozili przesłuchiwanego powagą urzędu i sprytną socjotechniką.

Teraz prokurator marzył o odpoczynku i spotkaniu z Beatą Alond. Dość miał kłótni z uciążliwymi sąsiadami. Wszystko, co przedsięwziął na drodze prawnej, rozbijało się o mur niezrozumienia. Nie działały żadne mechanizmy - ani kilkakrotne wizyty policji, ani upomnienia ze spółdzielni, ani wezwania do sądu. Jego są- siedzi otoczeni byli najlepszymi adwokatami, którzy ze skarg prokuratora robili zwykłą farsę. W tym przypadku możliwości prawa zderzały się na najwyższym poziomie. Obie strony nie ustępowały i doskonale posługiwały się paragrafami. Z dnia na dzień Robert Mann coraz bardziej się załamywał i tracił nadzieję. Brał nawet pod uwagę zamianę mieszkania.

Po rozmowie z doktorem Szoberem przyłapał się na tym, że myślał już tylko o wieczornej kolacji z Beatą. Ostatnio kilkakrotnie zapraszała go do mieszkania, doprowadzała do skrajnego podniecenia, po czym ciepło żegnała. Zamawiała mu nawet taksówkę. Pozwalała się od czasu do czasu pocałować, ale unikała jakiegokolwiek zbliżenia. W czasie takich kolacji zapalała świece, wypijali drogie wino i słuchali nastrojowej muzyki. Rozmawiali, śmiali się, patrzyli sobie w oczy i czasami trzymali za ręce.

Mann zaczynał wariować. Brak snu, stres i napięcie seksualne sprawiły, że pewnego dnia poczuł się bardzo źle. Wybierał się do lekarza, kiedy zadzwonił telefon. Jeden ze znajomych policjantów poinformował go, że znalazł trop, który może mieć znaczenie. Młody aspirant, Stanisław Lis, który zaocznie studiował prawo, zauważył coś ciekawego.

- Co tam macie? - jęknął Mann do słuchawki. Miał wrażenie, że umiera.
- Ta babka bez twarzy... Pamięta pan? - aspirant mówił szybko i z wiejskim akcentem. „Tacy mają parę” - przeleciało prokuratorowi przez głowę. - Czytałem o tej sprawie i chyba coś znalazłem...
- Tak? - zapytał automatycznie Mann.
- Znalazłem taką jedną, która pasuje mi do opisu denatki - poinformował z euforią w głosie policjant.
- Nie bardzo rozumiem - zdziwił się prokurator. - Twierdzicie, że wiecie, jak wyglądała zamordowana? To ciekawe...
- Co tu gadać - przerwał aspirant. - Z akt wynika, że tamta miała na siedzeniu tatuaż, takiego motyla... Tak było czy nie?
- No, mówcie dalej. - Zmęczenie zaczęło się oddalać. Wyglądało na to, że czasochłonna komputerowa obróbka tego, co zostało z twarzy ofiary, nie będzie

potrzebna.

- Poszedłem tam, gdzie ona pracowała, i znalazłem. - Tym razem euforia zamieniła się w ekstazę. Aspirant sycił się każdym swoim słowem. I miał powody, bo Mann od kilku sekund słuchał go bardzo uważnie.

- Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że tak sobie poszliście do miejsca pracy jednej z dziesiątek zaginionych kobiet i powiedzieli wam o tatuażu na jej pośladku?

- No właśnie, panie prokuratorze - wysapał aspirant - pogadałem z kim trzeba i wyszło szydło z worka... Wie pan, dogadałem się z jej koleżanką z pokoju. Zaprosiłem na kawę, postawiłem ciastko i język jej się rozwiązał. Przez parę dni nie mogłem sobie tego ułożyć, ale dzisiaj sobie przypomniałem... Ten cholerny tatuaż nie dawał mi spokoju... Dlatego zadzwoniłem.

- Dobra robota - pochwalił prokurator. Znow miał przecucie. Wróciło to, czego doświadczył w dniu śmierci Julii Górskiej. Odczuwał to tak, jakby przypominał sobie scenę z wesela, na którym był w dzieciństwie.

- Potrzebne mi jest jej zdjęcie, życiorys i co tam jeszcze macie... Dacie radę przywieźć to zaraz?

- No jasne - potwierdził skwapliwie policjant. Był szczęśliwy i usatysfakcjonowany. - Za pół godziny wszystko dostarczę.

Układanka powoli zaczynała się porządkować. Mann zaparzył sobie mocną kawę i próbował pokonać senność. Wykonał szybką gimnastykę, czego nie robił od blisko miesiąca, i dużymi łykami wlał w siebie kawę. Drzenie mięśni znikło, wróciła koncentracja. Kiedy sekretarka zapowiedziała wizytę aspiranta Lisa, kazał go natychmiast wprowadzić. Pokazał policjantowi miejsce przy stoliku, wziął pospiesznie dokumenty i spojrzął na rysunek przedstawiający twarz Katarzyny Raiss. „Ładna kobieta - stwierdził w myślach - zbyt ładna, żeby umrzeć”. Zapamiętał nazwisko i podniósł wzrok na policjanta.

- Powiedzieliście, że miała wytatuowanego motyla - zaczął. Odruchowo stał się protekcyjny.

- Na lewym... pośladku - odparł policjant. Widać było, że stara się wyrażać elegancko. - O, takiego... - Wyjął z kieszeni munduru złożoną na pół kartkę. Mann obejrzał rysunek i uśmiechnął się z przebiegłym wyrazem twarzy.

- Wiecie o tej kobiecie tyle, że wygląda to co najmniej dziwnie... - Popatrzył aspirantowi w oczy.

- No, wie pan, jej koleżanka... A co tam, powiem... - Policjant machnął ręką i kontynuował: - Po prostu zapoznałem się z jej koleżanką i może coś z tego

będzie... No, chodzimy ze sobą... Dlatego tyle wiem... Rysunek zrobiłem według jej opisu. One razem studiowały, tylko moja dziewczyna jest trochę młodsza.

– W porządku - uspokoił go Mann. - Zrobiliście świetną robotę. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to osobiście wystąpię o awans dla was... Macie nosa, kolego, i cholernie dużo szczęścia. Pierwszy raz coś takiego spotykam. Jesteście w czepku urodzeni. Ręczę wam, że w tej robocie zbyt wielu cudownych przypadków nie ma. Coś jeszcze?

– Pomyślałem sobie, że pokażę panu moją listę podejrzanych. - Aspirant poczuł się wyraźnie ośmielony i doceniony. Po raz drugi zaskoczył prokuratora. Kolejna kartka trafiła do rąk Manna.

– Co za historia... - w pokoju rozległo się nagłe westchnienie. Prokurator o mało nie krzyknął z radości. Na prywatnej liście podejrzanych znajdowało się nazwisko Szobera. Obok był dopisek: „bardzo bliscy znajomi denatki”. - To największa niespodzianka w mojej dotychczasowej pracy - stwierdził prokurator. Protekcyjny ton gdzieś zniknął. - Będzie z pana doskonały śledczy...

– Chcę być prokuratorem - wtrącił aspirant. - Takim jak pan. Dziesięć minut później w nowym mieszkaniu Szobera zadzwonił telefon. Doktor zwał się z fotela i chwiejnym krokiem podszedł do telefonu. Nie miał wcale ochoty wytrzeźwieć. Marzył o kolejnej szklance wódki i pograżeniu się w nieświadomości.

– Mówi prokurator Mann. Postanowiłem jednak zaprosić pana na jutrzejszą rozmowę. Okazuje się, że mamy wspólnych znajomych...

– Nie bardzo rozumiem, o co chodzi - wysapał chirurg. - Od dawna z nikim się nie spotykam... Za dużo pracuję, żeby tracić czas na pogawędki.

– Czekam na pana jutro o godzinie dziesiątej - uciął prokurator. Adrenalina powoli opadała i wracało osłabienie. - Proszę o punktualność, ponieważ nie chciałbym wysyłać po pana radiowoza. Do widzenia.

Minutę później prokurator z trudem opanowywał drżenie mięśni i zawroty głowy. Bezsensowność robiła swoje.

Po tym telefonie doktor Szober przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co tak gwałtownie zmieniło uprzejmość prokuratora w zakamuflowaną pogroźkę. Zajrzał do sypialni, gdzie od czasu wygojenia się szwów lubiła prze siadywać jego żona. Nie odsłaniała zasłon i poruszała się w półmroku, nawet w dzień paląc grube i pachnące świece. Malowała małe obrazki, nie odzywając się ani słowem. Nie pozwalała włączać muzyki, nie odbierała telefonów, ubierała się

wyłącznie w szlafrok i kazała wyrzucić wszystkie lustra. Szober nie wiedział, czy tak wyglądało duchowe uspokojenie i poprawa samopoczucia, czy też w umyśle jego żony powoli wzbierało szaleństwo, które kiedyś po prostu wybuchnie. Zakupy przyzwyczaił się już robić sam.

Najtrudniej było zaakceptować milczenie. W końcu uznał, że wystarczą jego słowa, aby mogli się porozumiewać. Szybko przekonał się, że taki układ ma też swoje dobre strony. Wystarczyło, że powiedział, co myśli, i kontakt z żoną się urywał. Z upływem czasu doktor nauczył się zadawać pytania i samemu na nie odpowiadać. Uznawał, że brak sprzeciwu Patrycji oznacza niemą zgodę.

Podejrzenia prokuratora zburzyły jednak spokój doktora i zachęciły do wypicia dużej porcji wódki. Postanowił nie iść tego dnia do gabinetu i odwołać planowane zabiegi. Robił tak w ostatnim czasie wiele razy, nikt więc nie powinien się dziwić. W tym momencie potrzebował rozmowy z żoną. Mieszkanie, w którym zaszyli się po sprzedaży domu na Mokotowie, było nowe i bardzo przestronne. Na stu pięćdziesięciu metrach zmieścili wszystko, na czym im zależało. Wierzyli, że osiedlenie się na peryferiach Warszawy w niewielkim, trzykondygnacyjnym bloku pozwoli im zachować anonimowość i zagwarantuje spokój.

- Kochanie - odezwał się cicho doktor. Jego głos zawiesił się na kilka sekund pod wpływem alkoholu. - Mam dla ciebie złą wiadomość...

- Kiedyś musiała nadejść - przemówiła nagle Patrycja. Była nafaszerowana środkami uspokajającymi i nic nie czuła.

- Prokuratura chyba się czegoś dowiedziała - wyjaśnił Szober, siadając na łóżku. - Może to nic ważnego, ale musimy być przygotowani na najgorsze.

- Czyli? - zapytała, wpatrując się w niego.

- Nooo... - zawahał się. - Nie wiem jeszcze, ale może powinniśmy pomyśleć o wyjeździe za granicę.

- Boże... Czy my już zawsze będziemy uciekać? - westchnęła Patrycja.

Wyglądała ładnie i nic nie zdradzało jej choroby. Mimo lekarstw nie przytyła i nie zaczęła przypominać pucharu z bitą śmietaną. Przestała pić i rzuciła palenie. Jej twarz zachowała niektóre cechy Katarzyny Raiss, załamując się jednak inaczej na bardziej wystających kościach policzkowych. W porównaniu z gładką urodą Julii Górskiej nowa twarz wydawała się dojrzała i przez to także o wiele inteligentniejsza. Doktor miał zwyczaj kiwać z uznaniem głową, ilekroć patrzył na swoje wspaniałe osiągnięcie. Z dwóch możliwości: ze skóry dawcy i naturalnych warunków kostno-mięśniowych pacjenta, powstała nowa jakość.

- Jak się czujesz? - zapytał, obejmując ją ramieniem. Teraz pragnął jej coraz

rzadziej. Od kiedy zaczął mieć kłopoty z erekcją, unikał zbliżeń i starał się o tym nie rozmawiać.

- Żle - odparła cicho. - Zawsze czuję się źle, kiedy nie wezmę tabletek. Myślisz, że o nas wiedzą?

- Niewiele - odpowiedział doktor. - Gdyby było inaczej, już siedzielibyśmy w więzieniu. Macają teren.

Ten prokurator powiedział, że mamy wspólnych znajomych... Dziwne, bo z nikim się od dawna nie kontaktujemy. Dzwoniłaś do kogoś?

- Wiesz, że nie - pokręciła głową.

- Opowiedz mi lepiej, co czujesz, kiedy teraz na siebie patrzysz? - zmienił temat.

- Nie patrzę na siebie - potrząsnęła ramionami. - Zapomniałeś, że wyrzuciłam wszystkie lustra?

- Myślałem, że jesteś ciekawa...

- Jestem... Tylko bardzo się boję. - Skurczyła się i zacisnęła pięści. - Boję się tego, co było, tego, co zobaczę...

- O ile pamiętam, bardzo chciałaś mieć właśnie jej twarz - przerwał zdziwiony. Pod wpływem tej rozmowy alkohol zdawał się szybciej z niego uchodzić.

- Bo ją znałam i lubiłam - szepnęła Patrycja. - Teraz boję się jej. Boję się, że zacnie mnie straszyć...

- Jeżeli nie spróbujesz, to nie będziesz wiedziała - stwierdził. Dopadła go pijacka czkawka. - Przez ciebie muszę się golić elektryczną maszynką... - zażartował. W tym obwieszonym obrazkami pokoju, ze smugami światła prześwitującymi przez żaluzje, poczuł się lepiej niż w salonie. Panowała tu cisza, a świat za oknem zdawał się nierealny.

- A jeśli znów pocuję to co wtedy? - przestraszyła się Patrycja.

- Zależy, co wolisz. Może chcesz, żeby tak jak teraz było zawsze... - Poczul, że za bardzo wytrzeźwiał.

- Nie chcę - odpowiedziała drżącym głosem.

- Może będziesz musiała wyjechać sama - zaczął ostrożnie. - Najlepiej do Włoch. Jeżeli będziemy musieli uciekać, to...

- Zgadzam się - wtrąciła szybko. - Tak, chcę stąd wyjechać. Im szybciej, tym lepiej. Wołałabym jednak mieszkać gdzieś w Polsce. Blisko Warszawy...

Zanim usnęli, z ust Patrycji wydobyło się bolesne westchnienie:

- Brakuje mi naszych starych znajomych... To były cudowne lata. Pamiętasz?

Doktor tego już nie usłyszał. Zasnął nerwowym, pijackim snem. Wcześniej jednak,



sam nie wiedział dlaczego, pomyślał o Lublinie. Wyobraził sobie, że tam znajdują spokój. Tysiące studentów, a wokoło lasy i jeziora. Kilka sekund przed zaśnięciem zdecydował się.

## Rozdział IV

Zygmunt Rolka miał problem. Część jego ludzi nie chciała pogodzić się z odejściem i przekazaniem interesów w obce ręce. Po pierwszych uzgodnieniach ich lojalność zaczęła się chwiać. Gangsterów nie obchodziło spokojne życie z procentów ani legalne inwestycje. Nudziły ich też rozmowy z prawnikami. Przyzwyczaili się do innego życia i nie wyobrażali sobie spokojnej starości. Byli uzależnieni od adrenaliny i wściekłości, która pozwalała na każde ryzyko. Tęsknili za smakiem zemsty. Kochali męskie popijawy i przekleństwa, które wylewały się z gardła niczym pomyje. Ich świat oznaczał władzę i wpływy. Nie potrafili zrozumieć, dlaczego „Bonasera” chce podarować im coś, o czym w rzeczywistości zawsze marzyli. Niektórzy poczuli się oszukani i zepchnięci na margines. „Ojciec chrzestny” stał się kimś obcym. Dopóki jego intencje zgadzały się z ich wyobrażeniami, dopóty posłuszeństwo nie bolało. Przypominało to grę w filmie. Po ostatniej naradzie coś pękło. Dlatego poprosili o spotkanie. Po raz pierwszy zdecydowali się wpłynąć na swojego szefa. Kiedy parkowali samochody przed rezydencją Zygmunta Rolki, zastanawiali się, czy przeżyją następną dobę. Znali „Bonasere” i wiedzieli, że ta wizyta może mu się nie spodobać.

W salonie przy okrągłym stole siedział szef i jego córka. W rogu stał Zenek „Rumba” odpowiedzialny za ochronę. Obserwował wchodzących. Kiedy „ojciec chrzestny” podniósł się i ociężałym krokiem zbliżył do swoich ludzi, lunął gwałtowny deszcz. Za oknami zrobiło się mroczno, a strugi wody zaczęły bębnić o dachy. „Bonasera” skinął głową i „Rumba” zapalił światło. Usiedli. Każdy z gangsterów przytulił i ucałował Beatę Alond. Nie tak jak kiedyś, wesoło i niefrasobliwie; teraz robili to z poczuciem obcości. Od kiedy stała się pełnoprawnym członkiem ich grupy, straciła przywileje dziecka. Poza tym nadal ją obserwowali, oceniali i czekali na efekty pracy. Legalne interesy zawsze kojarzyły im się z bankrutem.

- Dobrze, że przyszlście - głos „Bonasery” brzmiał bardziej ochryple niż zwykle. Był jedynym człowiekiem, któremu nie mieli za złe braku przekleństw. - Wiem, że są pewne problemy, że moja ostatnia decyzja trochę was zaskoczyła. - Gangster nie powiedział „przerosła”, użył słowa, które mogło im się spodobać. - Myślę, że długa przyjaźń mocno ludzi łączy. To taki cement, który nigdy nie wypływa na powierzchnię... - Na twarzach obecnych pojawił się cień niepokoju.

Wszyscy pomyśleli o tym samym. - Chyba chcecie mi powiedzieć coś ważnego. Moja córka również was szanuje i przyszła na to spotkanie. Uważam was za jedynych godnych zaufania ludzi, jakich znam. - Słowa nie nie kosztowały, a potrafiły zaczarować kogoś na całe życie. W ustach „Bonasery” były groźną bronią. - Wiem też, że każdą decyzję można zmienić...

- Szef ma świętą rację - zaczął jako pierwszy Franciszek Zyga zwany „Czubem”. - Musimy trzymać się razem

albo nas rozpier... - przerwał i zmusił się do znalezienia innego słowa. - No... wybiją jak jakieś kundle...

Beata Alond była pewna, że Zyga chętnie użyłby innych słów. Wyraźnie się męczył. Tylko przekleństwa dawały mu poczucie spełnienia.

- Jestem za robieniem tego, co do tej pory - odezwał się cierpko Jerzy Mamicz zwany „Korbą”. - Zdechnę z nudów, jeśli pożegnam się z moim interesem... Na cholere mi forsa, kiedy człowiek nie wie, co ze sobą zrobić. A na emeryturę i kaptcie mam jeszcze czas, szefie...

„Bonasera” udał, że nie zauważył ledwie uchwytnego braku szacunku „Korby”. Oparł się o poręcz krzesła i podrapał w głowę. Dokładnie tak jak don Corleone, kiedy rozwiązywał jakiś problem. Miał nadzieję, że wszyscy to zauważą.

- Nikt nie każe ci wkładać kaptcie - uspokoił „Korbę”. - Martwię się o nasze zyski i przyszłość. Myślę o śledztwie... Czasy są trudne i różni ludzie nam przeszkadzają. Dawniej można było to i owo ukryć, teraz zrobiło się zbyt widno. I zbyt ciasno. Młodzi rwą się do życia i mają ambicje. W tysiącach bloków w całym kraju mieszkają ludzie bez pracy i bez pieniędzy... - „Bonasera” zawiesił głos, aby mieli czas przetrwać jego słowa. Chciał zarazić ich swoim strachem przed rewolucją, przed biedą spuszczoną ze smyczy. - Ich dzieci oglądają telewizję, widzą bogactwo i denerwują się... Takie nerwy prowadzą najczęściej do wybuchu wściekłości i braku zasad. - Spojrzał w ciemne okno, jakby szukał tam ilustracji do swojego opowiadania. - Takich ludzi można szybko oszukać, prawda?

- No a nie? - zaśmiał się głośno Ryszard Bień, pseudonim „Wabik”. - Chłopaki aż się palą...

- Ja myślę, że jest takich ludzi za dużo - przerwał „Bonasera”. Teraz upodobił się całkowicie do swego filmowego idola. Wszedł w rolę i nie miał zamiaru tego przerywać. Nawet córka spojrzała na niego z podziwem.

- Zawsze można kogoś sprzątnąć... - dodał „Korba”. Pozostali nie odzywali się.

- Czy jesteś w stanie wymordować pięćdziesiąt tysięcy ludzi? - zapytał melancholijnym tonem „Bonasera”. - A może więcej? Wiesz, kogo chcesz

zamordować i za co? Czy każdego usłyszysz i zaskoczysz? Skąd wiesz, co drzemie w głowie takiego piętnastolatka czy nawet trzynastolatka? Przecież nie zabijesz wszystkich...

- Ale ze dwie setki mogą skasować - zaśmiał się krzywo „Czub”. - Jak mi ktoś podpada, to zawsze tak robię. Zresztą szef też lubi te numery...

- Nie chcę tutaj mówić o numerach - kontynuował cierpliwie „Bonasera”. Za dużo o nim wiedzieli. Teraz to przeszkadzało. - Boję się więzienia... Nie ma tam słońca, dobrych samochodów, pięknych kobiet, przyjaciół i prawdziwego jedzenia... Więzienie to coś, co może nas pozbawić chęci do życia. Warto przecież cieszyć się życiem, prawda?

- Tyle razy dawaliśmy sobie radę, że i teraz nie odpuścimy - postawił się mocno „Korba”. - Już szef coś wymyśli...

- Nie zatrzymamy czasu - pokręcił głową „Bonasera”.

Jego córka wyłowiła pierwszą oznakę zniecierpliwienia. Nigdy nie widziała zabijanego człowieka, nie patrzyła na błagających o życie ludzi. O wszystkim wie działa tylko z opowiadań. W połowę z nich nie wierzyła, w inne nie chciała wierzyć. Każda zbrodnia jej ojca wydawała się nierealna. Podobnie jak rozmowa, którą toczył przy tym stole. Zaczynała rozumieć powiązania, jakie narodziły się jeszcze przed jej narodzinami. Wyłaniał się obraz inteligencji i głupoty zaprzężonych do jednego wozu. Spojrzała z podziwem na ojca i z całej siły zaprzęgnęła mu pomoc. Zdała sobie sprawę, jak bardzo musiał być twardy, aby kierować tymi ludźmi i wybudować swoje imperium. Zrozumiała poświęcenie i miłość, jakimi ją otoczył.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytała, celowo modulując głos niżej.

- No właśnie, szefie, niech pana córka coś powie - zachęcił ją „Czub”. - Młoda jest i może nas zrozumie...

- Rozumiem tyle, że chcecie zdechnąć w więzieniu, tak? - zapytała bez ogródek. Spojrzała na „Czuba”, jakby chciała mu napluć do mózgu. - Bo, o ile wiem, prokurator dobiera wam się do tyłków i za chwilę wytoczy akty oskarżenia. Tak czy nie?

Spojrzeli na nią z podziwem. Nie spodziewali się, że „Bonasera” aż tak dobrze przygotuje swoją córkę. „Korba”, „Czub” i „Wabik” pokiwali niechętnie głowami. Próbowali ukryć zdenerwowanie. W oczach „Korby” na sekundę pojawiła się namiętność. Uwielbiał łamać takie kobiety. Córka „Bonasery” po raz pierwszy wywołała w nim nieoczekiwane pożądanie. Gangster poczuł, że będzie musiał coś z tym zrobić.

- Co jest lepsze? Spokój czy więzienie? - kontynuowała zimnym głosem. Sprawiała wrażenie automatu, który wyrzucał z siebie nagrane słowa. Na to spotkanie

ubrała się w czarny kostium i białą bluzkę. Wyglądała jak posepna i nieprzejednana wdowa po Sycylijczyku.

- Moja córka zadała bardzo ważne pytanie - dodał „Bonasera”. - Co jest lepsze?

- A nie możemy robić i tego, i tego? - zapytał naiwnie „Wabik”. - Niech by tylko ktoś nie zapłacił albo spróbował gadać, to szybko się sprawę załatwi. Nie ma jak rodzina, szefie. Wszyscy srają ze strachu na samą myśl, że żoneczka albo dzieciaczki mogą... Płacili i będą płacić dalej. Szkoda interesu...

- Co ci z pieniędzy, jeżeli trafisz za kraty? - pytanie zadał Janusz Derski, wypróbowany i najstarszy przyjaciel „Bonasery”. Pozostali spojrzeli w jego stronę i odgadli, że trzyma z szefem.

- Zanim mnie przykną, przyczaję się i zmienię klimat - odciął się „Wabik”. - Ze szmałem wszędzie mnie przyjmą...

- Bez przyjaciół? - to pytanie zadał Romuald Falski. Zniszczona przez boks twarz nie wyrażała niczego poza posłuszeństwem. - Pogięło cię?

„Wabik” uśmiechnął się szeroko, błyskając złotą koronką. Kiedy miał zamiar zabić, zawsze tak robił. Tym razem jednak siedział wśród ludzi, którzy znali jego metody. Falski nie zmienił nawet wyrazu oczu. Nie miał jednak wątpliwości, że teraz będzie musiał się bardziej pilnować.

- Na nasze szczęście prokurator Mann ma kłopoty - „Bonasera” uznał pierwszy temat za wyczerpany. - Od wielu dni nie może spać i kupił sobie tabletki uspokajające. No i opuścił się w pracy. Nie może zamknąć naszej sprawy. Prawda?

- Udało się - potwierdziła Beata. - Mam wrażenie, że od pewnego czasu myśli tylko o jednym.

W salonie rozległy się pojedyncze śmiechy. Niektórzy zrozumieli dwuznaczność.

- Nasza Beatka rozpałała faceta i trzyma go na krótkiej smyczy - wyjaśnił dosadnie Derski. - Mamy go z dwóch stron. Teraz to kwestia dni i zacznie nam jeść z ręki...

Wszyscy przy stole pokiwali głowami. Twarz „Bonasery” zdradzała dumę z córki. Najgłośniejsi potakiwał „Korba”. Tego dnia on jeden naprawdę zrozumiał, na czym rzeczywiście polegało cierpienie prokuratora Manna. I to podniecało go najbardziej. Kiedy wychodzili, rzucił ukradkowe spojrzenie dziewczynie i szybko wsiadł do swojego czarnego BMW. Był ostatnim, który nie zamienił samochodu.

– Do burdelu - rzucił do kierowcy i zacisnął mocno zęby. „Co za dupek” - pomyślał o prokuratorze. W tym momencie wyobraził sobie nagą Beatę i siebie przy niej. Godzinę później, zanim poranił ciało kolejnej prostytutki, zdążył przyzwyczaić się do myśli, że dumna córka „Bonasery” będzie kiedyś należała do niego. I nikt nie zdoła jej pomóc.

Nerwy prokuratora Manna puściły około trzeciej nad ranem. Od czterech godzin słyszał nad głową stepowanie. Z kolei w mieszkaniu na dole rozlegały się nieregularne uderzenia w klawisze pianina. Mimo podwójnej dawki środków nasennych nie mógł zasnąć. Przewracał

się z boku na bok, wkładał do uszu zatyczki, przyciskał poduszkę, ale drażniące dźwięki nie znikwały. Tkwiły w jego umyśle i nie pozwalały o sobie zapomnieć. W końcu nie wytrzymał. Kiedy usłyszał skrzypce, poderwał się i rzucił w piżamie do drzwi. Krew nabiegła mu do oczu, a oddech stał się gwałtowny i płytki.

– Zabiję, zabiję cię, skurwielu... - warczał pod nosem, zbiegając po schodach. Z rozpędu uderzył nogą w drzwi pianisty. Zatrzeszczały krótko i zwały się do środka mieszkania. Prokurator zaślinił się z wściekłości i dopadł do siedzącego przy pianinie chudego mężczyzny. Pięść trafiła go w sam środek nosa. Drugi z grających, skrzypek stojący obok pianina, zmarł z przerażenia. Nie na długo, bo dostał cios w brzuch i przewrócił się na zabytkową lampę. Dopiero wtedy obaj pobici zaczęli przeraźliwie krzyżeć. Mann opanował się, ale było już za późno. Z mieszkania naprzeciwko rozległ się krzyk: „policja!”. Minutę później przez wywalone drzwi wbiegło dwóch młodych ludzi w skórzanych ubraniach i zaczęło filmować pomieszczenie. Cały pokój był zakrwawiony, a pianista i skrzypek nie przestawali wzywać pomocy. Do mieszkania wsunęły się nowe osoby i wszystkie po kolei zapewniały, że wezwały policję i zaraz będzie porządek. Prokurator wybiegł z mieszkania pianisty i schował się u siebie. Dopiero teraz zrozumiał, że posunął się za daleko i może mieć poważne kłopoty.

O spotkaniu z doktorem Szoberem przypomniał sobie dopiero wieczorem. Było już za późno. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Sam znalazł się w kłopotach i to całkowicie wiązało mu ręce. Wiedział, że w ten sposób odsuwa w czasie zamknięcie sprawy mordercy kobiet,

ale nie mógł sobie wyobrazić, że przekaże śledztwo komuś innemu. Poza tym potrzebował sukcesu, który umocniłby jego zawodową pozycję.

Szober po odczekaniu dziesięciu minut opuścił prokuraturę i pojechał z powrotem do swojego mieszkania. Los dawał mu szansę ocalenia i postanowił ją wykorzystać. Po drodze przypomniał sobie o przeglądzie samochodu. W czasie kiedy

mechanicy wymieniali olej i klocki hamulcowe, doktor opróżnił piersiówkę i pogrążył się w błogim półśnie. W takich momentach wracał mu szacunek dla samego siebie.

Kłopoty prokuratora zaczęły się na dobre. Adwokaci pianisty i skrzypka zadbali, aby sprawa przedostała się do prasy, radia i telewizji. Prześcigali się w znajdowaniu powodów, dla których Robert Mann pobił swoich sąsiadów. Znaleźli się świadkowie, życzliwi znajomi świadków, wreszcie film, który powstał - jak podkreślali jego młodzi autorzy - w wyniku spontanicznej reakcji. Do sprawy włączył się bardzo chętnie również tancerz z góry. Opowiadał w szczegółach o zaczepkach prokuratora i braku szacunku dla sąsiadów. Wreszcie sprawa stanęła na ostrzu noża. Przełożeni poinformowali Manna, że jeżeli skarga nie zostanie cofnięta, będą musieli zawiesić go na jakiś czas w obowiązkach.

Zygmunt Rolka, który niezwykle starannie wyreżyserował całą sytuację, śmiał się do rozpuku, obserwując rozwój wydarzeń. Nie żałował także pieniędzy, jakie utopił w czterech mieszkaniach i w ludziach - w każdej chwili były do odzyskania. Jego przeciwnik został zneutralizowany w białych rękawiczkach. Nie trzeba było uciekać się do opłacania zaprzyjaźnionych policjantów i polityków.

Każdy, kto znał „Bonasere” i wiedział o usidleniu prokuratora Manna, dzwonił i wyrażał szczery podziw dla pomysłu. Nawet „Korba”, „Czub” i „Wabik” musieli przyznać, że szef przeprowadził mistrzowską operację. I to właśnie irytowało ich szczególnie. Tak bardzo, że pewnego wieczoru przestali nad sobą panować.

Dwa dni przed oficjalnym zawieszeniem prokuratora zadzwonił telefon. Oschły głos „Wabika” poinformował z satysfakcją:

- Mogę cię z tego wyciągnąć...
- Kto mówi? - zapytał cicho Mann.
- Daj spokój... - odparł z lekceważeniem gangster. - Powiem, gdzie, kiedy i kogo masz podsłuchać... Nagrasz sobie jednego facia i po strachu. Wchodzisz w to?
- Kogo mam nagrać? - prokurator skrzywił się, jakby zobaczył kosz ze śmieciami. Podejrzewał kolejną prowokację.
- Dowiesz się w swoim czasie - warknął „Wabik”. - Napiszesz mi też zobowiązanie, że w razie kłopotów dasz cynk...
- Dobranoc - powiedział Mann i odłożył słuchawkę. Teraz naprawdę był wściekły.

Telefon zadzwonił po raz drugi. Gangster nie spieszył się, niejednego już w życiu rozkruszał. Znał swoją pracę i lubił wracać do wypróbowanych metod.

- Za dwa dni kopną cię w dupę - stwierdził z naciskiem. - Nie zostanie z ciebie nic. Adwokaci oskarżonych zrobią z ciebie wariata... Tak, tak... Napalonego przygłupa, co to w nocy napada na sąsiadów. A twoi są- siedzi przysięgną na zdrowie matek, że prawie ich zaka trupiłeś. Gołodupiec z ciebie, prokuratoru, i nie wyjdzie ci to na zdrowie. Za dwa dni będzie po tobie. No jak?

Odpowiedziała mu cisza.

- Twój wybór...

- Jaką mam gwarancję, że mówisz prawdę? - Mózg Manna w panice szukał jakiegoś punktu zaczepienia.

- Żadnej - zaśmiał się gangster. - Jesteś ugotowany...

- Zaczekam - odparł prokurator. - Zaczekam, aż... wyparuję.

Słuchawka opadła. Dowód na prowokację znajdował się na taśmie. W dniu oskarżenia przezornie pomyślał o podłączeniu telefonu do magnetofonu. Z automatycznym włączaniem. Ostrożnie wyjął taśmę z nagraniem. Czuł, że z każdą następną sekundą uspokaja się i zaczyna myśleć logicznie. Chwilowe załamanie i panika zniknęły. „Mam jednak trochę szczęścia” - stwierdził z ulgą. Pomyślał o Beacie. Tęsknił za nią. Nie sięgnął jednak od razu po telefon, lecz ponownie skoncentrował się na gangsterskiej prowokacji. Teraz, kiedy miał w rękach dowód swojej niewinności, poczuł się znacznie lepiej. „W najgorszym przypadku - przypuszczał - sąd uzna, że działałem pod wpływem emocji”.

Następnego dnia przekonał się, w jaki sposób działał Zygmunt Rolka. Gangster zajechał mu drogę i zaprosił do swojej limuzyny. Dwaj goryle Rolki wyszli na zewnątrz i w pogotowiu czekali obok samochodu. Gangster uśmiechnął się szeroko i zwycięskim gestem poklepał prokuratora po ramieniu. Wyglądał na zrelaksowanego. Jego skóra była opalona, a złote okulary dodawały twarzy pewności siebie. W porównaniu z nim Mann sprawiał wrażenie zagłodzonego psa. Błady, wymizery- wany, z podkrążonymi oczami i lekkim drżeniem rąk z niewyspania - kwalifikował się najwyżej do przytułku. Gdyby mógł, na zawsze zdeformowałby znenawidzoną twarz Rolki.

- No i co ja mam z panem zrobić, drogi Robercie? - zapytał ojcowskim tonem „Bonasera”. Znow był „ojcem chrzestnym”.

- A co pan ma na myśli, panie Zygmuncie? - odpowiedział podobnym tonem prokurator.

W oczach gangstera zatańczył cień. Szczęki zacisnęły się i uprzejmość zgasła.

- Dałem panu szansę, ale jej pan nie wykorzystał - kontynuował chłodno. -

Jutro adwokaci rzucają pana na pożarcie... Jest tylko jeden sposób, żeby tego uniknąć. Tylko jeden. Pan wie...

- Co wiem? - prokurator udał głupiego.

- Ja i moi ludzie chcemy mieć spokój. - Rolka szybko zapomniał o uśmiechu a la *don*. - Chcę, żebyś zamknął śledztwo albo skierował je w ślepią uliczkę. No i zapomnij o „Pelerynie”...

- A jeśli nie? - pytanie zadźwięczało jak gniazdo os.

- Wtedy zostaniesz łobuzem, który bije sąsiadów, a ja nigdy nie dam ci spokoju - odparł „Bonasera”. - A zauważyłeś chyba, że mam dobre pomysły, prawda? Trochę mnie ta impreza kosztowała, ale warto było. Jesteś mój.

- Nie wziąłeś czegoś pod uwagę - głos Manna zdradzał satysfakcję. - Mam dowód, że to prowokacja...

- Prowokacja? - zaśmiał się gangster. Wyciągnął z kieszeni cygaro, zapalił i wypuścił kłąb dymu. - Za dużo gazet czytasz. Jesteś zwyczajnym łobuzem, Mann, który napadł na swojego sąsiada...

Prokurator bez słowa wyjął z kieszeni magnetofon i włączył taśmę. Kiedy „Bonasera” rozpoznał „Wabika”, spuścił wzrok. Był wściekły jak nigdy. Jego misterny plan został położony przez zwyczajną głupotę. W dodatku kilkadziesiąt tysięcy dolarów poszło w gwizdek. Nie miał wątpliwości, że taśma stanowiła dostateczny dowód prowokacji.

- Jest pan szczęściarzem - podsumował cierpko. - Rozumiem, że nie odpuści pan i będziemy mieli kłopoty, tak?

- Tak właśnie będzie... - potwierdził prokurator. - Teraz pana kolej na bezsenne noce.

Wysiadł z samochodu, zostawiając taśmę na siedzeniu. Obejrzał się i dorzucił:

- To dla pana. Proszę to sprzedać do radia. Powinno mieć wzięcie...

Mann wszedł do budynku prokuratury, cicho pogwizdując. Nawet zmęczenie nie mogło mu odebrać radości z pozbycia się kłopotu. Postanowił skontaktować się z Beatą. Najpierw jednak musiał zadzwonić do informacji i zapytać o telefon. Potrzebował rozmowy z kimś bliskim. Drzenie rąk i ból głowy stopniowo znikwały. Nie miał pojęcia, że kilka minut po rozmowie z Zygmuntem Rolką ponownie stał się celem. Tym razem Beata Alond miała go nie oszczędzać. Gangster chciał, żeby prokurator wpadł w sidła i ostatecznie się skompromitował.

Dlatego pół godziny później spotkał się z córką w amerykańskiej restauracji i zamówił wielki, dobrze wysmażony stek. „Ależ ona piękna” - westchnął z ojcowską dumą, kiedy zbliżała się do stolika. Jeżeli naprawdę kochał kogokolwiek



na świecie, to tym kimś była właśnie ona. Wybaczał jej wszystko. Gdyby nawet pewnego dnia doniosła na niego na policję, nie uwierzyłyby i zlikwidował oszczerców. Pachniała najlepszymi perfumami, nosiła eleganckie ubrania i starannie dobierała buty. Poza tym miała w ruchach zmysłową miękkość. „Bonasera” wiedział, że ona także gotowa była zrobić dla niego wszystko. Usiadła, zakładając nogę na nogę, i poklepała go przyjaźnie po ręce.

– Nie martw się, tato - powiedziała, widząc jego minę. - Każdy ma jakieś problemy...

– Mann znowu się wymknął - odparł, wykrzywiając usta. - „Wabik” chciał mnie sprzedać i wszystko mu wygadał.

– „Wabik”? - w ustach córki nie zabrzmiało to jak pytanie. Raczej jak wyrok.

– Pora na ciebie - stwierdził gangster. - Możesz go teraz docisnąć... - kiedy to mówił, zrobiło mu się nieswojo. Miał wrażenie, że sprzedaje własne dziecko.

– Zamecz go, kochanie, zamecz go swoją urodą i niedostępnością... Ładne słowo, prawda? Niedostępność. Kiedyś tak nie mówiłem...

– Nie martw się. Będzie skamlał za mną jak pies - powiedziała bez cienia wątpliwości.

– Zrób z niego szmatę - dodał „Bonasera”, krojąc stek. - No właśnie, niech skamle jak pies... Rozpal go i nic nie dawaj! Boże, chciałbym to zobaczyć, chciałbym zobaczyć, jak odpadają mu... - Gangster zawahał się i dokończył: - Najważniejsze, żebyś go nie dopuściła do siebie. Żaden facet tego nie wytrzyma, daję ci słowo. Nasz prokurator zacznie ci się w końcu spowiadać. Za głaskanie po głowie... No, no, no... Wyobraź sobie, że po raz pierwszy wykończymy jakąś prokuratorską gniędę legalnie. Bo seks jest legalny. To gorsze niż śmierć... -Przerwał i poważnie zapytał: - Dasz sobie radę?

– Przecież wiesz... - odpowiedziała, popijając sok pomidorowy ze szklanki ojca. - To ciekawy eksperyment psychologiczny, tato.

– Gdyby próbował, to rzuć czymś w okno... Nie, zaraz... - Gangster promieniał. - Zrobimy to, co on. Podśluch. W całym twoim mieszkaniu. Co ty na to?

Beata skrzywiła się. Ten pomysł jej się nie spodobał. Wiedziała jednak, że tylko w ten sposób ojciec mógł jej zapewnić całkowitą nietykalność i zarazem zdobyć dowody przeciwko prokuratorowi.

– Dobrze, ale ja będę to włączać - zdecydowała szybko. - I tylko wtedy, kiedy trzeba.

„Bonasera” obrzucił córkę rozbawionym spojrzeniem i pokiwał głową. Wtedy właśnie zadzwonił telefon. Prokurator sam wywołał się do tablicy. Głos Beaty na-

tychmiast uległ zmianie. Fala zmysłowości, jaką z siebie wyrzuciła, o mało nie spowodowała wybuchu śmiechu „Bonasery”. Głos dziewczyny drżał, pulsował, obiecywał, podnosił się i opadał, zawieszał w powietrzu, ślizgał niemalże fizycznie po ciele „ukochanego”, nastrajał i zmuszał do marzeń. „Najlepsza aktorka świata - stwierdził w duchu gangster - moja córka!”

„Wabik” poprawił krawat i przyjrzał się sobie w lustrze. Zrobił kilka wymyślnych grymasów i naprężył mięśnie. Podobał się sobie i nie miał kompleksów. Tego wieczoru umówił się na spotkanie z Beatą Alond. Dziewczyna sama do niego zadzwoniła i poprosiła o rozmowę. Nawet się nie zdziwił. Od kiedy przejęła część interesów, próbował traktować ją jak kogoś ważnego. Zmuszał się i przyzwyczajał do nowej sytuacji. Osobiście łamał opór niejednej ładnej panienki i - gdyby nie „Bonasera”

– chętnie zrobiłby to z jego córką. Teraz jednak postanowił cierpliwie zaczekać na reakcję Roberta Manna. Wierzył, że prokurator potrafi wybić „Bonasera” z głowy mrzonki o uczciwych interesach.

Powietrze pachniało ciastkami. Pobliska piekarnia kończyła właśnie świeży wypiek. Wiał lekki wiatr, gdzieś tam przejeżdżały samochody, a na niebie tańczyły laserowe smugi jednej z dyskotek. „Wabik” skinął na swojego ochroniarza i po chwili siedział już w samochodzie. Podał adres mieszkania Beaty i zapalił papierosa. „Co za rozkosz - przemknęło mu przez głowę - jadę sobie dobrym samochodem, lada chwila stary »Bonasera« będzie miał na karku prokuratora, pałę dobrego papierosa i mam na koncie kupę szmalu”. Poza tym kto wie co mogła chcieć od niego córka Rolki. Ktoś przecież będzie musiał się nią zaopiekować. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby to był jeden ze starych przyjaciół ojca. Wiek nie miał tutaj znaczenia. „Niejedno mogę ci jeszcze pokazać, małeńka, niejedno...” - takie myśli towarzyszyły „Wabikowi” w trakcie jazdy.

Czterdzieści minut później zatrzymali się koło domu, w którym mieszkała Beata. Gdyby „Wabik” był mniej zrelaksowany, zauważyłby przez niedomknięte żaluzje tańczącą parę. Być może także rozpoznałby prokuratora Manna. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Gangster wysiadł z samochodu i ruszył w stronę klatki schodowej. Wokoło było pusto i świeciły tylko dwie latarnie. Podniecony gangster nie zauważył, że jego ochroniarz nie wysiadł z samochodu, lecz leniwie rozparł się na siedzeniu i zapalił papierosa. Patrzył za swoim szefem, a jego oczy nie wyrażały żadnych uczuć, tak jakby znały scenariusz i czekały na rozwój wypadków.

Kiedy „Wabik” mijał samochód prokuratora, tylne drzwi otworzyły się i jakiś głos zawołał:

- „Wabik”! Właż na chwilę...

Poznał Janusza Derskiego. Tamten uśmiechał się do niego w mdłym świetle samochodowej żarówki. „Wabik” zawahał się przez sekundę, ale w tym samym momencie zobaczył walizkę wypełnioną po brzegi dolarami. Derski otworzył szeroko wieko i powoli zamknął. Taki widok zawsze pobudzał ciekawość. „Wabik” rozejrzał się, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Uspokojony wsiadł do samochodu.

- Drzwi - szepnął Derski.

- Jakie drzwi? - zapytał zaskoczony „Wabik”.

- Jak zamkniesz drzwi, to światło zgaśnie...

- Aaa, drzwi... - zrozumiał „Wabik” i nachylił się, żeby znaleźć uchwyt.

- Wiesz, czy to samochód? - zapytał konfidencko Derski.

-Nie?

- Prokuratora Manna.

- To po jaką cholere tu siedzimy? - przytomne pytanie „Wabika” mogło rozstroić gitarę. Zabrzmiało naprawdę cienko.

Nagle tylne drzwi samochodu otworzyły się i wsiadł Zygmunt Rolka. „Wabik” zrobił się czujny. Coś się szykowało - tego był pewny. Zastanawiał się, gdzie podział się jego ochroniarz.

- Dzień dobry, przyjacielu - odezwał się „Bonasera”. Przemawiał jak „ojciec chrzestny”, a to nie wróżyło niczego dobrego. - Byliśmy ze sobą dostatecznie długo... Dlaczego?

- Szefie, nie wiem, o co panu... - w taki sposób mówiono w operach mydlanych.

- Dwadzieścia siedem lat jesteśmy razem - kontynuował „Bonasera”. - Dałem ci wszystko, co posiadasz: pieniądze, samochody, domy, konta, znajomości, wyjazdy w świat, udziały... Dlaczego, „Wabik”, dlaczego!?

- Widzę, że ktoś mi szyje buty - gangster stwardniał i spróbował się bronić. - Niech mi szef pokaże tego skur...

- Dlaczego? - powtórzył zatrokanym głosem „Bonasera”. - Kto cię zmusił do takiego... - Zapadła cisza; tak jakby językowi gangstera zabrakło słów. - Czego jeszcze nie dostałeś, „Wabik”? Za mało masz pieniędzy? Ktoś cię kupił?

Ton głosu Zygmunta Rolki mógł pobudzić do płaczu nawet kamienie. Brzmiało szczerze i przejmująco. „On chyba pyta naprawdę” - pomyślał ze zdziwieniem „Wabik”. Derski siedział obok, ale się nie odzywał. Patrzył na ulicę i wydawało się, że za chwilę uśnie. I to było najgorsze.

- Powiesz mi? - zapytał po raz kolejny Rolka bez żadnej oznaki utraty cierpliwości.

- Niech pan strzela, szefie - poszedł na całość „Wabik”. - Chciałbym tylko wiedzieć, kto mnie wkopał?

- Nikt - odpowiedział miękko „Bonasera”. Dopiero w takich momentach odczuwał przyjemność korzystania z własnej inteligencji. - Skup się i odpowiedz mi: dlaczego?

- Nie łapie, co jest grane...

Magnetofon z ręki Rolki trafił w spoconą z emocji dłoń „Wabika”. Pozostał tam, jakby służył do wyrażania uczuć. Wymienili spojrzenia. Magnetofon zadziałał. Po trzydziestu sekundach wszystko było jasne. Rozmowa „Wabika” z prokuratorem Mannem zabrzmiała jak zaproszenie do sycylijskiego fryzjera. „To koniec” - uznał całkowicie zaskoczony „Wabik”. Opał na siedzenie i ciężko oddychał. Wyłączył magnetofon. Nie miał przy sobie żadnej broni. Ten wieczór zapowiadał się zupełnie inaczej. Miało być przyjemnie i słodko.

- Zdenerwowałaś mnie, „Bonasera” - jęknął z wykrzywioną twarzą. - Kazałeś nam się wycofać. A ja nie jestem szczeniakiem, słyszysz? Mam w dupie twoje numery... - Nagły przypływ złości sprawił, że „Wabik” podniósł głos. - Mam w dupie, słyszysz!?

- Tak, w dupie - odpowiedział spokojnie gangster. - Szkoda, że do mnie nie przyszedłeś. Zawsze jest lepsze wyjście...

- „Na psa”, co? - zaśmiał się szyderczo „Wabik”. - Nogi w cztery michy, w beton i do wody... Nie, to nie dla mnie... Odgrywasz twardziela, bo nikt ci nie przyłożył brzytwy do jajek...

- Naprawdę tak myślisz? - „Bonasera” zapytał tak, jakby miał zamiar wydepilować sobie nogi.

- Możesz mnie pocałować...

„Wabik” nie dokończył. Derski błyskawicznie chwycił go za włosy, pociągnął do tyłu i wepchnął w usta tłumik. Strzał zabrzmiał jak kłaśnięcie w dłonie. Było po wszystkim. Nowy garnitur, krawat i koszula mogły towarzyszyć „Wabikowi” co najwyżej do trumny. Drogi żel i zapach wody kolońskiej czuć było jeszcze przez kilka godzin. Snuły się wokół stygnącego ciała. Gangster umarł, mając przed oczami neonową reklamę banku. Ostatnią myślą „Wabika” było wspomnienie walizki wypełnionej dolarami.

Gdyby nie żaluzje, neonowe światło wpadałoby również do pokoju Beaty Alond. W półcieniach zapalonych świec prokurator Mann słuchał nastrojowej muzyki i

wodził oczami za dziewczyną. Od dwóch godzin jadł wyszukane potrawy, popijał dobrym winem - i cierpiał. Był tak podniecony, że z trudem oddychał. Starał się to ukryć. Wcześniej, kiedy zadzwonił i poprosił o spotkanie, wydawało mu się, że trafił na właściwy moment. Beata zaprosiła go do siebie na kolację i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Teraz zachowywała się tak, jakby nie zdawała sobie sprawy, co się z nim dzieło. Śmiała się, pokazując piękne zęby. Od czasu do czasu zalotnie dotykała palcami jego policzka lub w trakcie mówienia pochylała się do przodu, drażniąc widokiem namiętych ust. Jej prześwitująca sukienka odsłaniała sterczące piersi

bez stanika i zaledwie widoczne stringi. Ilekroć stawała w przejściu prowadzącym do kuchni, w prokuratorze gotowało się pożądanie. Jej zapach, rozpuszczone włosy, makijaż, szyja i delikatne dłonie oszałamiały Manna do tego stopnia, że kończył już drugą butelkę wina. Zachowywał się jak młokos. Próbował ją przytulać, chwycić za ręce i obejmować. Nie obchodziło go ani śledztwo w sprawie „Bonasery”, ani trop prowadzący do mordercy kobiet bez twarzy. Nie pragnął niczego poza dotykiem tej kobiety.

Zakochał się.

- Napijesz się piwa czy wolisz deser? - zapytała dziewczyna, siadając pod światło.

- A co mi radzisz? - Nie próbował nawet ukrywać, że patrzy na jej piersi.

- Deser - kokieteryjnie spojrzała mu w oczy - tira- misu...

- Nie boisz się, że przytyję? - próbował zażartować, ale wypadło to całkiem blado.

- Przyniosę - zdecydowała nagle i szybko wstała. Zakołysała się jednak, straciła równowagę i upadła prosto na kolana prokuratora. Jakimś cudem jego ręka znalazła się dokładnie na jej piersi. Trwało to tylko trzy sekundy, ponieważ zaraz się podniosła i ze śmiechem wyszła do kuchni. Jeżeli podniecenie miało jakieś granice, to z pewnością Mann już dawno je przekroczył. Tiramisu zjadł w ciągu minuty. Obserwował ruchy jej warg w czasie jedzenia i powoli zaczął zbliżać rękę do jej włosów. Kiedy wydawało mu się, że dziewczyna pochyla się w jego stronę, że będzie mógł ją wreszcie pocałować, czar prysnął. Złapała się nagle za głowę i zawołała:

- O Boże, zapomniałam na śmierć, że mam jeszcze poprawić artykuł...

Prokurator poczuł, że jego mózg zamienia się w rozgotowany krochmal.

- Jaki... artykuł? - wydusił z siebie.

- Ważny - odpowiedziała szybko i zaczęła zbierać ze stołu talerze. -

Przepraszam cię, ale na dzisiaj koniec. Musisz iść... Szkoda, taki piękny wieczór. Widzisz, do czego doprowadziłeś?! - droczyła się z nim, ustawiając na szklanym blacie barku butelki.

Widok jej wypiętych pośladków prawie go zabił. W dodatku stale były w ruchu. Biodra kołysały się, zakręcały i raz po raz podnosiły. „Idę, bo oszaleję” - postanowił i jak mógł najszybciej podniósł się z miękkiej kanapy. „Jaka szkoda, że pod kolorowym obiciem nie schowano afrodyzjaków” - pomyślał z żalem. Takich, które sprawiają, że męskie feromony dostają niemalże militarne wsparcie. Wyobraził sobie, że delikatne obicia kanap i foteli zaczynają wydzielać substancję zniewalającą kobiety. „Chyba się upiłem” - stwierdził cierpko i przestał fantazjować.

- Kiedy się zobaczymy? - Nie mógł uwierzyć, że o to zapytała. Znowu poczuł się bezsilny i zakochany.

- Kiedy tylko zechcesz - odpowiedział i pochylił się, żeby ją pocałować.

- Idź już, bo nie zasną. - Uniknęła jego ust, cmoknęła go w policzek i lekko wypchnęła za drzwi.

Kiedy znalazł się na ulicy, odetchnął głęboko i w miejscu zrobił szybką gimnastykę. Dziesięć przysiadów, dwadzieścia skłonów i trzydzieści wymachów rąk. Obejrzał się i spojrzał w górę. Była tam. Otworzyła okno i pomachała do niego. I znowu światło w mieszkaniu obrysowało kształt jej piersi. Po chwili jednak okno zamknęło się i obiekt pożądania zniknął. Kolejna porcja przysiadów uspokoiła go tylko na chwilę. Za to dwaj ludzie „Bonasery” zaśmiewali się prawie do łez. Siedzieli w nieoświetlonym mieszkaniu naprzeciwko i obserwowali wyczyny prokuratora. Rolka zlecił im najnudniejszą z robót i teraz mogli odreagować. Widok Manna, który przysiadami wyrzuca z siebie chuć, był dla nich tak samo przyjemny jak wizyta u prostytutki. Poza tym chcieli zobaczyć minę prokuratora, kiedy wsiądzie do samochodu. Alkoholowe oszołomienie tamtego sprawiło, że nie doświadczyli tej satysfakcji. Mann po prostu niczego nie zauważył. W ciemnościach trup „Wabika” na siedzeniu samochodu był prawie niewidoczny. Zapach wody kolońskiej zwietrzył, a instynkt niczego prokuratorowi nie podpowiedział. Zapalił silnik i spokojnie odjechał. „Zbyt spokojnie” - stwierdzili ochroniarze Beaty i rozczarowani zapalili światło. Uznali, że teraz mogą zjeść kolację i odpocząć.

Następnego dnia ciała w samochodzie już nie było. Rolka postanowił nie szarżować. Tej samej nocy kazał zabrać trupa i obutego w betonowe skarpety wyrzucić do zalewu.

## Rozdział V

Najgorsze miało się dopiero wydarzyć. Szoberowie od trzech dni mieszkali w wynajętym mieszkaniu i poznawali miasto. Lublin przywitał ich słoneczną pogodą, czystym powietrzem i spokojną, sielską atmosferą. „Wymarzone miejsce dla turystów” - pomyśleli oboje. Po przyjeździe kupili gazetę i otworzyli rubrykę z agencjami nieruchomości. Niestety, przy żadnej nie było znaku jakości. Przypadkowo wybrali się do jednej z najbardziej znanych, gdzie bez trudu polecono im sto metrów kwadratowych blisko centrum. W mieszkaniu wszystko było umeblowane i pachniało pastą do podłogi. Spodobało im się i od razu się wprowadzili. Pozostawili za sobą adres rodziców Patrycji i brak informacji o miejscu pobytu. Warszawskie mieszkanie sprzedali, meble oddali na przechowanie, a pacjentów odwołali. Trop urywał się nagle i mieli nadzieję, że skutecznie. Oficjalnie nikt ich o nic nie oskarżył. Dla prokuratury i policji mogli być co najwyżej podejrzanymi. Zlikwidowali telefony komórkowe i jeździli samochodem pożyczonym od ojca doktora Szobera.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy wyszli razem na spacer. Starali się zachować spokój i nie zwracać niczyjej uwagi. Skończyli z dawną elegancją i drogimi zakupami. Wybrali sztruksowe stroje, tanie buty i kurtki. Udało im się stopić z tłumem tylko częściowo, ponieważ

w żaden sposób nie mogli ukryć swojej urody. Doktor nadal był przystojny, a jego wzrost rzucał się w oczy. Patrycja przyciągała wzrok swoją figurą, a jej twarz miała oryginalny, pociągający wyraz. Spacerowali wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Miasto przypominało budzące się po długim śnie niedźwiedzia.

- Dobrze, że wyjechaliśmy... - powiedziała na wpół do siebie Patrycja. Była nafaszerowana lekarami i z trudem składała słowa.

- Lepiej się czujesz? - zapytał doktor, nie mając nadziei na usłyszenie prawdy. Sam był po trzech kieliszkach wódki i czuł, że dopiero się rozkręca.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała bez namysłu. Dokładnie tak, jak w podręcznikach do nauki angielskiego. - Jestem głodna...

- Nie nudzisz się? - Szober wyraźnie nawiązywał do swojego nastroju. Pozbawił się kontaktów z przyjaciółmi, pożegnał pacjentów i zamknął gabinet. Odciął się od miasta, które kochał i które rozumiał. Przyjęcia, przyjemne życie i poczucie wolności zostały gdzieś daleko. Teraz towarzyszył mu strach i niezaspokojone pragnienie. Nie chciał trzeźwieć i prawie stale myślał o pełnej butelce.

- Nie - odparła cicho.

Wystawiła twarz do słońca. „Jest ładna, naprawdę ładna” - uznał z satysfakcją Szober. „Czy naprawdę nie mogłaby tego zaakceptować? Dlaczego oboje daliśmy się pokonać wyrzutom sumienia?” - doktor pytał sam siebie, nie znajdując przekonujących odpowiedzi.

Potem był wieczór. Patrycja zażyła kolejną porcję środków uspokajających, a doktor opróżnił całą piersiówkę.

Najbardziej dokuczala im samotność. Nikogo w tym mieście nie znali i wydawało im się, że znaleźli się w całkowicie innym świecie. Każde z nich zamknęło się w sobie i cierpiało w milczeniu. Czasami tylko, chcąc jakby zmylić partnera, wtrącali jakieś pytanie lub niezobowiązujące zdanie. Spokój miasta sprawił, że poczuli się jeszcze bardziej samotni. Wydawało się, że zło o nich zapomniało. Jednak kilka minut przed dwudziestą zauważyli, że byli śledzeni.

Aspirant Stanisław Lis nie miał doświadczenia i ulegał emocjom. Dlatego zwrócił uwagę Patrycji. Zbyt długo i zbyt natarczywie wpatrywał się w jej twarz - była na to wyczulona. Nie mogła wiedzieć, że młody policjant za-symulował przeziębienie, pożyczył od kolegi samochód i wyjechał za nimi. Zdążył to zrobić w ostatniej chwili. Kiedy doktor wychodził z żoną z domu swoich teściów, Lis parkował właśnie w pobliżu.

Trzydniowa obserwacja zmęczyła aspiranta i sporo kosztowała. Zatrzymał się u znajomego, którego poznał w szkole policyjnej. Tamten zgodził się o nic nie pytać, widząc niedostępną i tajemniczą minę kolegi. Pożyczył mu nawet aparat fotograficzny, dając do zrozumienia, że łatwo go zepsuć. Lis wykonał kilka zdjęć, starając się nie wzbudzać podejrzeń. Miał wrażenie, że gdzieś wcześniej widział już twarz Patrycji Szober, ale nie potrafił sobie tego przypomnieć. Tym bardziej był zaintrygowany. Śledził doktora, ale uwagę kierował w stronę obojga. Sprawa pochłaniała go tak bardzo, że postanowił ją rozwikłać. Chciał pokazać prokuratorowi Mannowi, co znaczy prawdziwy policyjny nos. Zapomniał się tylko raz, to jednak wystarczyło, żeby żona doktora zauważyła natrętne spojrzenie. Była zdenerwowana, ponieważ lekarstwa szybko przestawały działać, a nowe mogła wziąć dopiero za dwie godziny.

- Jakiś mężczyzna bardzo nam się przygląda - powiedziała wówczas do męża.
- Ten z aparatem? - spytał Szober. - Zauważyłem go...
- Chyba robił nam zdjęcia - dokończyła.

Wrócili do wynajętego mieszkania, uspokoili się tabletkami i wódką, po czym wyjrzeni przez okno, szukając wzrokiem intruza. Był tam. Stał koło drzewa i palił papierosa. Na jego ramieniu wisiał aparat.



- Kto to może być? - zastanawiał się doktor. Czuł się kompletnie zamroczony alkoholem i nie miał zamiaru tego zmieniać. Pytał, ponieważ całą sprawę traktował w tym momencie jak scenę z filmu.

- Przypomina rolnika... - oceniła z niewyraźną miną kobieta. - Popatrz na niego. Twarz, włosy...

- Policjant? - Szober na moment wytrzeźwiał.

- Kto wie? - podsumowała filozoficznie Patrycja. - Możemy go o to zapytać...

W taki sposób uśmiechali się tylko zawodowi ha- zardziści. Cała twarz przybierała wówczas uprzejmy, przyjazny wyraz, ale oczy pozostawały zimne i wrogie. Doktor zdecydował w ciągu kilku sekund:

- Chodźmy...

Ona jednak postanowiła poczekać na męża w ich samochodzie; usadowiła się na tylnym siedzeniu i opadła zmęczona na zagłówek. Szober zaszedł aspiranta od tyłu, po czym z rozbijającą pijacką szczerością zapytał:

- Czy chciałby pan o czymś ze mną porozmawiać?

Zaskoczenie policjanta było tak wielkie, że wypadł mu z dłoni papieros. Odwrócił się zdenerwowany i wykrztusił nieswoim głosem:

- O! Ale mnie pan przestraszył...

- Zauważyliśmy, że chodzi pan za nami i postanowiliśmy to sprawdzić - wyjaśnił Szober. Język mu się lekko plątał, ale trzymał się prosto. To właśnie ośmieliło Lisa, który przybrał sprytny wyraz twarzy i powiedział:

- Lubię robić zdjęcia. Takie hobby... - uwielbiał obce słowa, a to uważał za jedno z najmądrzejszych.

„Co za banalny typ” - pomyślał rozczarowany doktor. „Nudziarz, jeszcze jeden cholerny prowincjonalny nudziarz”. Nie wyraził jednak tego wprost, tylko objął Lisa ramieniem i pociągnął lekko w stronę samochodu.

- Zapraszamy pana na przejażdżkę... - przerwał, żeby nabrać powietrza. Wódka zaczynała go usypiać. Czuł zmęczenie i chciał się położyć. - Moja żona i ja lubimy poznawać artystów...

Aspirant zawahał się. Jego przebiegły umysł chwycił okazję i błyskawicznie szufladkował spostrzeżenia. Pijany, rozluźniony, gadatliwy, wylewny, bezpośredni, łzawy... Ktoś taki mógł rzeczywiście powiedzieć więcej, niż chciał. „Panie prokuratorze, przywiozę panu niezły materiał” - ucieszył się w duchu aspirant. „Podam go panu na talerzu...”

- Za pół godziny, dobra? - zaproponował pospiesznie. Chciał się wykazać, a widok podejrzanego doprowadzał go niemalże do ekstazy. Czuł się tak blisko

rozwiązania tajemnicy morderstw dziewcząt bez twarzy, że z trudem powstrzymywał się od radosnego okrzyku.

- Oczywiście - zgodził się uprzejmie doktor. - Za pół godziny w tym miejscu... Lis nigdy jeszcze tak szybko nie biegał, nawet w szkole policyjnej. Wpadł do mieszkania kolegi i rozgorączkowanym głosem poprosił o magnetofon. Otrzymał go dzięki magazynierowi z miejscowej komendy. Starszy mężczyzna pożyczył zatrzymany u kogoś dyktafon, chętnie udzielając instrukcji. Aspirant schował urządzenie do kieszeni marynarki i wybiegł na spotkanie. Miał wrażenie, że zamienia się w policjanta z Miami. Za moment schwyta zabójcę, przedstawi dowody i dostanie awans. Będzie rodzina, muzyka i znajome dziewczyny...

Umarł tak samo szybko jak Julia Górka. Z pięciokrotnie przekroczoną dawką barbituranów nie miał żadnych szans. Jego ostatnia rozmowa przypominała najambitniejszą fazę prokuratorskiego przesłuchania. Postanowił zaskoczyć doktora i przyszpilić niewygodnym pytaniem.

- Ja o wszystkim wiem - powiedział po kilku minutach jazdy samochodem. - Jak pan chce, to mogę zaświadczyć, że sami się do wszystkiego przyznaliście...

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparł Szober. Kierował samochodem i starał się jechać prawą stroną. „Co to za dureń - przemknęło mu przez głowę - kogo my ze sobą zabraliśmy?”

- Wiem, że zamordował pan Katarzynę Raiss - wypalił aspirant. Miał ze sobą rewolwer i czuł się bezpieczny. Poza tym doktor i jego żona przypominali manekiny.

- Co pan mówi? - Szober zatrzymał samochód na poboczu i odwrócił się do policjanta. - Kim pan w ogóle jest?

- Aspirant Stanisław Lis - odpowiedź była twarda i zabrzmiała groźnie.

- To dlatego pan za nami chodził?

- Od razu nabrałem podejrzeń, kiedy pana zobaczyłem - wyjaśnił skwapliwie Lis. - Jest pan idealnym przypadkiem...

- Czy pan nas śledził? - wtrąciła sennym głosem Patrycja. Patrzyła na aspiranta i zastanawiała się, kto spiłował mu tak nierówno przednie zęby. Wyglądało to tak, jakby aspirantowi wyrosły w dzieciństwie same kły.

- Nos, proszę pani, nos mnie za wami pognał - pochwalił się policjant. Był młody i pewny siebie. Smakował każdą sekundę swojej przewagi. - Zawsze mi mówili, że mam do takich spraw nosa...

Język policjanta brzmiał nieludzko banalnie. Akcent zdradzał pochodzenie, a głupawa pycha na twarzy potęgowała nieprzyjemne wrażenie. „Skąd ten kmiotek

się tutaj wziął? Co to za improwizacja?” - w świadomości Szobera szmerła strumyk pytań. Przez moment nie wiedział, czy był tak bardzo pijany, czy wszystko działo się naprawdę.

- Co pan wie? - zapytała Patrycja.

- Wiem o morderstwie Katarzyny...

- To wie każdy - przerwał doktor. Włączył silnik i wjechał na szosę. Coraz trudniej przychodziło mu koncentrowanie się na jeździe. - Nie przeszkadza panu, że jestem pijany?

- Co? - Aspirant dopiero teraz zdał sobie sprawę ze stanu Szobera. Był tak przejęty śledztwem, że nie zwracał uwagi na szczegóły. Układał mozaikę według z góry zaprojektowanego wzoru. W jego podejrzeniach nie było miejsca na pijanego mordercę ani tym bardziej cierpienie łagodzone lekami antydepresyjnymi. - Panie, pan naprawdę jest nieźle wstawiony...

- No to co z tym morderstwem? - kontynuował Szober. Cała sytuacja zaczynała go bawić. Domyślił się, że nie może to być żadna zaplanowana z góry akcja policji lub prokuratury. Nie miał wątpliwości, że poziom intelektualny aspiranta nie kwalifikował się nawet do otwierania drzwi zawodowemu śledczemu.

- Niech pan lepiej powie o jej twarzy... Dlaczego ją pan wyciął? - Policjant cieszył się, że dyktafon w kieszeni znajdował się prawie na wysokości ust doktora. Spojrzenie Szobera powędrowało w kierunku bocznego lusterka. Dopiero teraz dało o sobie znać zdenerwowanie i poczucie osaczenia. Młody aspirant zrobił coś, co nie mieściło się w żadnym policyjnym kodeksie. Zaryzykował prywatny pościg za mordercą.

- Kto o nas wie?

- Ja i prokurator Mann - odpowiedział dumnie aspirant. - Obaj zajmujemy się tą sprawą, jeśli chce pan wiedzieć.

- Na pewno - skomentował nie bez złośliwej przyjemności chirurg. - Co wiecie?

- Wszystko, żeby was zamknąć - w głosie policjanta nie było wahania. Mimo to nie wzbudzał zaufania i raczej prowokował uśmiech politowania.

- A ja, pana zdaniem, kogoś zabiłem, tak?

- Tak by wypadło - odparł policjant.

W ciemnościach nie widzieli swoich twarzy, ale Patrycja dostrzegła strach w oczach męża. Wystarczyło jej tylko jedno spojrzenie w lusterko. Znow nie mieli wyjścia.

- No i udało się... - stwierdził Szober, oblizując spieczoną wargi. - Chciał się

pan wykazać, prawda?

– Nie ma o czym gadać. - Aspirant był twardy jak sierp i młot.

– Jeżeli powie mi pan prawdę, to może się panu uda... - Doktor próbował zaprzyjaźnić się z policjantem. - No? Co panu zależy? Przecież nie uciekniemy... Zresztą coś panu powiem... Na ucho, żeby żona nie słyszała...

Miasto i pusty parking sprawiły, że kolejna zbrodnia nie wydała się trudna. Strzykawka wbita w szyję tym razem opróżniła się do końca. Zanim aspirant Lis stracił świadomość, Patrycja zdążyła zwymiotować. Otworzyła drzwi samochodu i dostała torsji. Doktor sięgnął do schowka po butelkę i duszkiem wypił połowę. Nie zastanawiał się nawet, w jaki sposób wróci do wynajętego mieszkania. Było mu wszystko jedno. Wiedział, że dopiero teraz wkroczył na drogę, z której nie ma już odwrotu. Zabił z premedytacją i bez wyższego celu. Zacierał ślady jak pospolity morderca.

Ciało młodego policjanta ukryli pod kamieniami w pobliżu betonowego brzegu zalewu. Najpierw zrobili miejsce, po czym wciągnęli zwłoki do wody i zaczęli układać na nich kamienie. Duże, kanciaste, przypominające nagrobkowy granit. Po dwudziestu minutach niczego nie było widać.

– Będą go szukać - podsumował Szober.

– Kto? - Patrycja głęboko oddychała.

– Policja. Znalazłem przy nim dyktafon... Wszystko nagrywał.

– Wyjeżdżamy?

– Dokąd?

– Za granicę...

– Będą nas szukać - doktor z wysiłkiem cedził słowa. - Przez Interpol. Ten prokurator nie da nam spokoju...

– Nie ma żadnych dowodów - głos Patrycji zdradzał złość.

„Dobry znak” - uznał doktor. Jego żona najwyraźniej zaczynała myśleć logicznie. Broniła się, co mogło oznaczać, że zaczyna akceptować swój wygląd.

– Może nie ma, a może ma. Jedźmy stąd...

– Do Warszawy?

– Zobaczymy - odparł Szober. - Muszę to przemyśleć. Za daleko to zaszło, żebyśmy się teraz poddali... Od dziś nie piję.

Przez kolejne cztery dni doktor nie trzeźwiał. Jego żona łykała lekarstwa i również coraz chętniej sięgała po kieliszek. Odżywiali się wyłącznie czekoladowymi paluszkami. Zjadali po kilkanaście dziennie. Wtedy właśnie organizm Patrycji zareagował w nieprzewidziany sposób. Mimo regularnie przyjmowanego preparatu

jej twarz zaczęła puchnąć i pojawiły się pierwsze oznaki odrzucenia przeszczepu. Szober natychmiast kazał żonie odstawić tabletki i alkohol. Kiedy zaczęła trząść się z nerwów, a skóra w miejscach szwów gnić, zdecydowali się na powrót do Warszawy. Dramat wracał i doktor domyślił się dlaczego. Pograżony w pijaństwie nie pomyślał o interakcjach pomiędzy lekami i stało się najgorsze - chemia organizmu przemówiła swoim naturalnym głosem. Piątego dnia od zamordowania policjanta oddali klucz do wynajmowanego mieszkania i wczesnym rankiem opuścili miasto. Szober był trzeźwy, ale jego dłonie drżały na kierownicy, domagając się codziennej porcji alkoholu. Patrycja siedziała obok skulona i cicho pojękiwała. Nie wyglądała już świeżo i apetycznie. Powieki napęczniały i stały się czerwone, a policzki nagle straciły sprężystość.

Po aspirancie Lisie zostały zdjęcia i notatki w biurku. Dziesiątki spostrzeżeń i hipotez. Wszystkie zanotowane starannym, infantylnym pismem. Kiedy Lis rano nie pojawił się w mieszkaniu kolegi, tamten odczekał do południa, po czym zgłosił zaginięcie. W ciągu trzech dni odpowiedni raport trafił do Warszawy. Tam właśnie zainteresowano się zawartością biurka aspiranta. Wywołano również zdjęcia zrobione przez niego w Lublinie. Była na nich jakaś para. Marian Sygier, inspektor zapoznający się ze sprawą, błyskawicznie połączył fakty i zadzwonił do prokuratora Manna. Nazwisko znalazł na dużej kartce papieru. Telefon i adres również. Materiały zgromadzone przez Lisa pozwalały się domyślić, że z własnej inicjatywy pracował nad sprawą kobiet bez twarzy. „Jeszcze jeden napalony »agent specjalny«” - pomyślał ironicznie inspektor. Sam przepracował w policji prawie trzydzieści lat i niewiele go już zaskakiwało. Wyjmował z rozpadającego się i odrapanego biurka chusteczki do nosa, wypisane długopisy, paczki gum do żucia, podręcznik prawa karnego i trzy grube teczki z wycinkami z gazet. Były tam zdjęcia, notatki i artykuły. Dotyczyły wszystkiego, co wydawało się aspirantowi ciekawe lub podejrzane. Inspektor wyjął z dolnej szuflady szczoteczkę do zębów, tubkę taniej pasty i elektryczną maszynkę do golenia. Cały życiorys, jak opisał to później prokuratorowi.

Spotkanie odbyło się we właściwym momencie. Poprzedziły je jednak uciążliwe kilkugodzinne starania. Po kilkunastu próbach udało się inspektorowi zdobyć numer telefonu komórkowego Roberta Manna. Nie omieszkał również dowiedzieć się czegoś na jego temat. Kiedy zadzwonił, oczekiwał reakcji krańcowo znerwicowanego człowieka. Koledzy prokuratora opisali go jako kogoś przeżywającego kryzys. Niezwykle zdolnego, ale z niewiadomych powodów wplątanego ostatnio w niejasne sytuacje. Wspomnieli przy tym o pobiciu sąsiadów i braku wyników w

śledztwie dotyczącym gangstera „Bonasery”. Jedna z aplikantek dodała nawet, że pan prokurator przypomina bombę zegarową z opóźnionym zapłonem.

Inspektor nie mógł wiedzieć, że dwanaście godzin wcześniej Mann został doprowadzony do ostateczności. Pożądanie osiągnęło u niego moment krytyczny. Beata Alond nie traciła czasu i nie oszczędzała go. Wykorzystywała każdy wieczór, aby seksualne napięcie prokuratora wybuchło. W końcu nie wytrzymał i rzucił się na nią, zapominając o jakichkolwiek hamulcach. Próbowwała się bronić, ale gdyby nie wazon, którym w ostatnim momencie rzuciła w okno, najprawdopodobniej misterna gra skończyłaby się gwałtem. Odłamki szyby posypały się na chodnik, a ona zaczęła głośno krzyczeć. Nie musiała, ponieważ jej dwaj ochroniarze byli w drodze. Tylko na to czekali. Marzyli o chwili, w której wpadną do mieszkania i zemszczą się za godziny bezczynności. Drzwi, jak było umówione, nie zostały zamknięte. Mann nawet nie zauważył, że ktoś wbiegł do mieszkania. Płonął z podniecenia i zdierał z Beaty ubranie. Wyglądało to na atak furii. Kopnięcie w głowę odrzuciło go pod ścianę. Stracił przytomność i ocknął się dopiero we własnym łóżku. Bolała go głowa, a na skroni utworzył mu się wielki krwiak. Powoli dochodził do siebie, zastanawiając się, co w niego wstąpiło. Po północy zdecydował się zadzwonić do Beaty. Odebrała i sennym głosem zapytała:

– To ty, tato?

– Nie, to ja... - odezwał się niepewnie Mann. - Chciałem cię przeprosić...

Trzasnęła słuchawka i było po rozmowie. Zadzwonił jeszcze raz, ale nie spotkał się ze zrozumieniem.

– Nie chcę z tobą rozmawiać - usłyszał. - To było wstrętne. Słyszysz? Jesteś zwykłą świnia i nie chcę cię znać... Wszystko zepsułeś. Nie dzwoń do mnie więcej. Mimo potłuczenia wyobraźnia Manna nadal pracowała. Myślał o zmysłowym cielesie Beaty i czuł, że musi coś z tym zrobić albo zwariuje. Nad ranem zdecydował się działać. Odnalazł w gazecie rubrykę z agencjami towarzyskimi i wybrał najlepiej brzmiącą ofertę. Zapytał o cenę i zażyczył sobie spotkania u dziewczyny. W drodze zaczął mieć wątpliwości. Próbowwały go kąsać i rozwinąć się w poczucie przyzwoitości i wyrzuty sumienia. Przekonał się jednak, że stan jego pobudzenia był już całkowicie poza kontrolą. Gra wstępna, jaką zafundowała mu Beata, pozostawiła w jego umyśle wyłącznie seksualne niezaspokojenie. Doświadczał tego, o czym wielokrotnie słyszał i czytał. Przekonał się, że popęd był tak samo silny jak instynkt życia. Wyzwolony potrafił zniszczyć najdoskonalszą samokontrolę.

Prostytutka miała trzydzieści lat i nie wyróżniała się niczym szczególnym. Nie była ani ładna, ani brzydka. Prokurator nawet się nad tym nie zastanawiał. Przed oczami miał Beatę, jej skąpe sukienki i przeźroczyste bluzki. Widział ruchy bioder, duże, falujące piersi

1 kształtne pośladki. Nie próbował się nawet przed tym bronić. Fantazja i pamięć tworzyły przynajmniej namiastkę oczekiwań. Dziewczyna z agencji знаła się jednak na swojej pracy i jednym spojrzeniem oceniła niespokojnego klienta. Kiedy było po wszystkim, pokręciła głową i powiedziała z satysfakcją:

- Dawno czegoś takiego nie przeżyłam. Byłeś naprawdę super. Wpadnij jeszcze kiedyś, będę czekała...

Dziesięć minut później zadzwonił inspektor Sygier. Mann siedział już za kierownicą i cicho pogwizdywał. Czuł się znacznie lepiej. Dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swojego zachowania w mieszkaniu Beaty Alond. Wiedział, że gdyby go ktoś sfotografował w tamtym momencie, byłby skończony. Takiej okazji „Bonasera” na pewno by nie przepuścił. Na szczęście wydarzyło się coś, czego nie rozumiał, ale uchroniło go od najgorszego. Oskarżenie o gwałt mogłoby prowadzić tylko w jednym kierunku. „Miałem szczęście, miałem cholernie dużo szczęścia” - ocenił sytuację.

- Dzień dobry, inspektor Sygier - usłyszał w słuchawce. - Mam dla pana kilka zdjęć i trupa...

- Zdjęć? - Mann zmartwiał ze strachu. A jednak załatwili go. - Jakich zdjęć? - Postanowił jak najszybciej

kupić gazety. Może już tam był. Rozpalony jak ogień, miotający się z Beatą na podłodze. To koniec.

- Jakiejś pary... - wyjaśnił inspektor. - Wywołaliśmy je i chcemy sprawdzić, czy zna pan tych ludzi.

- Dlaczego akurat ja? - zapytał, oddychając z ulgą. Jeszcze jedna taka podpucha i wykorkuje - wstrząsnął się na samą myśl.

- Aspirant Lis, który nagle zaginął, trzymał w biurku pana adres - kontynuował cierpliwie Sygier.

- Zaginął? - Prokurator przypomniał sobie młodego policjanta i jego podejrzenia. - Nie rozumiem...

- Możemy się zobaczyć? - Inspektor marzył o wyłączeniu telefonu. Wolał widzieć twarz rozmówcy i nie wyobrażać sobie byle czego.

Policjant pojawił się w gabinecie Manna punktualnie o jedenastej. Miał na sobie

szary garnitur, niebieską koszulę i źle dobrany skórzany krawat. Nawet prokurator to zauważył. Buty inspektora zostały kupione przed czterema laty na wyprzedzaży i straszły teraz nierówno pościeraną gumą. Za mały kapelusz dopełniał reszty, a szeroka, pocziwa twarz wywoływała smutek i natychmiastowe współczucie. Był klasycznym przykładem awansu społecznego. Wyniki w pracy uchroniły go od zwolnienia, a niechęć do polityki ocaliła przed służbą w bezpiecie i pozwalała spokojnie myśleć o emeryturze. Pocziwość inspektora widać było na pierwszy rzut oka. Niektórzy brali to za oznakę słabości i najczęściej bardzo tego później żalowali.

- Zaginął i od pięciu dni nie możemy go znaleźć - powiedział Sygier.

- Dziwne... - wycedził przez zęby Mann. Patrzył

w okno i próbował sobie przypomnieć przebieg spotkania z młodym aspirantem. - Zostawił mi kiedyś swoje uwagi na temat dwóch morderstw. Chodzi o kobiety znalezione bez twarzy.

- Znam temat - uciał łagodnie inspektor. Obaj stali naprzeciw siebie i nie przyszło im do głów, żeby usiąść.

- Chodzi o to, że Lis zostawił sporo notatek. Nie wiemy, dlaczego zrobił te zdjęcia... Podał prokuratorowi kopertę. - Młody i naiwny, ale chyba coś wywęchał. Poznaje pan tych ludzi?

- Nie - odparł Mann. - Przychodzi mi jednak do głowy, że łatwo ich namierzemy.

- Byłoby dobrze - przytaknął z troską w oczach inspektor. - Może chłopak po prostu włożył gdzie nie trzeba i wszystko dobrze się skończy... - Mannowi wystarczyło jedno spojrzenie, aby wiedzieć, że Sygier nie wierzył we własne słowa.

- Wydawał się trochę rozgorączkowany - przypominał sobie na głos prokurator. - Taki dzieciak... z tym że miał nosa. - Roześmiał się nagle o wiele za głośno. - Sam tak o sobie mówił. Chwalił mi się, że w przyszłości będzie prokuratorem. - Sięgnął do biurka i po chwili wyciągnął papiery dostarczone przez aspiranta. - Możecie sprawdzić jednego doktora? Nazywa się Wiktor Szober. Przynajmniej tak tu jest napisane... To chirurg plastyczny. Jest nawet jego adres. Podobno Szoberowie przyjaźnili się z zamordowaną Katarzyną Raiss. Tak przynajmniej twierdził aspirant Lis. Niestety, nie miałem czasu tego sprawdzić.

- Będziemy w kontakcie - pożegnał się inspektor. - Zdjęcia może pan zatrzymać. Zostawiłem sobie odbitki.

Prokurator miał wyrzuty sumienia. Myślał teraz trzeźwo i czuł, że ma ochotę do



pracy. Wiedział, że zaniedbał postępy w śledztwie i będzie musiał to odrobić. Poza tym był ciekawy, co stało się z młodym policjantem. Nie zdążył przygotować się do przesłuchania „Peleryny”, ponieważ sekretarka poinformowała go, że oczekuje na niego minister. Tak po prostu. Mann skrzywił się z niesmakiem, jakby źle usłyszał informację. Zastanawiał się, czego minister mógł od niego chcieć. Wtedy znów poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, że znów zaczyna tęsknić za córką „Bonasery”. Uczucie to początkowo mu nie przeszkadzało, nie odwracało uwagi, po chwili jednak wypełniło wszystkie myśli. Po raz drugi uświadomił sobie, że jest zakochany. Próbował to odepchnąć, ale bezskutecznie. Tęsknił za Beatą i nie wyobrażał sobie bez niej życia. „Ckliwy palant ze mnie” - irytował się, wchodząc do budynku ministerstwa.

Potem trafił pod zimny prysznic. Minister zaprosił go na skórzany fotel, usiadł naprzeciwko i zerkając na zegarek, zapytał:

- Kiedy zamierza pan zamknąć sprawę „Peleryny”?
- Jak najszybciej...
- A morderstwa kobiet bez twarzy?
- Jak najszybciej...

„Cholera, on wszystko wie” - pomyślał Mann. Ktoś go najwyraźniej nakręcił.

- A co z pana nocnymi wyczynami? - spytał chłodno minister.  
- Jakimi, panie ministrze? - prokurator próbował grać na zwłokę. Modlił się w duchu, żeby zadzwonił jakiś telefon.

- Pobił pan sąsiadów...
- To już wyjaśnione - odparł z ulgą. - Skarga została wycofana.
- Tak na piękne oczy?

- Ważne, że wszystko ucichło... - trochę niegrzecznie starał się zakończyć niewygodny temat.

- Czy mam panu przypominać, że z powodu działalności mafii państwo traci miliony dolarów? Że jeden Zygmunt Rolka wypompowuje więcej niż budżet niejednego miasta? Sprawdzaliście jego konta?

- Wszystkie - potwierdził Mann. - Jest kryty. Ma na nich grosze. Na tych oficjalnych, oczywiście. Może „Peleryna” jako świadek koronny...

- Zgodzi się?

- Kto wie? - zawahał się prokurator. - Nie uśmiecha mu się siedzenie przez dziesięć lat w więzieniu. Właśnie się do niego wybieram.

- Musi pan wiedzieć, że jeżeli nie uda się panu posadzić Rolki i jego ludzi, śledztwo przejmie ktoś inny. Mam naciski w tej sprawie. Zostanie pan odwołany,

rozumiemy się? Potrzebny nam jest sukces, i to jak najszybciej.

Prokurator wyszedł i z trudem hamował wściekłość. Minister potraktował go z góry i nie zostawił nawet cienia złudzeń. Na jego miejsce szykowało się prawdopodobnie co najmniej kilku świeżo upieczonych prokuratorów. Byli żądni sukcesu i odważni aż do granic wyobraźni. Ruszył zakorkowaną ulicą, zdając sobie sprawę, że wciąż myśli o Beacie. Kuracja, jakiej poddał się z prostytutką, pomogła zaledwie na chwilę.

Twarz Patrycji wymagała natychmiastowej operacji. Organizm odrzucił przeszczep i nie reagował na preparat. Alkohol i dziesiątki tabletek uspokajających zrobiły swoje. Teraz toczyła się walka z depresją i gnijącą twarzą. Bez lekarstw i w samotności. Szoberowie wynajęli anonimowo małe mieszkanie na peryferiach Warszawy i usiłowali nie rzucać się w oczy. Na szczęście do nowych budynków wprowadziło się wiele rodzin, które jeszcze nie zdążyły się poznać. „Czarna dziura” wielkiego miasta wessała ich i skutecznie ukryła. Człowiek, który udostępnił im mieszkanie, miał nie więcej niż trzydzieści lat i interesowały go przede wszystkim pieniądze; bez podatku i płacone w terminie.

W zaciemnionym pokoju, na łóżku przykrytym kolorową kołdrą, kuliła się żona doktora. Wszystko w niej krzyczało, a lęk o mało nie zmusił do wyskoczenia przez okno. Nie interesowało jej ani malarstwo, ani telewizja, ani kobiece pisma. Marzyła o chwili wewnętrznego spokoju i zwyczajnym wybuchu śmiechu. Dopóki milczała, dopóty doktor mógł kontrolować sytuację. Od powrotu z Lublina Szober nie wypił nawet kieliszka alkoholu. Cierpiał, ale dostosował się do sytuacji. Wiedział, że musi znaleźć nowego dawcę twarzy, że po raz kolejny będzie musiał zabić. Nie wyobrażał sobie, że zostawi żonę na pastwę śmierci, a sam spróbuje uciec. Czasami przebiegała mu taka myśl przez głowę, ale natychmiast gasił ją i usiłował zapomnieć. Zapisał brodę i zaczął nosić okulary. Wierzył, że brak zameldowania uniemożliwi jakiegokolwiek poszukiwania. Pieniądze, które zgromadził przez kilkanaście lat pracy, wypłacił z konta, aby wpłacić je ponownie na okaziciela. Wszędzie, gdzie mógł, zacierał za sobą ślady.

Trzecia twarz Patrycji należała wcześniej do studentki trzeciego roku historii. Ładnej i niezwykle gadatliwej. Szober poznał ją w biurze jednej z linii lotniczych, kiedy rezerwował bilety do Rzymu. Mimo wypitego alkoholu nadal wyglądał interesująco i przyciągał uwagę kobiet. Teraz miał powodzenie u tych, które lubiły brody i pozory niechlujstwa. Zdecydował przypadek. Dziewczyna zostawiła na stoliku portfel z dokumentami, który on znalazł i postanowił jej oddać. Wyszedł za nią, nie załatwiwszy biletów, i dogonił sto metrów dalej. Kiedy ją złapał za ramię,

odwróciła się wyraźnie przestraszona.

– Czy pani przypadkiem czegoś nie zgubiła? - zapytał, starając się zachowywać delikatnie. Czar zadziałał. Dziewczyna sięgnęła do torebki i zbladła.

– Nie mam portfela... - wyszeptała zbieletałymi ze zdenerwowania wargami.

– Ma pani szczęście - zaśmiał się sympatycznie, ale nie za bardzo wylewnie. - Mam go w samochodzie... Nie wyobrażałem sobie, że rozpoznam panią na ulicy. To prawdziwy cud. Miałem odesłać wszystko pocztą...

– mówił szybko i kierował się w stronę samochodu. - Żona powinna je mieć w torebce...

W samochodzie doktor udął zaskoczenie. Rozłożył teatralnie ręce i westchnął:

– Boże, jeszcze tego brakowało... Nie ma jej. Jak pani widzi, moja żona nie wytrzymała i wyszła do jakiegoś sklepu. Musimy zaczekać.

Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Dał znak dziewczynie, żeby usiadła obok. Kiedy znalazła się w środku, zrobił odkrywczą minę i powiedział:

– Wie pani co, chyba jednak mamy szczęście. Pod pani siedzeniem widzę kawałek portfela...

Wysiłek, z jakim pochylił się, żeby zajrzeć pod fotel był tak przekonujący, że dziewczyna zdecydowała się mu pomóc.

– Spróbuję go wyjąć... - odezwała się po raz pierwszy. Skuliła się i pomiędzy swoimi nogami usiłowała zajrzeć pod siedzenie.

W tym momencie lewa ręka doktora przytrzymała jej głowę, a prawa wbiła strzykawkę. Młode ciało szarpnęło się jak ptak schwytny w siatkę, po czym zwiotczało i opadło luźno na drzwi. Nikt niczego nie zauważył. Był ładny dzień i przechodnie patrzyli przed siebie. Samochód ruszył i roztrzepana studentka dołączyła do policyjnej listy zaginionych bez wieści. Szober wjechał do lasu i sprawnie przepakował ciało do bagażnika. Usiadł w samochodzie i zapalił. Od kiedy nie pił, częściej kupował papierosy niż czekoladowe paluszki. Musiał odczekać kilka godzin, aby w ciemnościach włożyć zwłoki do składanej torby na kółkach i nie wzbudzając podejrzeń, przetransportować je do mieszkania. Moment, w którym przekładał ciało do bagażnika, był najniebezpieczniejszy w całej operacji. Nie chciał jednak ryzykować, że ktoś nagle zajrzy do samochodu i nabierze podejrzeń. Szober wierzył w przypadki i obawiał się niepowołanych oczu. W lesie było to zawsze możliwe. Jedne oczy mogły wszystko zepsuć.

W nocy żona doktora Szobera otrzymała nową twarz. Mniej więcej w tym samym czasie inspektor Marian Sygier zorientował się, że sytuacja coraz bardziej się komplikuje. Zdjęcie wykonane przez aspiranta

Lisa zawierało tajemnicę, której nie mogli wyjaśnić lekarze znający doktora Szobera. Jego rozpoznali natychmiast, natomiast kobieta nie kojarzyła im się z nikim. Widzieli ją pierwszy raz. Sygier zdecydował się pokazać fotografię w agencji, w której pracowała zamordowana Katarzyna Raiss. Punktualnie o ósmej wszedł do eleganckiego budynku i wjechał windą na szóste piętro. W drodze bawił się zdjęciem, jakby chciał sprowokować kogoś do zdziwienia. Kiedy przywitał się ze współpracownikami ofiary, zauważył, że patrzą na niego ze strachem. Obejrzał się, sprawdzając, co znajduje się za jego plecami, ale wszystko wyglądało normalnie. Szklane drzwi, kolorowe ściany między pokojami, kilka abstrakcyjnych obrazów i poskręcane ozdobne lampy. Miły nastrój i tak samo przyjemni ludzie.

- Chyba wszystkich tutaj trochę przestraszyłem - zaczął ostrożnie. - Nie miałem takiego zamiaru, ale sprawa śmierci państwa koleżanki rzeczywiście nie wygląda jasno... Wyczuwam, że o czymś nie wiem...

Niska blondynka z szerokimi biodrami i zadartym nosem spojrzała na koleżanki i kolegów, po czym widząc ich wyczekujące oczy, powiedziała:

- To zdjęcie - pokazała palcem - jest dziwne...

- Nie rozumiem - inspektor sprężył się.

- No, wie pan... - dziewczyna wahała się, wyraźnie brakowało jej słów, co w jej zawodzie zdarzało się niezwykle rzadko.

Policjant pozwolił jej zebrać myśli i nie naciskał.

- Na tym zdjęciu jest doktor Szober, ten chirurg... - odezwał się mężczyzna w okularach z grubymi szklami. - Tylko ta kobieta...

- Wygląda jak... Katarzyna - zdecydowała się wreszcie dokończyć blondynka.

- Nadal nie rozumiem - teraz głos inspektora zdradzał autentyczną ciekawość.

Nie sądził, że w swojej kończącej się karierze cokolwiek go jeszcze zadziwi. - Czy twierdzicie państwo, że na zdjęciu jest Katarzyna Raiss?

- Nie, nie - zaoponował ten w okularach. - Powiedziałbym, że do złudzenia ją przypomina, ale to nie ona. Chyba...

- Jej twarz wygląda jak po operacji plastycznej - wyjaśniła kierowniczka księgowości. Była najstarsza wśród pracowników agencji i nie obawiała się snuć domysłów.

- No właśnie... - potwierdzili pozostali. - To Kaśka, ale trochę inna... Włosy, figura, styl... Ta tutaj wygląda dziwnie...

- Jakaś taka... bez życia - wtrącił chudy chłopak z długimi kręconymi włosami. Potrząsnął głową, jakby chciał zaznaczyć, że nie każdy może mieć taką fryzurę. - Ta wygląda na chorą, a Kaśka była jak dynamit... Chyba że...

- Tak? - zaciekał się inspektor. Bez trudu domyślił się, co chłopak próbował mu powiedzieć.

- Może ona żyje? - wypalił wprost młodzieniec.

- Chce pan powiedzieć, że doktor Szober mógł zrobić jej operację plastyczną i dlatego tak wygląda? - zapytał Sygier.

- Kto wie? - zastanawiała się głośno blondynka. - Kaśka była bardzo ładna, ale nie miała nikogo na stałe... Nie wychodziło jej. Wie pan, charakter, ciągle poza domem, ambicje... Inne czasy, a faceci tego nie lubią...

- Lubimy na krótko - podpowiedział ironicznie chłopak w grubych okularach.

- A co z tatuażem? - pytanie, które zadał inspektor, natychmiast ostudziło wcześniejsze domysły. - Ofiara miała na pośladku tatuaż. Motyla, o ile pamiętam...

- Cholera wie - wyrwało się blondynce. - Rzeczywiście miała tatuaż... - zamilkła, starając się nie powiedzieć zbyt wiele. Pozostali spojrzeli na nią z nieufnością. Tatuaż był prywatną sprawą i woleli o tym nie rozmawiać, przynajmniej publicznie. Poza tym w głowach roilo im się od pomysłów i nie potrafili tego poskładać.

- Czy ktoś z państwa znał aspiranta Lisa? - bez ogródek zapytał Sygier. Wiedział, że wpadł na trop i postanowił działać.

- Ja znałam - odpowiedziała blondynka z szerokimi biodrami.

- Możemy porozmawiać na osobności? - zasugerował sztywno policjant.

- Oczywiście... - Dziewczyna znów wyglądała na przestraszoną. - Wejźmy do mojego pokoju.

Odprowadziły ich zdziwione spojrzenia. Inspektor wyczuł, że znajomość z aspirantem nie nobilitowała jego rozmówcy. Był dobrym obserwatorem i na większości twarzy zauważył dwuznaczne grymasy.

- Przykro mi, ale muszę to pani powiedzieć... - „Tylko grzecznie, tylko grzecznie” - upominał sam siebie. „Bez rutyny i obojętnej miny”. - Aspirant Lis raczej nie zaginął. Nie wiem, jaka była wasza znajomość, ale nie miałbym większych nadziei na jego odnalezienie... Bardzo mi przykro.

Dziewczyna zamarła w bezruchu, a jej skóra zrobiła się blada. Inspektor nie musiał długo myśleć, żeby stwierdzić, że była w młodym policjancie zakochana.

Wyjął ręce z kieszeni płaszcza, splótł je z przodu i pochylił głowę. W taki sposób stawał w młodości w kościele i wierzył, że tak należy wyrażać szacunek dla cierpienia.

- To pewne? - wydusiła z siebie blondynka.

- Tylko to, że zaginął - odparł inspektor. Postanowił być trochę łagodniejszy. -

My również mamy nadzieję, że aspirant żyje.

Nie słuchała go. Odwróciła się i zaczęła płakać. Wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi. Natychmiast po wizycie w agencji skontaktował się z prokuratorem Mannem i zasugerował pokazanie zdjęć aspiranta Lisa, doktora Szobera i nieznaney kobiety w prasie i telewizji. Komunikat o zaginięciu nie brzmiał groźnie i nie powinien wzbudzić podejrzeń. Mann zaakceptował pomysł i ucieszył się, że śledztwo ruszyło z miejsca. Kiedy wieczorne programy pokazały twarze zaginionych, uwierzył w swoją dobrą gwiazdę i zdecydował się przeprosić Beatę Alond. Pożądanie dokuczalo mu znacznie mniej i postanowił to wykorzystać. Wiedział, że za kilka dni jego hormony mogą wziąć górę i straci dobry nastrój. Zatelefonował i poprosił o spotkanie. Dziewczyna zachowywała się tak, jakby nic złego między nimi nie zaszło. Zgodziła się, sugerując nawet w żartach, żeby kupił jej w prezencie bluzkę, ponieważ jedną przez nieuwagę własnoręcznie podarł, a ona jest z natury oszczędna. Umówili się w chińskiej restauracji na kolację, która miała zatrzeć złe wspomnienia.

Robert Mann nie miał pojęcia, że na spotkanie z córką „Bonasery” miał ochotę także ktoś jeszcze. Mniej subtelny i znacznie bardziej bezpośredni. Jerzy Mamicz, znany jako „Korba”, postanowił odwiedzić dziewczynę i przy okazji dobrze się zabawić. Potem zaplanował sobie szczerą rozmowę z „Bonasera”. Przewidywał, że będzie to ich ostatnia rozmowa, po której jedno słońce zgaśnie. Zanim wsiadł do samochodu, obejrzał ponadgodzinny film pornograficzny, aby naładować własną wyobraźnię. Potem wsunął do kieszeni płaszcz szpicrutę, kajdanki, rolkę z plastrem i krótki bat. Życie nabierało smaku, a najbliższa noc zapowiadała się cudownie. „Korba” odesłał obstawę i samotnie pomknął na spotkanie rozkoszy. Dodatkowo zrobił coś, co kręciło go jak ostra przyprawa. Ubrał się dokładnie jak „Bonasera”. Tego wieczoru postanowił także posługiwać się zmienionym głosem. Tym razem to on będzie „ojcem chrzestnym” i to on zrobi komuś przysługę. Poglądził szpicrutę i lekko odgiął głowę do tyłu. Jak w filmie, jak niedościgniony Marlon Brando.

„Korba” jechał i marzył.

Komunikat o trojgu zaginionych ukazał się w porannej prasie. Maturalną fotografię aspiranta i zdjęcie wykonane przez niego w Lublinie zamieszczono obok siebie. Doktor Szober zwrócił na nie uwagę dopiero po przeczytaniu prawie całej gazety. Nigdy nie czytał komunikatów ani nie oglądał twarzy poszukiwanych. Teraz jednak wzrok doktora przykuła jego własna podobizna. Rozpoznał siebie i zdrtwiał z wrażenia. Mimo brody i okularów, mimo zmiany stroju ciągle czuł się

tym samym człowiekiem i wyobrażał sobie, że tak samo widzą go wszyscy. Siedział na kanapie, obserwował kroplówkę przy łóżku żony i czuł wzbierające pragnienie. Jego ręce drżały, a usta i nos wykonywały co pewien czas nerwowe tiki. Wydawało mu się, że zostali osaczeni i nie mają już wyjścia. Poprzedni strach zamienił się niemalże w histerię. Doktor co prawda nie krzyczał, ale świadomość pościgu paraliżowała go. Z kolei każde spojrzenie na żonę wzbudzało potrzebę walki o własne szczęście. Nie wyobrażał sobie kary w brudnym więzieniu, wśród prymitywnych przestępców i gburowatych strażników. Nie po to studiował, poznawał świat, przyjaźnił się z wieloma wspaniałymi ludźmi, aby przez niefortunny przypadek losu tak źle skończyć. Nie on i nie jego żona. Poza tym stale musiał jej przygotowywać preparat. Bez tego organizm odrzuciłby przeszczep.

Nie czuł się bandytą i za wszelką cenę starał się to sobie wmówić. Kiedy jednak zaczynał o tym myśleć, jego pycha przybierała charakter awaryjnych świateł. Proces uniewinniania nie udawał się lub udawał się tylko w połowie i tylko czasem. Teraz widział w gazecie własne zdjęcie. Na razie czuł się bezpieczny, ale nie mogło to trwać wiecznie. W końcu ktoś z sąsiadów lub dawnych znajomych rozpozna go mimo brody i okularów, zadzwoni na policję i rozpęta się nowe piekło. Nie mógł dopuścić do tego, aby jego nieszczęśliwą żonę dotknęło kolejne cierpienie. Na razie musiała wyleczyć się po operacji i zapoznać z nową twarzą. Miał nadzieję, że tym razem będzie zadowolona. Szober z niepokojem oczekiwał najbliższych godzin, w trakcie których miało się "okazać, czy jego preparat nadal działa i pozytywnie kontroluje przeszczep.

Nawet nie zauważył, kiedy bezwiednie zaczął się modlić. Powtarzał słowa zapamiętane z dzieciństwa i od

czuwał ulgę. W jego umyśle pojawił się ktoś naprawdę potężny. Doktor odczuwał obecność Boga i podświadomie szukał na ścianie krzyża lub obrazka. Niczego takiego jednak nie znalazł. Bóg istniał wyłącznie w jego głowie, tam łagodził lęki i pokazywał, czym jest dobro. Bez słów i bez obrazów. Na swój sposób przypominało to zetknięcie języka z czekoladą; zachodziła reakcja, na którą człowiek nie miał żadnego wpływu. Coś po prostu się działo. Coś wspaniałego.

Ksiądz Albert wsłuchiwał się w spowiedź doktora Szobera i poddawał działaniu instynktu. Głęboko wierzył, że każda wątpliwość musi być sprawdzona przez wiarę, ale zupełnie inaczej, niż wyobrażała sobie większość ludzi. W czasie tysięcy spowiedzi nauczył się, że rozwiązania przychodzą same. Wystarczy otworzyć umysł i pilnie słuchać. Nawet najtrudniejsze sprawy przybierały wtedy inny kształt

i perspektywę. Jeżeli patrzyło się na świat z góry, wówczas ten świat odpowiadał w podobny sposób. Nic nie mogło się zgodzić, wszystko wydawało się wrogie, a każdy ruch przypominał walkę o życie. Wystarczyło jednak wsłuchać się w wiatr, wpatrzeć w powietrze, poczuć zwykły zapach, aby pojawiła się nadzieja. Olbrzymia i przytłaczająca swoją siłą. Z pozoru nierealna i obca, za duża na jedno ludzkie życie, za duża na całe pokolenia, na wszystkich.

Szober uległ tajemnicy i odważył się mówić. Tak jak czuł, nie dobierając słów, powstrzymując łzy i chwytając się wszystkiego, co obiecywało spokój. Przez kratę konfesjonału nie widać było jego twarzy i miał nadzieję, że wyjdzie z kościoła całkowicie anonimowo. Ksiądz Albert od czasu do czasu zadawał krótkie pytania i milczał. Wydawało się, że z każdą minutą przytłaczał go powiększający się głąz. W mroku zbrodni musiał widzieć światło, które łączył z tajemnicą spowiedzi i rozgrzeszeniem. Chciał unieść zło, które do niego przyszło. W tym właśnie był najbardziej samotny i w tym przypominał apostołów.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał po blisko godzinie. - Mam ci po prostu wybaczyć?

- To niemożliwe... - ocenił zrezygnowanym głosem doktor. - Nie wiem, proszę księdza, nie wiem... Co mam robić? Uciekać? Poddać się i pójść na policję? A co będzie z moją żoną? Jest niewinna... To ja wszystko zaplanowałem, ja zabijałem.

- Jest tak, jak rzeczywiście czujesz - odpowiedział ksiądz. Miał sześćdziesiąt trzy lata i nie obawiał się prawdy.

- Ja nic nie czuję - szepnął doktor.

- Jesteś tutaj, a więc czujesz - konfesjonał łagodnie rezonował stłumiony głos.

- Co mam zrobić? - Szober w poczuciu rozpaczony domagał się jasnej wskazówki. - Nie ze sobą, ale z moją żoną...

- Ona także musi odpowiedzieć sobie na to pytanie - ksiądz starał się go uspokoić. - Nie jest to łatwe, wiem... Spróbuj się nie bać, spróbuj uwierzyć, że ten świat ma porządek, którego nie rozumiemy do końca i który nas z góry określa... My tylko wybieramy, czy chcemy być po stronie dobra, czy zła. I to jest cała tajemnica...

- Ale ja nie wiem, co jest dobre... - jęknął doktor. - To znaczy wiem...Wiedziałem... Myślałem, że ksiądz mi to powie...

- Cóż, spróbuję... Dobro to miejsce, w jakim stoisz. To tu i teraz każdej sekundy twojego życia. Jeżeli potrafisz wybierać, to znaczy, że możesz być dobry. Nie idealny, po prostu dobry - to zasadnicza różnica. Dobro jest jak dotknięcie Boga, zawsze ma sens...



Słowa księdza kołysały się w górze jak krople deszczu na gałęziach. Realne, a zarazem nieobecne.

– Cóż, wyjaśniłem to, jak umiałem. Jestem z tobą, podobnie jak z twoimi ofiarami. Rozgrzeszenie przyjdzie do ciebie wtedy, gdy wybierzesz. Albo nie przyjdzie... Ale pamiętaj, że jest bardzo blisko, bliżej, niż ci się zdaje...

Doktor opuścił kościół i chwiejnym krokiem ruszył w stronę domu. Mimo spowiedzi nie czuł ulgi. Wciąż nie podjął decyzji i to bolało go coraz bardziej. Przypomniawszy sobie o zwłokach studentki zamkniętych w foliowym worku, w rozkładanej torbie na kółkach. Musiał się tego pozbyć. Mijał zalesione, wąskie uliczki, wiedząc, że prawdziwą decyzję podjął jeszcze przed pójściem do kościoła. Łudził się, że rozmowa z księdzem wszystko zmieni, że pozbędzie się wyrzutów sumienia i stanie się cud. Pewny był tylko jednego. Kochał swoją żonę i nie zamierzał dopuścić, żeby znalazła się w więzieniu. Pozostało im jedno wyjście - przejście na stronę zła.

Szober uspokoił się i głęboko odetchnął. Niepewność zniknęła, pojawił się cyniczny uśmiech człowieka skazanego na rezygnację. Posiadał towar, który dla wielu ludzi mógł oznaczać życie. „Jestem bezcenny - pomyślał z wiarą - jestem bezcenny jak moja chęć do życia. Ciekawe, ile ona jest warta?” Na to pytanie nie starał się już odpowiedzieć. Zło nie potrzebowało uzasadnień.

Trzy godziny później torba z ciałem zamordowanej dziewczyny wpadła w wielki dół. Las, który otaczał doktora i jego ofiarę, szumiał, kołysząc gałęziami na tle gwiazd. Szober otarł pot z czoła i kontynuował pracę. Łopata, którą woził w bagażniku, była poręczna, ale mała. Zanim wykopał dół, zmęczył się i musiał odpocząć. Teraz sypał piach na torbę z ciałem i cicho pogwizdywał. Od kiedy zdecydował się, w jaki sposób postąpi, uwolnił się częściowo od wyrzutów sumienia i zaakceptował siebie w zupełnie innym świetle. Normy moralne, niewinność, zasady - wszystko to chowało się pod kawałkami ziemi. Po chwili zwłoki zostały zasypane. Doktor zamaskował wszystko liśćmi i igliwem, po czym z ulgą ruszył w kierunku stojącego kilka metrów dalej samochodu. Jadąc z powrotem, spróbował połączyć się telefonicznie z człowiekiem, który do niedawna bywał na tych samych przyjęciach. Szober uznał, że najodpowiedniejszy będzie Janusz Derski. Od swojej pacjentki, żony gangstera, dowiedział się, że niektórzy znali Derskiego pod pseudonimem „Kopyto”. Kiedyś doktor zareagował na tę informację grymasem uprzejmego zainteresowania, w tym momencie jednak wystukiwał numer z przekonaniem i nadzieją.

Plaster na ustach Beaty Alond wyglądał jak zaróżowiony świński pośladek.

Odcinał się od opalanej skóry dziewczyny i rozpuszczonych włosów. Poza tym przyciągał uwagę „Korby”. Podniecał go i zachęcał do gryzienia. Lubił całować kobiety przez plaster, po czym raptownie je gryźć. Kiedy wszedł do jej mieszkania, od razu poczuł przyływ namiętności. Uderzył dziewczynę w żołądek i zanim przyszła do siebie, związał grubym sznurkiem. Rzucił jej ciało na dywan i zaczął rozbierać. Nie spieszył się. Przez plaster na ustach mogła co najwyżej postę- kać. „Korba” smakował każdy szczegół jej skóry, wachał, przewracał oczami, oblizywał i przytulał. I mówił, oswajał, wprowadzał w stan przerażenia. Po jej oczach widział, kiedy dziewczyna umierała ze strachu. Tutaj było jeszcze dużo do zrobienia. Na razie dostrzegał w jej spojrzeniu wyłącznie wściekłość i pragnienie zemsty. To ostatnie schlebiali jego próżności i sprawiało, że zaczynał czuć się mężczyzną.

– Najpierw musimy się dobrze poznać, kochanie - powiedział, rozcinając jej nożyczkami spodnie. - Nie chcę, żebyś była grzeczna. Córeczka „Bonasery” musi być cholernie odważna, prawda? Zaraz się przekonamy, kto przybędzie na pomoc... Bo na pewno chciałaś, żeby ktoś przyszedł. Dobrze, że tak jest, bardzo dobrze. Wiara czyni cuda... - kontynuował gangster.

Kiedy rozmawiał ze swoimi ofiarami, starał się używać zwrotów, które całkowicie nie przypominały pornografii. Żadnych przekleństw, wyzwisk czy wulgarnych gestów. Wszystko musiało być miłe i słodkie jak w kolumbijskim serialu o miłości. Ale do czasu... Dopiero na końcu „Korba” wpadał w szal, tracił nad sobą kontrolę i prawie niczego nie pamiętał. Dochodziła jednak dopiero jedenasta i najciekawsze było jeszcze przed nim.

Ochroniarze z naprzeciwka jedli spokojnie banany i wpatrywali się w telewizor. Mecz pochłoniął ich do tego stopnia, że zapomnieli o uważnej obserwacji. Tylko od czasu do czasu jeden z nich podchodził do okna, patrzył na drugą stronę ulicy i wracał szybko z powrotem. Na dole nie było samochodu prokuratora, więc uznali, że z ochroną nie muszą przesadzać. Robili akurat odwrotnie, niż uczył ich Zenek „Rumba”, kierujący obstawą „Bonasery”. To właśnie odróżniało ich od prawdziwych żołnierzy jednostek specjalnych. Zawsze przychodził moment, kiedy praca schodziła na drugi plan. „Gry komputerowe i telewizja są waszym największym wrogiem” - przypominał często „Rumba”. Nie łudził się, że ich zmieni, próbował jednak wycisnąć z nich, co się da. Nawet „Bonasera” nie wiedział, że dawniej, kiedy szef jego ochrony pracował za mniejsze pieniądze po właściwej stronie, zwykł powtarzać swoim kolegom: „Prymitywne ścierwo zawsze będzie prymitywnym ścierwem. Ogolone, ubrane i po dezodorancie, ale ścierwo”.

„Korba” rozebrał się i nago spacerował ze szpicrutą po pokoju. Ze szczęścia o mało nie zadławił się własnym oddechem. Beata również była naga i coraz słabiej próbowała zasłonić się przed wzrokiem sadysty. Wiedziała, że może ją ocalić tylko przypadek. Słyszała o Mami- czy i jego upodobaniach, ale nie przypuszczała, że sama stanie się obiektem pożądania. Wyrzucała sobie naiwność. Przysięgła w duchu, że jeżeli przeżyje, nikt nigdy nie zasłuży na jej zaufanie. Wtedy po raz pierwszy szpicruta spadła na jej brzuch. Ból wwiercił się w jej mózg i na chwilę prawie straciła przytomność. „Korba” poznał po oczach, że dobrze trafił.

– Powoli dojdziemy do porozumienia - podsumował elegancko. Znał na pamięć uprzejme zwroty i mógł

je cytować do woli. - Chciałbym, żebyś na mnie krzyczała, ale ściany mają uszy, kochanie...

Dzwonek do drzwi powstrzymał kolejne uderzenie. Beata zaczęła gwałtownie rzucać się po podłodze, celując nogami w stolik, na którym stał wazon. Udało się. Szkło spadło idealnie obok dywanu, a hałas musiał być słyszany za drzwiami. „Korba” zaczął się błyskawicznie ubierać. Jego obwisły brzuch trząsł się śmiesznie, a cała twarz zrobiła się czerwona z emocji.

„Boi się - pomyślała Beata - ten parszywy zboczeniec się boi...” Dzwonek zaczął nerwowo przebijając przez ciszę mieszkania. W rękach gangstera pojawił się pistolet. „Korba” pochylił się i zaczął ostrożnie skradać do drzwi. Beata szarpnęła się i ponownie spróbowała uderzyć nogami w stolik. Tym razem zobaczyła lufę pistoletu. Uspokoili się i czekała na rozwój wypadków. Nie mogła ani pomóc, ani zaszkodzić. Wierzyła, że ochroniarze ojca znajdą wyjście. Modliła się, żeby zadzwonili do Zenona „Rumby”. Pamiętała, że ojciec wiele razy wypowiadał się na temat jego umiejętności z uznaniem. „Facet myśli - zwykł mawiać »Bonasera« - myśli i czuje”.

„Korba” wyjrzał przez wizjer, trzymając broń w pogotowiu. Nikogo jednak nie zauważył. Cofnął się, odczekał chwilę, po czym znów wyjrzał. Jego twarz miała triumfalny wyraz. Beata napotkała jego spojrzenie i strach powrócił. Zapomniała o swojej nagości, zapomniała o bólu po uderzeniu szpicrutą, błagała los o dzwonek do drzwi.

Nie mogła wiedzieć, że dzięki przerwie w meczu obaj ochroniarze zdołali zauważyć parkujący na ulicy

samochód prokuratora. W jednej chwili byli w pogotowiu. Zbiegli po schodach i wpadli na klatkę schodową jej domu. Długimi skokami posuwali się do przodu. Przed drzwiami stanęli dokładnie w chwili, gdy „Korba” triumfalnie się

uśmiechnął. Jeden z nich zadzwonił długo i natoczywie. Broń trzymali w pogotowiu w kieszeniach skórzanych kurtek. „Korba” spojrzął i zanim zdołał zastanowić się, co robi, strzelił przez drzwi. Poznał jednego z ludzi „Bonasery” i zareagował spontanicznie. Teraz on poczuł strach. Pożądanie minęło, chęć zabawy i zemsty umarły. W jednej chwili oblał się zimnym potem i nerwowo przygryzł dolną wargę. Kula przebiła grube antywłamaniowe drzwi, ale zatrzymała się na ostatniej warstwie. Jej czubek sterczał śmiesznie na wysokości brzucha wyższego z ochroniarzy.

– „Królik”? - gangster zapytał głośniejszym głosem, niż wypadało. I to go zgubiło. Obaj ochroniarze popatrzyli po sobie całkowicie zaskoczeni. Gdzie był prokurator? Dlaczego „Korba” znajdował się w mieszkaniu córki ich szefa?

– Pan Mamicz? - upewnił się ten nazwany „Królikiem”.

– Ja, ja... - potwierdził nerwowo gangster. - Nie poznajesz mnie?

– Niech pan stamtąd wyjdzie - polecił drugi ochroniarz. - I nie strzela...

– „Pimpek”? - upewniał się „Korba”. - Co tu robicie, chłopaki? Brakuje wam czegoś?

– Niech pan otworzy...

– Dobra, ale macie odłożyć spluwy.

– Nie przyszliśmy tu w goście, panie Mamicz - ostrzej zareagował „Królik”. - Chcemy zobaczyć panią Beatę.

Trzy strzały padły jeden po drugim. Tym razem ochroniarze odsunęli się. Jedna z kul przebiła się i uderzyła w ścianę. Pozostałe dwie utknęły tak jak pierwsza. Ochroniarze spojrzeli po sobie z niepokojem. Ich oczy mówiły wszystko. „Korba” zwirował i podpisał na sobie wyrok śmierci. I wtedy po raz drugi popełnili błąd. Nie zawiadomili „Bonasery” i „Rumby”. Zapragnęli osobiście pokazać, ile są wariaci. Czuli się silni i dobrze przygotowani. Żaden z nich nie przypuszczał nawet, że iloraz ich inteligencji pozostawiał wiele do życzenia.

– Musi pan wyjść albo zaczniemy działać... - po raz ostatni spróbował negocjować „Królik”. - Czy pani Beata tam jest?

– Ja was... - zza drzwi wylała się wściekłość. - Ja was... - „Korba” dusił się z bezsilnej złości. Potem posypały się przekleństwa.

– Niech pan wypuści panią Beatę - zaproponował „Pimpek”. Był przejęty i bardzo chciał poprawić swoją pozycję w organizacji. Nie domyślił się nawet, że w ten sposób podsunął „Korbie” nowy pomysł.

– Wynocha! - zawołał gangster. - Na ulicę, żebyśmy was widział, albo zastrzele sukę...

Ochroniarze uświadomili sobie nagle, że sytuacja wymyka im się spod kontroli. Nie tak wyobrażali sobie reakcję „Korby”. W grę wchodziło życie córki „Bonasery”, a to oznaczało tylko jedno: śmiertelny kłopot. Oczywiście, gdyby im się coś nie powiodło.

– Dobra - zawołali prawie jednocześnie. - Wychodzimy...

– Mam widzieć, jak wyrzucacie spluwy do śmietnika - rozkazał „Korba”. - Potem macie spadać.

Zbiegli po schodach, wyjmując telefony komórkowe. „Królik” pierwszy połączył się z Zygmuntem Rolką. Mówił chaotycznie i ze strachem w głosie. Czuł odpowiedzialność i przeklinał chwilę, w której wdepnął w kłopoty. „Bonasera” wysłuchał go spokojnie i polecił wykonywać wszystkie polecenia Mamicza.

– Jak każe, macie mu wachać skarpety. Zrozumiano? - W ten sposób utwierdził ich w przekonaniu, że ich życie wisi na włosku.

„Korba” poczuł się pewniej. Widział ochroniarzy wyrzucających pistolety i grzecznie odchodzących w głąb ulicy. W świetle latarni prezentowali się lepiej niż w *rzeczywistości*. Wielkie cienie przez moment zatańczyły na ścianie jednego ze sklepów. Wtedy gangster rozwiązał ręce Beaty i kazał jej się ubrać. Stał przy oknie i zastanawiał się, którą drogą powinien uciekać. Do Niemiec - taka była jego pierwsza myśl. Tam miał konto i przyjaciół. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Dziesięć minut później wyszedł z mieszkania, trzymając pistolet pod łopatką Beaty. Zatrzasnął za sobą drzwi i skierował się na dół. Nie zdawał sobie sprawy, że na parterze spotka mężczyznę, który oparty o drzwi wejściowe wymiotował na posadzkę. „Korba” przeklął z niesmakiem i spróbował go odepchnąć. Odruchowo zrobił to ręką uzbrojoną w pistolet. Sekundę później pięść prokuratora wbiła mu się w twarz, a kopnięcie kolanem trafiło w krocze. Broń upadła na posadzkę, a „Korba” osunął się nieprzytomny pod nogi dziewczyny. Była przestraszona, ale zobaczył w jej oczach zdziwienie. I coś więcej, tak mu się przynajmniej zdawało. Po raz pierwszy spojrzała na niego normalnie. Bez kokietery. Podeszedł i objął ją ramieniem. Nie cofnęła się. Miał nawet wrażenie, że na to czekała.

– Kto to jest? - zapytał cicho.

– Nikt - córka „Bonasery” zawsze musiała wiedzieć, co mówi. - Bandyta. Ostatnio mam szczęście do... Ale dziękuję ci.

Uśmiechnął się cierpko. Dziewczyna ma stalowe nerwy, zdziwił się w duchu.

– A tamci dwaj? - nie chciał być napastliwy, ale ciekawość zwyciężyła.

– Jacy dwaj? - udawała zaskoczenie.

- Chcieli wejść do twojego mieszkania i nazywali cię panią Beatą...  
- Nie mam pojęcia - wzruszyła ramionami. - W ogóle nie wiem, co się u mnie ostatnio dzieje. Najpierw ty, potem...

- No dobrze - zdecydował się skończyć niewygodny temat. Wstydził się tamtej nocy i chciał ją wymazać z pamięci. Spojrzał na poruszającego się niemrawo Mami- cza i dodał: - Poczekaj chwilę, zadzwonię po policję. To dziwna sprawa...  
Dziesięć minut później przed domem Beaty zatrzymał się policyjny radiowóz. Dwaj policjanci w mundurach wbiegli do budynku. Po chwili wyprowadzili skutego kajdankami „Korbę”. Prokurator i Beata wyszli za nimi. Skierowali się do samochodu dziewczyny. Nie mieli pojęcia, że celownik optyczny karabinu precyzyjnego PSG-1 uchwycił właśnie miejsce, w którym powinno znajdować się serce Jerzego Mamicza. Ręce „Rumby” spokojnie wybrały odpowiedni moment i padł strzał. „Korba” zachwiał się, przewrócił na plecy i znieruchomiał. Ani policjanci, ani prokurator nie zdołali zauważyć, *skąd* strzelano. W ciszy nocy strzał nie zabrzmiał dostatecznie głośno. Tłumik? Nie zauważyli, że szyba jednego z samochodów, stojących prawie trzysta metrów dalej, była lekko uchylona. Nie zwrócili również uwagi, że pojazd włączył się płynnie do ruchu i odjechał. Na chodniku obok radiowozu pozostał trup „Korby” i gromadzący się wokół ludzie.

- Co to było? - zapytała zaskoczona Beata.  
- Ktoś go zastrzelił - powiedział cicho Mann. W jego głowie zapalała się i gasła czerwona lampka. „Za dużo zbiegów okoliczności - myślał - za dużo cudów...”

- Możemy stąd pójść? - Beata najwyraźniej miała dość.  
- Chcesz wrócić do siebie? - Mann zdawał sobie sprawę, że za moment przyjedzie ekipa śledcza i jeden z jego kolegów prokuratorów. Musiał zostać i o wszystkim opowiedzieć. Na końcu ulicy usłyszał sygnał policji i zobaczył błysk niebieskich świateł. Zaraz za nimi jechał samochód jednej ze stacji telewizyjnych. Domyślił się, kto siedział w środku.

- Nie - odparła dziewczyna. - Nie chcę wracać. Sprzedam to mieszkanie i wyprowadzę się.

- Nie żartuj... - Prokurator objął ją i zapragnął pocałować. Potrzebowała spokoju, tego był pewien. - Nie chcesz teraz zeznawać?

- Zeznawać? - zdziwiła się.

- Musisz opowiedzieć, co się wydarzyło w twoim mieszkaniu - wyjaśnił. - Takie są przepisy.

- Niech będzie - zgodziła się zrezygnowana. Tylko ona wiedziała, jak bardzo uradował ją strzał „Rumby”.

Dzięki ojcu znów była wolna i bezpieczna. Wszystko wróciło do normy. Śmierć Mamicza rozwiązywała wiele problemów. Przesłuchanie było jedynie formalnością, przez którą musiała przejść. Miała nadzieję, że Mann nie będzie za bardzo wnikał w jej życie osobiste. Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby dowiedział się, czyją jest córką. Czy nadal by ją kochał? Czy zgodziłby się pracować dla jej ojca?

Samochody zatrzymały się. Ekipa śledcza i prokurator Ireneusz Dacko podjechali prawie w tym samym momencie. Tuż za nimi wyhamowali reporterzy z telewizji. Rozpoczął się rutynowy seans na miejscu zbrodni. Błysnęły flesze, rozpoczęły pracę kamery. Chuda dziennikarka ze szparą między zębami dostrzegła Manna i ruszyła w jego stronę. Było za późno, żeby uciekać. Kamera trzymała ich w obiektywie. Beata z irytacją spojrzała na dziennikarkę. „Parszywa zdzira” - pomyślała, widząc świdrujące spojrzenie. Tamta zauważyła pogardliwą minę towarzyszkę prokuratora Manna, ponieważ zgryźliwie zapytała:

- Panie prokuratorze, czy ta pani u pana boku ma jakiś związek z tym morderstwem?

- A skąd taki wniosek? - Mann uruchomił resztki przytomności umysłu.

- Czy tylko przez przypadek znalazł się pan w miejscu zabójstwa? - jej głos domagał się krwi. Widzowie musieli otrzymać codzienną porcję strachu. Dziennikarka dosłownie wiła się z ciekawości i natłoku podejrzeń.

- Cóż, dokładnie przez przypadek - odparł z niewinnym grymasem Mann. - Byłem tutaj prywatnie...

- A pani? - Blondynka odwróciła nagle głowę w kierunku Beaty. Czekwała na jakikolwiek punkt zaczepienia. „No, gadaj, mała, gadaj, żebym cię mogła dobrze sprzedać” - zdawały się mówić jej oczy.

- Nie rozumiem - udała naiwną Beata.

- Czy widziała pani, co się tutaj wydarzyło?

- Nie - córka „Bonasery” potrafiła bawić się kłamstwem.

- Nie słyszała pani strzału? - nalegała coraz bardziej poirytowana dziennikarka.

- W nocy trudno rozróżnić, co jest strzałem, a co nie - wzruszyła ramionami Beata. Jej uroda przyciągała oko kamery.

- Jak pan myśli... - ponownie w centrum uwagi znalazł się prokurator.

- Myślę, że mój kolega, który prowadzi to śledztwo, w odpowiednim czasie udzieli pani wszystkich potrzebnych informacji - uciał Mann. - Ja byłem tu prywatnie...

Zadzwoił telefon i Beata odwróciła się tyłem do kamery. Jej sylwetka zdawała się

mówić: „to by było na tyle”. Dziennikarka dała znak i ekipa skierowała się w stronę zwłok „Korby”. Odchodząc, poufale pogroziła prokuratorowi palcem. Mann pomachał ręką do prokuratora Dacki i zaczął, aż tamten podejdzie bliżej. Beata przyciskała słuchawkę do ucha i starała się ukryć uśmiech.

– Tata? - zapytała z ulgą.

– Jesteśmy, kochanie, blisko ciebie - „Bonasera” rzadko mówił tak przejętym głosem. Teraz nie przypominał „ojca chrzestnego”.

– Jesteś sam? - sprawdziła.

– Z Januszem...

Oddechnęła. Derski wydawał się jedynym prawdziwym przyjacielem. Odczytany i kulturalny uczył Beatę dystansu do gangsterskiego świata.

– Muszę jechać na przesłuchanie...

– Jeżeli on się dowie, że jesteś moją córką... - „Bonasera” zawiesił głos. - Nie mam pojęcia, co zrobi.

– Ja też - zaśmiała się dziewczyna. - Przekonamy się, jak bardzo mnie kocha, tato...

– Gdybyś potrzebowała pomocy, dzwoń!

Beata wiedziała, że ojciec w każdej chwili mógł wysłać po nią najlepszych warszawskich adwokatów. Tak samo jak mógł kazać zabić wszystkich, którzy stali na chodniku przed jej domem. Z karabinu maszynowego lub z bazuki.

## **Rozdział VI**

Palce doktora Szobera były długie i ruchliwe. Przyciągały wzrok. „Bonasera” przyglądał im się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Słuchał, potakiwał i milczał. Doktor poprosił o tę rozmowę przez Janusza Derskiego, a właściwie jego żonę, swoją dawną pacjentkę. Mimo brody i okularów Szober wywarł na Rolce bardzo dobre wrażenie. Elegancki, konkretny i - wydawało się - godny zaufania. „Tylko te palce - zastanawiał się gangster - dlaczego są takie ruchliwe?” W głosie gościa można było wyczuć brak nadziei i ledwie uchwytną prośbę o pomoc. Siedzieli w zacienionym przez drzewa na zewnątrz gabinecie Rolki. Dym z cygar snuł się pod sufitem. „Bonasera” ubrał się w smoking, białą koszulę ze stojącym kołnierzykiem i muszkę. W butonierce umieścił czerwoną różę. Głowę miał odchyloną do tyłu, co oznaczało, że traktował gościa poważnie.

– Po stronie prawa nie ma już dla nas miejsca - kontynuował doktor. - Dzwonił do mnie prokurator i chyba coś podejrzewa...

– Jaki prokurator? - zapytał „Bonasera” z błyskiem oczu.

– Jakiś Mann... - Szober miał dobrą pamięć i nie musiał długo myśleć.



- Czy naprawdę chce pan, żebym wziął pana pod swoją opiekę? - zapytał z poważną miną gangster. Nawet jeżeli zabrzmiało to groteskowo, było realne i mogło oznaczać ocalenie.

- Moja żona potrzebuje spokoju... - chciał dodać: „panie Bonasera”, ale uznał, że kryje się w tym pewien rodzaj prostactwa. - Nie mam zamiaru spędzić reszty życia za kratami. Za dużo mam do stracenia i... sprzedania.

- No właśnie - ożywił się gangster. - Część z tego, co pan mówił, chyba zrozumiałem. Czy mógłby pan wyjaśnić mi to jeszcze raz? Co chce mi pan sprzedać?

- Moją tajemnicę - odparł krótko. - Mogę zmienić wygląd każdego człowieka. Wystarczy, że zechce pan mieć czyjąś twarz, dostarczy mi osobę, a po kilku godzinach będzie po wszystkim.

- Jeżeli dobrze rozumiem, chce pan powiedzieć, że nikt mnie nigdy nie rozpozna, tak?

- Nie rozpozna pana jako pana - wyjaśnił doktor. - Będzie pan jednak przypominał dawcę!..

- Zaczyna mi się to podobać... - „Bonasera” zaśmiał się i wypuścił kłęb dymu. - Czyli mogę wyjść na ulicę i wybrać... Jak pan to nazwał? Dawcę?

Szober przytaknął i zgasił cygaro.

-I pan przeszczepi mi jego twarz? To brzmi jak *Sciencefiction*. Dlaczego nigdzie tego nie robią?

- Bo tylko ja znam skład lekarstwa, które kontroluje odrzucenie przeszczepu. - Szober zdjął okulary i przetarł rogiem serwetki szkła. - To moje odkrycie.

- Dziwne - zastanowił się „Bonasera”. - Uważa pan, że wymyślił coś, o czym nie wiedzą najlepsi lekarze na świecie? Mam panu wierzyć?

- Moja żona jest dowodem - potwierdził Szober. Wyjął z kieszeni kopertę i podał gangsterowi cztery zdjęcia. - To ona...

- I mówi pan, że te cztery kobiety to jedna i ta sama osoba... - Wzrok Zygmunta Rolki przypominał spojrzenie byka na corridzie.

- Tak właśnie jest - wyjaśnienie zabrzmiało naturalnie i z wyczuwalnym poczuciem wyższości.

- Proszę mi dać wasze zdjęcia. Pana i żony - zdecydował trochę ociężałe gangster. - I dowody osobiste...

-Oczywiście - odparł Szober i sięgnął do marynarki. Był na to przygotowany.

„Bonasera” wpatrywał się w zdjęcie Patrycji Szober, a w jego głowie rodził się powoli szatański pomysł. Odzyskał dobry humor mimo złych wspomnień doty-

czących napadu na córkę. Irytowała go tylko myśl, że w każdej chwili mógł zadzwonić telefon od prokuratora. Był pewny, że tożsamość jego córki zostanie w końcu ujawniona, że jakiś bystry urzędnik odkryje, kto jest jej ojcem, i wtedy Mann może spróbować się wymknąć. Tak wspaniale zaprojektowana mistyfikacja umrze śmiercią naturalną. Poza tym chciał wiedzieć, w jaki sposób tamten zareaguje. Czy rzeczywiście zakochał się w Beacie i będzie go można powstrzymać? „Bonasera” miał nagrania, które w ciągu jednego dnia mogły raz na zawsze położyć kres karierze prokuratora. Nie o to jednak chodziło. Organizacja potrzebowała swojego człowieka w prokuraturze. Wiernego, lojalnego i z perspektywami. Mann był idealny.

– Dobrze, ukryję was - zgodził się gangster. - Mam nadzieję, że dobrze robię...  
- głos „ojca chrzestnego”

dopiero teraz rozwinął się na dobre. Doktor aż zamarł z podziwu, widząc prawie doskonałą imitację.

Kiedy opuścił dom „Bonasery”, zdał sobie sprawę, że pozbawił się jakiegokolwiek możliwości powrotu. Gangster obiecał jemu i żonie nowe dokumenty, nowe mieszkanie i ochronę. Wszystko miało być przygotowane w ciągu kilku dni. Na razie nie prosił o nic, po prostu grał rolę dobrego wujka.

Po wyjściu Szobera „Bonasera” coraz bardziej zaczynał zdawać sobie sprawę z możliwości, jakie otrzymał. Początkowo nie potrafił przyzwyczaić się do myśli, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Gdyby nie wstawiennictwo Derskiego, doktor wylądowałby na ulicy ze skopanym siedzeniem. Za bezczelność i zabieranie cennego czasu.

Kilka minut po tej rozmowie w mieszkaniu Beaty pojawił się Mann. Bez zapowiedzi i bardzo zdenerwowany. Kiedy wszedł do pokoju, nie próbował nawet usiąść. Patrzył na dziewczynę tak, jakby miał zamiar ją uderzyć. Najbardziej denerwował go jej spokój. Zanim tu przyszedł, spryskał sobie twarz sporą porcją wody kolońskiej. Nigdy jeszcze nie był tak wściekły. Czuł się oszukany i wykorzystany. Beata stanęła za barkiem w kuchni i zaczęła przygotowywać sałatkę. Wydawało się, że napad i śmierć „Korby” nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Mann nie mógł uwierzyć, że taka reakcja dotyczyła osoby, którą darzył uczuciem. „Zakochałem się, cholera jasna, zakochałem się i oni to wykorzystali”

– powtarzał sobie w duchu. „Ten szczywany »Bonasera« pewnie przez cały czas miał dobrą zabawę” - pulsowało mu w głowie.

– *Zjesz kolację?* - pytanie wyrosło przed nim jak ściana. Proste i naturalne.

– Chcę ci powiedzieć, że... - zaczął, tłumiąc wściekłość. - Oszukaliście mnie...

Jesteś córką największego gangstera, jakiego kiedykolwiek znałem. Człowieka, którego obiecałem zamknąć razem z jego kolesiami. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że twoim ojcem jest Zygmunt Rolka? Przynajmniej, że wszystko zostało zaplanowane!

– Jesteś taki naiwny - stwierdziła po prostu dziewczyna. Doszła już do siebie po napadzie i sama się dziwiła, że nie ma z tym problemu. Jej umysł doskonale poradził sobie z przykrymi wspomnieniami.

– Co przez to rozumiesz? - Prokurator stanął przy oknie, nie zdając sobie sprawy, że ochroniarze z naprzeciwka przyglądają mu się z ironią w oczach.

– Kochasz mnie? - zadała bolesne pytanie.

– A jeśli tak? - Starał się ukryć podniecenie. Nic nie mógł poradzić, że znów jej zapragnął i zaczynał być śmieszny.

– Jeśli tak, to wspaniale - odpowiedziała bez wahania. - Będziemy się przyjaźnić, pomagać sobie, rozmawiać, cieszyć się życiem...

– Co ty opowiadasz! - wybuchnął. - Cała prokuratura aż huczy... Wszyscy się ze mnie śmieją. I mają rację. Wystawiliście mnie z ojcem jak ostatniego idiotę...

– Jesteś tego pewny? - jej głos zdawał się rozgniatać rodzinę. Był cichy, trochę zachrypnięty i kuszący. Kokietowała go, nie miał wątpliwości.

– Obiecuję ci, że twój ojciec znajdzie się w więzieniu, a cała reszta razem z nim - wyrzucił z siebie z wściekłością.

– Koniec zabawy, kochanie. Nawet jeżeli cię kochałem, to teraz muszę udowodnić swoją niewinność... Gdybym pokazał ci akt oskarżenia, mogłabyś nie uwierzyć. Twój ojciec jest zimnym bandziorem, który poluje na kolejną okazję, żeby zabić. Dla forsy zrobi wszystko. Dziesiątki trupów, jakie jego ludzie zostawili po sobie, to tylko drobny fragment życiorysu tatusia, kochanie... Wymuszenia, gwałty, kradzieże, porwania, podpalenia, haracze, fałszerstwa, przemyt samochodów i narkotyków... Mało?

– Zadam ci jedno pytanie, dobrze? - Beata spróbowała sałatki i oblizwała usta. Nawet w tym była podniecająca.

– O, co za szczęście, że chcesz mnie o coś zapytać - odparł z przekąsem prokurator. - Słucham, słucham...

– Ile zarabiasz?

– Tylko o to chciałaś mnie zapytać? - zaśmiał się nieszczerze. Pamiętał doskonale spojrzenie prokuratora Dacki, kiedy okazało się, kim jest Beata Alond. Pamiętał telefon od ministra. Dostał dwa miesiące na zmiękczenie „Peleryny” i oskarżenie Rolki i jego ludzi. Ani dnia dłużej. Minister nie omieszkał zauważyć, że

kontakty z córką „Bonasery” były ogniwem w śledztwie. Pozwolił sobie nawet na wyrażenie uznania za stosowanie niekonwencjonalnych metod. Mann jednak dobrze wiedział, że zaczęli patrzeć mu na ręce, a jego uczciwość została poddana ostatecznej próbie. Nie miał wyjścia, musiał zniszczyć „Bonasere”. Do tego dochodziła sprawa z chirurgiem plastycznym. Na szczęście inspektor Sygier działał z zapalem i trzeba było tylko cierpliwie czekać na pierwsze efekty.

– Odpowiesz? - Jej spojrzenie mówiło wszystko: „osioł, zwyczajny osioł”.

– Mało - odpowiedział, łudząc się, że coś od niej wyciągnie.

– Ile masz lat?

– Sporo...

– Jak długo oskarżasz?

– Długo...

– Masz na koncie pieniądze?

– Trochę mam... - spróbował się bronić.

– Powiedziała: pieniądze, nie odpadki. - Dziewczyna wyduła rozkosznie wargi. Najwyraźniej poczuła się rozbawiona.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że każdy, kto ma mało pieniędzy na koncie, jest śmieciem? - zadrwił ze ściśniętym gardłem. - Mogę prosić coś do picia? - Nalała mu soku do szklanki i cierpliwie wpatrywała w zaciętą twarz.

– Chcę powiedzieć, że tacy ludzie nie żyją... - odpowiedziała bezbarwnym głosem. Nie udawała, naprawdę była smutna.

– Nie rozumiem cię...

– Nie masz pieniędzy, nie smakujesz życia, starzejesz się, ganiasz za ludźmi, którym się powiodło...

– Za bandytami - uciął ze złością.

– A gdzie jesteś ty? Czy możesz spełnić swoje marzenia? Czym imponujesz? Wyglądem? Kasą? Intelpektem? Co możesz zrobić, żeby nie czuć się jak w klatce? Wiesz, o czym mówię... O tej gównianej pracy, z której od jakiegoś czasu do mnie wybiegasz i chcesz zaciągnąć do

łóżka. Nie mam racji? Sprawiedliwość, uczciwość, szlachetność, przepisy, prawo... Chłopcze drogi...

Teraz traktowała go z góry i bez litości. Tak przemawiały wielkie pieniądze, władza i pewność, że można zdobyć wszystko.

– Dostałeś szansę wydobycia się z niczego. Jedną szansę na milion. Mój ojciec docenia lojalność i dobrze traktuje przyjaciół...

– Jakich przyjaciół? - wzruszył ramionami Mann. - Tych, co zostali utopieni

„na psa” w Bałtyku?

– Prawdziwą lojalność - wyjaśniła spokojnie Beata. Podała mu talerzyk z sałatką i sama zaczęła jeść.

Przez moment miał zamiar wyrzucić jedzenie przez okno, ale się pohamował. Wyglądało apetycznie, a on był głodny. Poza tym podobało mu się, że o nim pomyślała.

– Chcecie mnie kupić? - zapytał, patrząc jej w oczy.

– Tak - odpowiedziała, nie spuszczać powiek. - Chcemy, żebyś dla nas pracował. Za duże pieniądze. Przez kilka lat... Potem będziesz mógł przerwać pracę i do końca życia nie myśleć o państwowej emeryturze. Na twoim koncie w Szwajcarii zostanie odłożona suma, przy której polskie kasy fiskalne dostają czkawki.

– Ile? - nie odmówił sobie tego pytania. Chciał wiedzieć, jak go wycenili.

– Do negocjacji - zbyła go z ciepłym uśmiechem.

Miała na sobie obcisłą bluzkę i dzinsy. „Co za życie, taki towar się marnuje, a ja razem z nim” - westchnął prokurator.

– Sto tysięcy dolarów? Dwieście? - naciskał z przekorą.

– Nie rozśmieszaj mnie - zgasiła go zalotnie. Rodzynek pomiędzy jej zębami tańczył niespokojnie. - Taka suma zmieściłaby ci się w gardle...

„Ona mówi jak jej ojciec” - przeraził się Mann.

– Ja myślę o przyjaźni, panie prokuratorze, o przyjaźni...

Nazwała go „panem prokuratorem”, jakby miała zamiar zamówić napis na nagrobku. Pochyliła się, poprawiając dywan, a jego wzrok podziwiał przez chwilę zgrabne plecy bez stanika. Bluzka była tak cienka i obcisła, że z pewnością nawet najdelikatniejsze zapięcie byłoby doskonale widoczne. Ochroniarze z przeciwka obserwowali go i zakładali się o piwo, przewidując, jak długo jeszcze wytrzyma. Mieli ochotę kogoś pobić i marzyli o kolejnym wyskoku prokuratora.

– Nie interesuje mnie to - odpowiedział Mann.

Nie wierzył w przyjaźń gangsterów i ich lojalność.

Propozycja Beaty zaledwie dobrze brzmiała. W rzeczywistości osaczała go i na całe życie pozostawiała w rękach „Bonasery”. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby za kilka lat gangster kazał mu oddać wszystkie pieniądze, strasząc jakimś innym prokuratorem. „Raz umoczysz, zawsze umoczysz” - tak zwykł mawiać do Manna pewien znajomy profesor. Propozycja Beaty nie padła na podatny grunt.

– Dwa miliony dolarów - powiedziała zachęcająco dziewczyna. Nawet profesor tego nie przewidział.

- A kto mi zareczy, że mnie nie sprzątniecie?
- Nikt. - Odstawiła talerz i sięgnęła po serwetkę. - Nikt nie ma takich gwarancji.
- Jeżeli nie będziesz się wtrącać, to wyjdiesz z tego cało... - zaczął opiekuńczym tonem. - Inaczej skończysz w więzieniu...
- Nie boisz się o swoje życie? - nawet „Bonasera” nie zadałby lepiej tego pytania.
- Jestem przyzwyczajony - odparł i skierował się do drzwi. - Dziękuję za sałatkę.
- A ja za uratowanie życia - uśmiechnęła się szeroko i szczerze. - Co byś powiedział, gdybym za ciebie wyszła za mąż?

Nie odezwał się. Atak przyszedł z najmniej oczekiwanej strony. Zaciśnął zęby i szybko wyszedł. Ona jednak wiedziała, że zasiała ziarno. Czas dojrzewania jeszcze nie nadszedł. W tej chwili prokurator przypominał zaniepokojonego węża, podejrzewał grę, która miała go osaczyć i zniszczyć. Za dzień, tydzień lub miesiąc wszystko mogło się zmienić. Beata dobrze rozumiała siłę słów i nie uważała tej propozycji za straconą.

Hotelowy kucharz nawet nie przypuszczał, że jego wzrost, uroda i rysy twarzy zaprowadzą go na cmentarz. Wcześniej jednak przeżyje coś wyjątkowego. Tak samo nie miała szczęścia urzędniczka bankowa od lat wzorująca swoje *image* na zdjęciach z kolorowych magazynów. Oboje nie znali się i nigdy nie mieli poznać. Mimo to zostali pochowani w jednym grobie jako małżeństwo.

Najpierw jednak zwrócili uwagę ludzi „Bonasery”, którzy od kilku dni szukali podobnych typów. Obejrzeli

zdjęcia i wyruszyli w miasto. Kiedy „Rumba” osobiście potwierdził trafność wyboru - kości zostały rzucone... Szef ochrony wybrał jedną z bieszczadzskich krętych dróg i starannie zaplanował wypadek. Pożyczony od teścia samochód doktora stoczył się ze skarpy i runął w przepaść. W środku znajdowały się ciała kucharza i urzędniczki. Dwie minuty wcześniej zostali zabici uderzeniami klucza francuskiego w skroń. Zaraz po upadku samochód wybuchł i niemal całkowicie spłonął. „Rumba” zadbał o to, żeby benzyna znajdowała się wszędzie. Oba ciała musiały być prawie nie do rozpoznania. Prawie, ponieważ część nadpalonych dokumentów umieszczono w kieszeniach ofiar.

Oficjalnie państwo Szoberowie musieli umrzeć.

Kiedy prokurator Mann otrzymał informację o wypadku, znajdował się w celi z „Peleryną”. Przekonywał gangstera do zeznawania przeciwko „Bonaserce” i jego

ludziom. Roztaczał wizję spokoju, radości i bogactwa. Tamten wahał się, ale nie powiedział „nie”. Wtedy właśnie spokojny głos inspektora Sygiera przebił się przez telefoniczne zakłócenia.

– Mamy ich, panie prokuratorze - poinformował sucho inspektor. - Rozwalili się samochodem w Bieszczadach...

– Kto? - Mann z wysiłkiem i niechętnie wracał myślami do sprawy kobiet bez twarzy. „Peleryna” przyglądał mu się z ciekawością. Nudził się i każda rozrywka była dobra. Nawet przysłuchiwanie się telefonicznej rozmowie prokuratora.

– Szobera i jego żonę - odparł Sygier. Znajdował się właśnie w miejscu, gdzie łączność rwała się i utrudniała rozmowę.

– Może pan powtórzyć? - prokurator nie był pewny, czy dobrze usłyszał. - Co się stało?

– Oboje zginęli - zawołał do słuchawki inspektor. - Spalili się. Możemy się domyślać, że to oni... Mamy ich dokumenty, samochód sprawdziliśmy...

– Oni nie mieli samochodu - wyrwało się Mannowi. To zapamiętał i sprawdził. - Sprzedali go...

– Jechali samochodem teścia doktora - wyjaśnił Sygier. - Wygląda na to, że kierowali się w stronę granicy i wpadli w poślizg. Myślę, że to oni... Fragmenty ubrań, wzrost, kolor włosów... Wszystko się zgadza. Koniec pieśni... Po prostu mieli pecha.

Dwa instynkty zderzyły się gdzieś whiperprzeźreni. Stary policjant tak bardzo chciał zamknąć sprawę, iż nie dopuszczał do siebie wątpliwości. Wszystko wyglądało normalnie i nie miał podstaw do podejrzeń. Wypadek jak wypadek - zdarza się. Wybuch baku z benzyną też nie należał do rzadkości, a ciała i dokumenty pasowały do rysopisów obojga poszukiwanych. Inspektor pamiętał ich twarze ze zdjęć, które oglądał u dawnych znajomych Szoberów. Przez ostatnie dni odwiedził kilkoro z nich i powspominali dawne dzieje. Wszyscy twierdzili, że doktor i jego żona nagle zmienili się i odcięli od środowiska. Przestali przyjmować przyjaciół, chodzić do teatru i organizować spotkania. „Odbiło im” - w ten sposób podsumował ich zachowanie jeden ze znanych aktorów. Najdziwniejsze było to, że doktor porzucił świetnie funkcjonującą prywatną praktykę i zlikwidował konta w banku. Tak jakby chciał rozplnąć się w powietrzu. Dlatego wyjazd za granicę pasował do układanki.

– Informujcie mnie na bieżąco - zakończył prokurator i skierował spojrzenie na „Pelerynę”. Znów był myślami w celi.

– Nie dają panu spokoju, co? - zaśmiał się bandyta. - Też tak miałem. Człowiek

dzień i noc musiał się martwić, co do garnka włożyć...

- Na pewno, „panie Peleryna”, na pewno - zgodził się z ironicznym wyrazem twarzy Mann. Nazywał tak gangstera na jego prośbę. „Pan Peleryna” brzmiało szlachetnie i według tamtego wzbudzało szacunek. Niski człowieczek nie pasował do roli śmiertelnie niebezpiecznego gangstera. Przypominał raczej dobrego sąsiada, który na swoim grubym brzuchu stawia szklanke z piwem i słucha brzęczenia pszczoł. Jego ręce były pulchne i sprawiały wrażenie dobrze wyrosniętych pączków. Twarz nosiła ślady ospy, ale wyglądała przyjaźnie i na swój sposób rubasznie. Gdyby ktoś chciał jednym słowem określić „pana Pelerynę”, mógłby powiedzieć po prostu: miś... Prokurator wiedział jednak, że były to tylko pozory. Gangster miał genialną zdolność do zjednywania sobie ludzi i wykorzystywania ich do własnych celów. Bez skrupułów i litości. Jemu właśnie organizacja „Bonasery” zawdzięczała przemyt setek ton alkoholu, papierosów i narkotyków. O nim mówiono, że jak kogoś nie lubił, to nie chciał go widzieć w świecie żywych. Podobno twierdził wtedy, że taki ktoś zabiera mu powietrze. Wpadł przez przypadek. Człowiek, którego tenże własnoręcznie dusił, jak się wyraził, za „kradzież powietrza”, zdołał uciec i nadał policji transport odbierany osobiście przez „Pelerynę”. Gangster został

zatrzymany na gorącym uczynku - w chwili, gdy testował narkotyk. Kiedy go zabierano, nie wściekał się i nie krzyczał. Uśmiechał się łagodnie i roztaczał wokół siebie zapach wody kolońskiej, której używał jeszcze jego dziadek.

- Bez pana czy z panem, i tak „Bonasera” pójdzie siedzieć - kontynuował prokurator. Obaj wiedzieli, że chciałby, żeby tak było.

- Co mi pan obiecuje? - zapytał miękko „Peleryna”. - Święty spokój cmentarny?

- Obiecuje, że nie pójdzie pan siedzieć - tłumaczył cierpliwie Mann. - Dostanie pan kilka lat w zawieszeniu i wyjedzie, gdzie tylko zechce.

- Znajdą mnie... - westchnął prawie szczerze gangster. - Znajdą i wyduszą moje ciężko zapracowane pieniądze.

- Nie uda im się, ponieważ wylądują w więzieniu - słowa uspokojenia nie zabrzmiały przekonująco. - Nie jest pan przecież naiwny. Ma pan pieniądze, zna trochę świat, umie rozmawiać z ludźmi. Może pan nawet zmienić nazwisko. Wszystko jest do zrobienia, „panie Peleryna”.

Mina małego grubasa upodobniła się do nieudanego zdjęcia. Spojrzenie i rysy zamazały się, a usta przybrały kształt kaczego dzioba. Trudno było zgadnąć, czy Mann przekonał go, czy raczej odstraszył.



- Chce pan, żebym wszystkich wysypał... - zastanawiał się głośno.

- Mają pana gdzieś - odpowiedział Mann. - Każdy, kto wypada z waszej gry, przestaje się liczyć... Na pana miejscu bałbym się o swoje życie. Wiedzą, że może pan zacząć zeznawać, i na pewno nie czekają z założonymi rękami. Jeżeli powiem dziennikarzom, że zaczął pan mówić, można będzie odliczać godziny do pana śmierci. Tutaj, w areszcie...

- Nie mam rodziny, nie mam przyjaciół, ale mam pieniądze - „Peleryna” stał się refleksyjny. - Czy komuś tak samotnemu mógłby pan podłożyć świnie? Skłamać, żeby mnie ukatrupili?

- Mógłbym, „panie Peleryna” - potwierdził prokurator. Przed oczami zafalowały mu zgrabne nogi Beaty. Nadleciały znikąd, przypomniały się i zniknęły. „Idiota” - Mann skarcił się w myślach.

- Nie boję się więzienia. - Gangster rozparł się wygodnie na krześle i kręcił młynki grubymi kciukami. - Wie pan dlaczego?

- Nie wierzę - uciął Mann.

- Nie boję się, bo jestem homo... - Triumf w oczach grubasa zdawał się rozgrzewać powietrze. - Te sprawy nie robią na mnie wrażenia.

- Może pan sobie być nawet królem pedałów, a ja i tak nie uwierzę, że dziesięć lat odsiadki to dla pana nic. Dziesięć lat pierdła, dziesięć lat syfa... Dobrze się wyraziłem?

- Pomyślę jeszcze...

- Jak pan chce - odparł Mann. - Moja cierpliwość jest na ukończeniu. W końcu powiem, że pan sypie, i będę czekał na telefon.

- Czy pan wie, że mogę pana zabić? - „Co za ton”, pomyślał Mann. - Mogę wydać rozkaz i zostaniesz, czło wieku, przedarty na pół. Dwa jeepy i po tobie... Ryzykujesz? Prokurator wiedział, że gangster nie blefował. Nie przyszedł go drażnić, przyszedł osiągnąć cel. Potrzebował świadka koronnego i nie miał czasu na sprzeczkę. Dlatego uśmiechnął się i powiedział:

- Czekam na pana decyzję. Wystarczą zeznania, \* a reszta ułoży się jak w nogawce...

- Ile mam czasu? - „Peleryna” również nie lubił przeginać pały. Jeszcze w dzieciństwie nauczył się, że wszystko można osiągnąć dzięki spokojowi. Większość jego agresywnych kolegów już dawno nie żyła. On jeden miał zwyczaj rozmawiać do ostatniej chwili. Nawet wtedy, gdy lufa jego pistoletu wyrzucała pierwszą kulę. Zawsze istniała szansa, że ofiara powie coś ważnego i wszyscy na

tym skorzystają. Wychodząc z pokoju przesłuchań, odwrócił się i mrugnął porozumiewawczo do prokuratora. Dał mu w ten sposób znak, że zbliża się moment, kiedy zaczną grać do jednej bramki. Zostawiał za sobą obietnicę dobrego interesu. W nieokreślonej bliżej przyszłości.

Mann nie przypuszczał nawet, że miał potężnego sprzymierzeńca. Nie zauważył czarnej limuzyny, która stała kilkadziesiąt metrów od bramy aresztu. Dynamicznym krokiem szedł w stronę swojego samochodu, nie zdając sobie sprawy, że jest uważnie obserwowany. Zastanawiał się, czy „Peleryna” w końcu pęknie i zacznie zeznawać. Bronił się przed własną wyobraźnią, która nakazywała mu wracać do Beaty. Rozwagał słowa inspektora Sygiera. Na deser przypomniał sobie ostrzeżenie

ministra i nieubłagany wzrok swojego szefa. „Mało czasu - stwierdził - za mało...” Usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi.

- Jedź spokojnie - usłyszał za sobą senny głos. - Ktoś chce ci coś zaproponować...

- Dokąd? - Prokurator uspokoił się i w pewnym sensie ucieszył. Gdyby chcieli go zabić, już by nie żył.

- Jedź prosto - rozkazał ten z tyłu. Lufa pistoletu nie była widoczna, ale na pewno tam była. - Powiem ci, gdzie skręcić.

Kilka ulic dalej wjechali do podziemnego garażu. Mann cierpliwie wykonywał polecenia. Nie miał szans na jakąkolwiek ucieczkę. Tamten mógł po prostu nacisnąć spust. Parking był słabo oświetlony i prawie pełny. Prokurator zatrzymał samochód na zarezerwowanym miejscu i milczał. Zdawał sobie sprawę, że cisza robiła wrażenie. Niosła zapowiedź czegoś nagłego, bardziej groziła, niż obiecywała. Spojrzał w lusterko i zobaczył czarną maskę na twarzy nieznajomego. Do samochodu podszedł jakiś mężczyzna w czarnym płaszczu, zatrzymał się i wszedł do środka. On również był zamaskowany. Usiadł z tyłu i rozkazał:

- Wyjdź i pilnuj nas.

Ochroniarz w kominiarce wysiadł i stanął obok okna, za którym widział głowę Manna. Mimo że ustawił się bokiem, prokurator wiedział, że nie spuszczał go z oka i mierzył do niego spod pachy. Gdyby nacisnął spust, z szyby zostałyby drobne kawałki, a z głowy miazga.

Zostali sami.

- Masz broń? - zapytał mężczyzna w płaszczu.

„Skąd on wiedział, że o tym myślałem” - zdziwił się Mann. Mówił na ty, co oznaczało, że miał władzę albo bardzo chciał ją zdobyć.

- Mam - potwierdził cicho.
- To dobrze - pochwalił go obcy. - Nie będzie ci potrzebna. Pogadamy...
- W porządku.
- Chcesz przyskrzynić „Bonasere”, prawda? - zapytał nieznajomy. Mówił z cwaniackim akcentem.
- Chcę.
- Mogę ci go wystawić...

-Jak?

- Zobaczysz - zaśmiał się złośliwie mężczyzna. - Świadek koronny... OK?
- To zależy...
- Stary, nie pieprz - przypominało to warknięcie psa, starego i długo trzymanego na łańcuchu. - Jak dobrze pójdzie, to nawet mnie nie zobaczysz. Obejdzie się bez świadka. Poniał?
- Poniał... - powtórzył rosyjskie słowo Mann.
- Czekaj cierpliwie, prokuratoru, a zliżesz śmietankę - powiedział mężczyzna, wysiadając z samochodu, i bez pośpiechu oddalił się. Po chwili zniknął za zakrętem parkingu.

Mann nie starał się go śledzić. Nie próbował również podglądać ani zapamiętywać numeru rejestracyjnego samochodu, do którego tamten wsiadł. Uznał, że jeżeli ktoś zadał sobie trud, żeby go poinformować o zamiarze zniszczenia „Bonasery”, to na pewno wróci i zechce dokończyć dzieło. Miał nawet wrażenie, że temu komuś bardziej na tym zależało niż jemu. Czas upływał, a „Peleryna” w każdej chwili mógł odrzucić szansę ułaskawienia; był nieobliczalny. Prokurator odruchowo skierował się do mieszkania Beaty, przypominając sobie dopiero na miejscu, że nie miał tam czego szukać. Po raz pierwszy od wielu tygodni postanowił pojechać na trening.

Franciszek Zyga zwany „Czubem” o mało z radości nie oszalał. Wpadł na pomysł, w jaki sposób unieszkodliwić „Bonasere”. Obejrzał film w telewizji i spłynęło na niego olśnienie. Wyszedł z basenu i udał się do sauny. Odchudzał się, ilekroć uznał, że przesadził z jedzeniem. A przesadzał stale. Poza tym miał zwyczaj podkręcać sobie wąsy palcami, starając się nadać im niepowtarzalny, falujący kształt. Grube policzki i wydęte wargi zdradzały człowieka, w którym pycha walczyła o pierwszeństwo z łakomstwem. Kiedy siedział przy stole, nie zauważał niczego obok. Wpatrywał kolejnych półmisków i nakładał sobie olbrzymie porcje. Ci, którzy go znali, zastanawiali się, gdzie to wszystko upychał. Mlaskał przy tym i sapał, jakby chciał wszystkich odstraszyć. Jego ubrania przypominały worki na

kartofle. Rzadko były odprasowane i jeszcze rzadziej pachniały kosmetykami. Gangster nie korzystał z dezodorantów, chwając się, że zużywa dużo mydła. Sauna była jedynym miejscem, w którym Zyga czuł się dobrze i nie myślał o jedzeniu. Tym razem pocenie się potraktował jak zamknięcie pewnego rozdziału w życiu. Uwierzył, że znalazł słaby punkt w ochronie Zygmunta Rolki. Na tej wierze zaczął budować swoją przyszłość.

Cztery godziny później skontaktował się z człowiekiem, który prowadził restaurację na przedmieściach Warszawy. Nazywał się bardzo oryginalnie: Jan Janek. Od czasu do czasu Zyga wpadał tam na jedzonko i dzięki temu uznawał się za stałego klienta. Janek sprawiał wrażenie kogoś, kto czyta w duszach gości. Zawsze był miły, uśmiechnięty i skupiony. Nigdy jednak nikomu nie nadskakiwał ani tym bardziej nie wisił nad stołem. Po prostu obserwował i reagował. Wystarczył gest i wyrastał jak spod ziemi. Poza tym można było skontaktować się u niego z ludźmi, którzy na co dzień prawie ze sobą nie rozmawiali. Politycy, dziennikarze, gangsterzy, artyści, sędziowie i policjanci zjawiali się tam równie często co wiadomości w CNN. Siadali przy swoich stolikach i udawali, że nie mają oczu i uszu. Jeżeli musieli się do siebie odezwać, robili to przesadnie uprzejmie i z uśmiechem. Przy tradycyjnym polskim jedzeniu, wódce i cichej muzyce z radia załatwiali swoje sprawy. Czuli się tam bezpiecznie i swojsko.

Rozmowa z Jankiem odbyła się w gabinecie na zapleczu. Zyga rozsiadł się w skórzanym fotelu, zapalił papierosa i otarł rękawem spocone czoło. Nie przeszkadzało mu, że na marynarce została tłusta plama. Był sam. Dał swojemu ochroniarzowi wolne i przesiadł się za kierownicę. Właściciel restauracji usiadł za masywnym biurkiem i z przyjemnym wyrazem twarzy czekał, aż gość wyjaśni powód wizyty.

- Potrzebuję człowieka do ochrony - odezwał się Zyga. - Nie z ulicy...
- Tacy ludzie są drodzy - ostrzegł delikatnie Janek. - Jest pan pewien, że tego właśnie szuka?
- Potrzebny mi zawodowiec, który ochroni mi tyłek - wyjaśnił niecierpliwie gangster. Plan w jego głowie z każdą minutą wydawał się bardziej genialny. - Ma pan kogoś takiego?
- Mogę zapytać, jakie środki przeznacza pan na wynajęcie tego człowieka? - zapytał grzecznie właściciel.
- Zapłacę, ile trzeba. - Zyga podkreślił węża i głośno sapnął. - Ma być najlepszy. No i czysty, bez kartoteki. Rozumiemy się?
- Do kogo, gdzie i kiedy ma się odezwać? - Janek nie przestawał się uprzejmie

uśmiechać. Gdyby Zyga był bystrzejszy, zauważyłby, że jego oczy patrzyły nazbyt ciepło...

– Niech zadzwoni do mnie na komórkę - odparł gangster. - Jak najszybciej. Niech powie, że jest od pana...

– Podniósł się ciężko z fotela i skierował do wyjścia. Jego nozdrza uchwyciły jednak zapach z kuchni; odwrócił się i zapytał: - Są żeberka?

Janek uklonił się i zaprosił gestem na salę.

– A ziemniaczki ze skwarkami?

Kolejny ukłon i tak samo przyjazna twarz.

– Z koperkiem?

Gest restauratora mógł oznaczać tylko jedno: niebo w gębie!

– A czerwony barszczyk?

Dziesięć minut później Zyga sapał, młaskał i przyskał sobie na ubranie ulubionym gorącym barszczem z grubo ciętymi kawałkami buraków. Kiedy skończył, zadzwonił telefon. Z pełnymi ustami odezwał się:

– Kto tam?

– Pan Franciszek Zyga? - głos mężczyzny był piskliwy i dziecinny.

– Co to za jaja? - gangster skrzywił się z niesmakiem. - Zadzwon dzieciaku po mutacji... - pamiętał to słowo i często go używał. Szczególnie wtedy, gdy znajdował się w pobliżu córki i młodej żony „Bonasery”. Wydawało mu się, że dobrze brzmiało i podnosiło jego notowania.

– Jestem od pana Jana Janka - wyjaśnił głos. Bez emocji i jakiegokolwiek żalu lub zdenerwowania.

– A, tak... - Zyga po raz kolejny otarł usta rękawem i spoważniał. - Przyjeżdż pan na Marszałkowską...

Tamten milczał, czekając na dokładniejsze dane. Kiedy je otrzymał, podsumował sucho:

– Będę za godzinę. Jestem „Aron”.

– To nazwisko? - upewnił się gangster. „Niezły czub” - pomyślał z satysfakcją. Nie lubił swojego przezwiska i z przyjemnością znajdował dowody na jego nietrafność. Osobiście nie czuł się nigdy wariatem i wściekał się, że jego przezwisko to właśnie oznaczało. „„Czub« - to gównno nawet źle brzmi” - krzywił się, ile razy o tym pomyślał.

– Nie, to przezwisko - odparł „Aron” i rozłączył się.

Kolejna restauracja była tylko przykrywką. Dużo

ludzi, tańce, zabawa, jedzenie i picie - dobre tło do planu Zygi. Gangster spóźnił

się kilka minut i nerwowo szukał oczami swojego kontaktu. Zamówił stolik. Nie miał wątpliwości, że dla niego się znajdzie. Kiedy usiadł, usłyszał za plecami cienki głos:

- Jestem „Aron”.

Mężczyzna był ubrany jak dyplomata. Mógł mieć metr osiemdziesiąt wzrostu, chociaż wydawał się wyższy. „Chudy i żyłasty - ucieszył się Zyga - musi być szybki”.

- Siadaj, człowieku - zaprosił agenta do stolika. - Zjesz coś?

- Już jadłem - głos rzeczywiście nie pasował do osoby. Inteligentną twarz „Arona” pokrywał trzydniowy ciemny zarost, a ostrzyżone krótko czarne włosy i opalenizna sprawiały, że przypominał urodą Araba. Usiadł naprzeciw Zygi i znieruchomiał. „Któryś z nas nie żyje” - złośliwa myśl przeleciała przez głowę gangstera.

- Wiesz, kim jestem? - do ludzi, których opłacał, zwracał się zawsze per ty.

- Nie - odpowiedział agent.

- Byłeś w jednostkach specjalnych?

- Tak.

- Zwolniony?

- Tak.

- Dużo lat tam byłeś?

- Dużo.

- Znasz ludzi?

- Znam.

- Możesz skrzyknąć grupę?

- Mogę.

- Ale mają być czysti... - zastrzegł Zyga, oddalając gestem kelnera.

- Są czysti - „Aron” mówił mało. Wyglądało na to, że on także nie znosił swojego głosu.

- Muszą być pewni... I trzymać język za zębami, rozumiesz? Morda w kubek...

Agent tylko skinął głową.

- To dobrze...

W ciągu dziesięciu minut Zyga wyjaśnił „Aronowi”, o co chodziło. Wtajemniczył go w swój plan i oczekiwał uznania. Albo przynajmniej podziwu.

- To trudne, ale wykonalne - stwierdził na końcu „Aron”. Zyga był rozczarowany i czuł, że będzie musiał znowu coś zjeść. Poza tym chciał, żeby agent jak najszybciej zabrał się do pracy. Do uzgodnienia pozostała tylko cena.

- Ile chcesz?

- Sto tysięcy dolarów - wśród papierosowego dymu, przyćmionych świateł i muzyki pojawił się zapach pieniędzy.

- Trochę dużo - Zyga odruchowo spróbował się targować. Robił tak zawsze. Czy były to kradzione samochody, czy podrabiane dokumenty lub dowody rejestracyjne, cena do ostatniej chwili mogła być zmieniona.

- Dokładnie tyle, ile powiedziałem - powtórzył piskliwie „Aron”. Mimo cienkiego głosu wzbudzał respekt. - Przy następnym spotkaniu zaliczka. Dwadzieścia tysięcy.

- Niech będzie... - zgodził się Zyga. Spieszyło mu się i chciał zobaczyć efekt swojego planu, chciał ujrzeć „Bo- naserę” na kolanach. Wyobraził sobie, że jego dotychczasowy szef liże jego buty.

Następnego dnia Lidia Motke, żona Zygmunta Rolki, została porwana. Nawet o tym nie wiedziała. Salon fryzjerski, w którym bywała przynajmniej raz w tygodniu, stworzył okazję. Jedna z klientek dosypała jej do kawy narkotyk i kiedy zaczął działać, „zaopiekowała się” nią do końca - najpierw wyprowadziła pod rękę z salonu,

potem zawiozła do umówionej willi. Lidia Motke leżała bezwolnie i z głupim wyrazem twarzy patrzyła przed siebie. Niczego nie rozumiała i niczego nie zamierzała rozumieć.

Była piękną i elegancką kobietą w wieku dwudziestu ośmiu lat, odżywiała się wyłącznie sałatkami i regularnie uprawiała aerobik. Miała duży i sterczący biust, okrągłe pośladki i płaski brzuch. Przyciągała spojrzenia. Ubierała się sportowo, nie zakrywając tego, co było jej atutem. Jasnobrązowa cera i dziecinna buzia wyróżniały ją z tłumu. Zawróciła w głowie „Bonaserze” i pozwoliła zabezpieczyć się na przyszłość. Lidia ukończyła anglistykę, zaakceptowała dużo starszego męża i cieszyła się życiem. Wierzyła, że „Bonasera” zostawi jej dostatecznie dużo pieniędzy, aby nigdy nie musiała pracować. Nie znosiła przymusu i nie wyobrażała sobie zajęcia pod jakimkolwiek kierownictwem. Kiedy słyszała o biedzie i podatkach, odwracała głowę, jakby miała dostać torsji. Kiedy w telewizji pokazywali zdjęcia z katastrof, krzywiła się i udawała zdziwienie, że coś takiego w ogóle mogło się wydarzyć. Gdyby miała przyjaciół, z pewnością zwierzyłaby się im, że poza sobą nie kocha nikogo innego. Większości ludzi po prostu nienawidziła. Uważała ich, jak mówiła, za brzydkie i śmierdzące cielska, które nie mogą nosić w sobie żadnej duszy, ponieważ obrażałoby to boskie poczucie piękna. Laskawa była tylko dla bogatych, inteligentnych i ładnych. Według niej tylko oni

mieli prawo żyć. Taka właśnie kobieta sypiała z „Bona- serą” i dostała się w ręce „Arona”.

Sypialnia przypominała wnętrze haremu. Poduszki, dywany, kolorowe firanki, olbrzymie łóżko i nastrojowe

światła sprzyjały uprawianiu miłości. Nikt jednak nie zamierzał przestrzegać tutaj intymności. Willa służyła do kręcenia filmów pornograficznych z udziałem wszystkiego, co miało wzięcie na rynku. Lidia wylądowała na łóżku, po czym sprawnie została rozebrana. Charakteryzatorka z rudymi, rozdławającymi się włosami wystrzyła jej makijaż, a łysy kamerzysta z sygnetem na palcu sprawdził światło. Żona „Bonasery” nie wiedziała, co się z nią działo. Śmiała się idiotycznie na cały głos, próbując poruszać się w rytm zmysłowej muzyki. Nie czuła wstydu, nie miała jakichkolwiek zahamowań. Ludzie, którzy wrzucili jej do herbaty tabletki, znali się na swoim fachu. „Aron” stał w cieniu i chłodno obserwował przygotowania do zdjęć. Nigdy wcześniej nie uczestniczył w kręceniu tego typu filmu. Na planie pojawił się barczysty chłopak z bujną czupryną. Widać było, że rzadko wychodził z siłowni. Jego ciało przypominało posąg wyciosany w kamieniu. Niestety, ze swoją tępą twarzą mógł zagrać co najwyżej gumkę do majtek.

Po godzinie Lidia Motke miała za sobą swój pierwszy film pornograficzny. Wykonywała wszystkie polecenia kamerzysty, starając się wypaść jak najlepiej. Jej partner szybko zauważył, że ma do czynienia z kimś spoza interesu, i włożył w poszczególne ujęcia więcej serca niż zazwyczaj. Po raz pierwszy udało mu się połączyć pracę z przyjemnością. „Aron” osobiście dopilnował, żeby żona „Bonasery” została ubrana we własne ubranie, po czym odwiózł ją jej samochodem pod salon fryzjerski. Tam przesunął śpiącą na miejsce kierowcy i odszedł. W samochodzie zaparkowanym kilkadziesiąt metrów dalej czekał, aż kobieta dojdzie do siebie i zacznie trzeźwo myśleć. Ufał, że środek, jaki dostała, wykasuje z jej pamięci większość szczegółów.

Czterdzieści minut później Lidia Motke obudziła się i z przerażeniem zauważyła, że spała za kierownicą. Początkowo miała zamiar zapalić silnik i odjechać, ale zahałała się, zobaczywszy otwarte drzwi do salonu. Spojrzała na zegarek i poszukała torebki. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Potrząsnęła głową, która dopiero teraz zaczynała ją boleć. Zdecydowanie wyszła z samochodu i ruszyła do salonu. Kiedy wyjaśniono jej, że dwie godziny wcześniej źle się poczuła i ktoś wyprowadził ją na powietrze, uspokoiła się. Doszła do wniosku, że po prostu zemdląca za kierownicą i być może będzie potrzebowała dobrego lekarza. „Pewnie



coś mi zaszkodziło” - stwierdziła i wróciła do samochodu. Po drodze dotknęła palcami ust. Były obrzmiałe i trochę piekły. Dokładnie tak, jak podczas pocałunków w parku, kiedy miała czternaście lat.

Po normalnie przespanej nocy żona „Bonasery” zaczęła zapominać o chwilowej słabości. Stwierdziła też, że nie ma sensu nikomu o tym mówić. Świeciło słońce, śpiewały ptaki, w Szwajcarii rosło konto jej męża, a ulice i miasta całego świata pełne były wspaniałych sklepów. Po kilku godzinach chodzenia w poszukiwaniu jakiejś wyjątkowo udanej kreacji Lidia usiadła przed jedną z restauracji na Starym Mieście i zamówiła lody. Wtedy przysiadł się do niej „Aron”. Początkowo wydawało jej się, że gdzieś już się widzieli, ale po chwili uznała, że to raczej niemożliwe. Zdziwiona podniosła na niego oczy i powiedziała:

- Te miejsca są zajęte...
- Wiem - odparł piskliwym głosem.

O mało nie wybuchnęła śmiechem.

- O co chodzi? - zapytała rozbawiona, gotowa zaakceptować jego obecność.
- Ktoś prosi panią o przysługę - agent specjalnie mówił ściszym głosem, bo wtedy jako tako nad nim panował.
- Nie rozumiem... - zaczęła się niepokoić.

Mężczyzna wyglądał elegancko, sprawiał wrażenie zrównoważonego i nie próbował jej podrywać. Przestraszyła się słowa „przysługa”. Podał jej włączoną kamerę z podglądem.

- Co to jest? Nie potrzebuję kamery...
- Proszę to obejrzeć!
- Nie, to nie może być prawda - jęknęła i o mało nie strąciła ze stolika pucharu z lodami. - Skąd pan te świństwa wytrzasnął?
- Czy to pani? - „Aron” lubił jasne sytuacje.
- Nie wiem... - Lidia Motke bardzo chciała skłamać.
- Odpowiem: tak, to pani - zmiażdżył ją spokojem. - Osobiście byłem przy kręceniu tych zdjęć.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, że już go gdzieś widziała. I tego najbardziej się przestraszyła. Patrzyła na film i czuła płonące policzki. Mężczyzna zdawał się nie zwracać na to uwagi. Obojętnie czekał, aż kobieta odzyska spokój i rozsądek.

- Czego pan chce? - wydusiła z siebie.
  - Współpracy - pisnął nienaturalnie wysoko. W niczym nie przypominał już sympatycznego żartownisia. - A właściwie przysługi.
- Oddała mu kamerę i zacisnęła wargi.

- Słucham... - miała nadzieję, że prośba nie okaże się niewykonalna.
- Potrzebujemy haka na pani męża - „Aron” wyraził się jasno i dosadnie.

Lidia zbladła i nerwowo zaczęła jeść lody.

- Ja o niczym nie wiem - próbowała wydać się mało wartościowym współpracownikiem.

- Potrzebujemy haka - powtórzył agent. - Pani mąż musi trafić do więzienia, a pani może sobie odziedziczyć jego forszę... - długie zdanie zabrzmiało jak aria na fałszywych tonach. - Jeżeli nie, wyślemy mu taśmę. Dodatkowo wprowadzimy ją do sieci. Pozna panią cały świat. Czy to jasne?

- To... to jest... parszywe - wykrztusiła z trudem. Chciałaby uciec sprzed restauracji i cofnąć czas. W tym momencie nienawidziła świata, który stawał przed nią osobiste problemy.

- On panią rzuci i zostanie pani bez grosza - kontynuował zastraszanie „Aron”. - Będzie pani skończona. Zostanie tylko ulica i takie filmy...

Jego piszczenie zamieniało się czasami, jak teraz, w przeciągły skowyt. „Kundel, wstrętny kundel” - przyszło Lidii do głowy.

- Zapłacę - uchwyciła się ostatniej nadziei.

- Żadnych pieniędzy - uciął agent. - Głowa „Bonasery”. Dowody, które pozwolą go zamknąć. Proszę wybierać: albo pani, albo jego życie!

- Dobrze - miała wrażenie, że niewidzialna siła podsuwa jej rozwiązanie.

Teraz patrzyła już trzeźwo i dostrzegła własny interes. Zaczynała rozumieć, czym była jej miłość do gangstera. Docierało do niej, że naprawdę kochała jego pieniądze i własną wygodę, że w rzeczywistości brzydziła się starym i sflaczałym ciałem męża. Nadeszło olśnienie.

Zastanawiała się, od czego zacząć. Nigdy wcześniej nie interesowała się sprawami męża. Jednego była pewna - powinna zacząć uważnie słuchać. Szczególnie wtedy, gdy w ich domu pojawiała się córka „Bonasery”.

Rozwiązanie nadeszło samo. Podśluchała rozmowę, w trakcie której gangster przedstawił swojej córce koszmarny plan. Przy płonącom kominku, kawie i ciastkach odbyła się najdziwniejsza rozmowa, jaką Lidia Motke kiedykolwiek słyszała.

- „Peleryna” zaczyna mówić - odezwał się „Bonasera”, zapalając cygaro. Ubrany był w czarne spodnie i białą koszulę ze złotymi spinkami. Krawat połuzował, a pod szyją rozpiął jeden guzik. - Będziemy musieli się ewakuować...

- Myślałam, że decyzję już podjąłeś - zdziwiła się Beata. - Nieruchomości to

rzeczywiście niezły interes.

- Kiedy ktoś zaczyna sypać, wszystko wymyka się spod kontroli - wyjaśnił „Bonasera”. Mówił naturalnie i bez pozy. - W końcu zabraliby się za ciebie. Kontrole, nachodzenie, głupie pytania... Skąd masz pieniądze? Sama wiesz. Urzędas to taki typ człowieka, który za wszelką cenę uzasadnia swoje istnienie. Zna na pamięć kilka przepisów i na tym jedzie. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym ich wszystkich wystrzelać.

- Mnie nie mogą niczego udowodnić - uspokoiła go córka.

- Mogą ci zatruć życie - wyjaśnił, wypuszczając dym. - Jesteś moją córką i każdy będzie chciał cię dopaść. Czy to przyjaciele, czy wrogowie... Pamiętaj, że za krat niewiele zdziałam; no, przynajmniej nie tyle co teraz.

Lidia Motke siedziała przed telewizorem i oglądała kanał z modą. Udawała, że jest całkowicie pochłonięta obrazkami. Podkurczyła nogi na kanapie i poprawiła włosy. Często tak siadywała i „Bonasera” zdążył się przyzwyczaić, że nigdy o nic nie pytała. Kiedyś próbował wysondować, czy cokolwiek słyszała, ale zrobiła tak zdziwioną minę, że roześmiał się i uznał sprawę za zamkniętą. W jego oczach była osobą całkowicie praktyczną i egoistyczną. Gdyby nie jej uroda i umiejętność podtrzymywania w mężu poczucia siły, już dawno zostałaby pożegnana i zastąpiona kimś innym. Dlatego „Bonasera” rozmawiał przy żonie bez żadnych oporów.

- Wiem, że coś wymyśliłeś... - Błysk w oczach Beaty zdradzał, że nie miała wątpliwości. - Zawsze tak zaczynasz. Znam cię, tato, za dobrze cię znam!

- Miałem ci to powiedzieć później - zaczął ostrożnie. - Chciałem cię przygotować... To mój życiowy numer; w dodatku wszystkie karty są w moich rękach.

- Zaraz się zdenerwuję. - Beata wyprostowała się odruchowo.

- Opiekuję się lekarzem, który umie operować twarze - wyjaśnił gangster. - Po prostu je przeszczepia.

- No i co? - dziewczyna najpierw zapytała, a dopiero potem pomyślała.

- Facet twierdzi, że może mi przeszczepić każdą twarz - dokończył.

- Z ulicy?

- No właśnie...

- To niemożliwe - usiłowała zasiać w ojcu wątpliwości. - Medycyna nie ma jeszcze takich możliwości.

- Ten doktor ma. Widziałem zdjęcia. On już to zrobił..

- Tato, ktoś próbuje ci wcisnąć kit - Beata z trudem zebrała myśli.

- On zoperował swoją żonę - ciągnął „Bonasera”. - Widziałem zdjęcia...
- A jeśli kłamał?
- Nie ma wyboru. - Gangster zgasił cygaro i podniósł do ust filizankę. Kawa już ostygła, ale taką właśnie lubił. Kiedy pił gorącą, bolały go zęby.

Jeszcze tej samej nocy Lidia zadzwoniła do „Arona” i zaproponowała spotkanie. To, co usłyszała, całkowicie ją rozstroiło. Przestraszyła się i nieodwołalnie postanowiła pozbyć się męża. Zgubił go głos. Po raz pierwszy w życiu powiedział coś ciszej niż zwykle. I zrobił to po to, żeby żona nie usłyszała. Lidia rzeczywiście nie wychwyciła poszczególnych słów, ale sens był dla niej jasny. „Bonasera” zamierzał zrobić sobie i jej operację plastyczną. Chciał zniknąć, ofiarowując im obojgu obce twarze. Jego egoizm rozwścieczył Lidie i pchnął do działania. Nie wyobrażała sobie eksperymentów na własnej twarzy. Czuli się zdrowa, piękna i pożądana przez wielu mężczyzn. Jakakolwiek operacja była dla niej nieporozumieniem, z którym mogło się równać chyba tylko

chodzenie na co dzień tyłem. Była przeciwna planowi „Bonasery” i teraz dziękowała losowi, że skontaktował ją z „Aronem”. Potrzebowała pieniędzy i nie miała zamiaru rezygnować z wygodnego życia. Uważała, że pieniądze męża w całości powinny należeć do niej. Chociażby po to, żeby mogła wysłać mu do więzienia paczkę. W chwili gdy dzwoniła, film pornograficzny z jej udziałem zszedł na dalszy plan. Wierzyła, że go odzyska i koszmar się skończy. Zanim usnęła, musiała kochać się z mężem, który pod tym względem nie lubił się wysilać. Zrobiła zatem szybko co do niej należało, cmoknęła go na dobranoc w policzek i zasnęła. Do samego rana prześladował ją obraz pustego portfela. Rzuciła się na łóżko i jęczała. Sen jednak był uparty i bezlitosny; omal jej nie zabił.

„Aron” wysłuchiwał wszystkiego w skupieniu. Siedzieli pod parasolem przy kawiarnianym stoliku. On udawał, że czyta gazetę, ona popijała kawę i przeglądała kolorowe pismo. Rozmawiali, prawie na siebie nie patrząc. Zdziwiła się, że rano jego głos brzmiał jeszcze cienie. Tak mogły płakać tylko skrzypce w rękach początkującego ucznia. Kiedy uznał, że wie dostatecznie dużo, obiecał jej zwrot taśmy. Odetchnęła i pełnym zmysłowości krokiem wyszła z kawiarni. „Aron” musiał przyznać, że wyglądała teraz o wiele lepiej niż w czasie zdjęć do filmu. Tam przypominała mięso, tutaj odzyskała duszę i wabiła. Nie miała pojęcia, że powtarzając „Aronowi” rozmowę „Bonasery” z córką, uruchamia domino, które mogło przewracać się bez końca. Tak długo, jak żyły ludzkie słabości. Dała Franciszkowi Zydze broń, o jakiej

nawet nie marzył. Jeżeli człowiek Zygmunta Rolki kiedykolwiek myślał o

szczęściu, to musiało ono tak właśnie wyglądać. Stawał się wielki bez konieczności uwięzienia szefa i bez walki. A był to dopiero fragment władzy. Prawdziwa zaczynała się tam, gdzie nie było możliwości zemsty.

Na razie jednak Zyga cieszył się tym, co dostał. Czuł się wybrańcem Boga.

Lęk na stałe zamieszkał w umyśle Patrycji Szober. Kiedy mąż zawiadomił ją, że są bezpieczni, pokiwała głową, jakby chciała naśladować kołyskę. Nie wierzyła już w nic. Budziła się w nocy, czując niepokój. Rano wstawała spięta, w ciągu dnia płakała. Czasami wychodziła na balkon i próbowała się opalać. Jej twarz zagoiła się, a preparat działał. Nie dotykała nawet środków uspokajających ani alkoholu. Teraz pijała wyłącznie zioła. Pomagały jej, chociaż nie zauważała tego. W chwilach lepszego samopoczucia sporadycznie wracała do malowania. Huśtawka nastrojów wykańczała ją i zniechęcała do wychodzenia na ulicę. Odważyła się patrzeć w lustro, a nawet od czasu do czasu zrobić sobie makijaż. Z nową twarzą wyglądała młodo i trochę tajemniczo. Sprawiała wrażenie kobiety, która przez całe życie miała do czynienia z intelektualistami. Skóra na jej kościach i mięśniach ułożyła się w bardzo charakterystyczny sposób - była to mieszanka egzotyki ze skandynawską bladością. Jej oczy patrzyły teraz z odcieniem bólu, co dodawało spojrzeniu intrygującej głębi. Operacja uczyniła ją wyjątkowo atrakcyjną. Niewiele kobiet mogło powiedzieć, że ich twarz poza pięknem wyrażała także mądrość. Natura zagrała w tym przypadku kartą z rękawa.

Mieszkali w nowym mieszkaniu, w wielkim nowoczesnym domu z windami, ochroną i kamerami. Zostało ono wynajęte przez ludzi „Bonasery”. Szoberowie nie musieli nigdzie i niczego podpisywać. Po prostu wprowadzili się i korzystali z uroków anonimowości. Administracja знаła ich pod nazwiskiem „Kowalscy” - wygodnym i tak popularnym, że aż nijakim. Doktor przestał pić i zaczął słuchać muzyki. Godzinami siedział ze słuchawkami na uszach i sycił się dźwiękami. Drugą pasją, jaką w sobie odkrył, było gotowanie. Teraz ich posiłki przypominały zestawy proponowane głowom państw w najlepszych restauracjach. Patrycja lubiła oryginalne zapachy i smaki. Kiedy siadali do stołu, zaczynali rozmawiać. Inaczej niż kiedyś, ale jednak rozmawiać. W ich oczach widać było determinację i chęć życia. Z boku przypominało to szereg scen, które reżyser nakręca i przygotowuje do ostatecznego montażu.

O swojej śmierci dowiedzieli się z telewizji. Na ekranie zobaczyli zdjęcia z dowodów osobistych, kilka ujęć spalonego samochodu i przykryte workami zwłoki. Komentarz dziennikarza nie pozostawiał wątpliwości, że chodziło właśnie o nich. Nie mieli pojęcia, że dwa tygodnie później w jednym z magazynów

policyjnych pokazane zostaną twarze zaginionych - kucharza i urzędniczki. Niczego to jednak nie zmieniało. Na zawsze już mieli pozostać małżeństwem Szoberów, które zginęło tragicznie na jednej z bieszczadzskich szos.

„Bonasera” odezwał się przez swoich ludzi. „Rumba” osobiście podjechał limuzyną pod ich dom i zadzwonił przez domofon. Kończyli właśnie kolację.

- Dobry wieczór - głos „Rumby” brzmiał przyjemnie i życzliwie. - Pan Rolka zaprasza państwa na kolację...

- Kiedy? - zapytał doktor, przełykając z trudem ostatni kęs.

- Za pół godziny - odparł szef ochrony. - Zaczekam na dole.

- Tak, dziękuję - tylko w ten sposób doktor mógł odpowiedzieć. Wolność umarła, narodziło się posłuszeństwo.

Kiedy poinformował żonę o wyjściu, spojrzała na niego tak, jakby połknął widły.

- Trzeba zacząć, kochanie - odgadł jej myśli. - Człowiek, do którego idziemy, uratował nam życie... Bez jego opieki znajdziemy się w więzieniu. Poza tym warto go bliżej poznać. Zobaczysz kogoś, kto do złudzenia chce przypominać „ojca chrzestnego”. Mamy piętnaście minut na przygotowania i musimy iść.

- Nie znam tego człowieka - próbowała oponować Patrycja. - Co ja tam będę robiła?

- Sama zobaczysz - odpowiedział doktor. - Nie mamy wyboru. Pan Rolka czeka...

- Boże, co za nazwisko - parsknęła z irytacją. - Czy los naprawdę będzie nam już do końca naszych dni zsyłał znajomości na poziomie śmietnika?

Szober się nie odezwał. Zastanawiał się, czego gangster mógł od niego chcieć. Mycie, ubieranie i wyjście z mieszkania zajęło im dwadzieścia minut. Wyglądali elegancko i jak zwykle zwracali na siebie uwagę. Doktor

- w okularach, ze starannie przystrzyżoną brodą, w garniturze, białej koszuli i w krawacie; jego żona - w obcisłej sukience przed kolana, z rozpuszczonymi włosami i w butach na wysokich obcasach. Jej zgrabne ciało zachowało dawny magnetyzm i sprężystość. Może dlatego „Rumba” wysiadł z samochodu i otworzył przed nią drzwi. Zrobił to odruchowo, nie mogąc oprzeć się urokowi chwili. Gdyby go ktoś zapytał, co myśli o Patrycji Szober, odpowiedziałby, że myślenie jest tutaj nie na miejscu. Doktor uśmiechał się pod nosem, widząc reakcję ochroniarza, bawił się zapamiętanymi fragmentami koncertu Cesarii Evory, wyczuwał pod palcami skórzane obicia siedzeń. „Rumba” zapragnął się nagle popisać i gwałtownie przyspieszył. Samochód odskoczył do przodu, jakby mu włączono dopalacze. Patrycja napotkała w lusterku wzrok ochroniarza i przez

moment poczuła się szczęśliwa. Fala zainteresowania odbiła się w jej oczach. Mężczyzna patrzył na nią tak, jakby chciał ją mieć tylko dla siebie. Rozumiała to spojrzenie i pamiętała jego urok. Od tragicznego wypadku zapomniała, co oznacza pożądanie, i wydawało jej się, że tak już będzie zawsze. Miała nadzieję, że mąż nie zauważy spojrzeń ochroniarza i nie zburzy przyjemnego flirtu. Lęk zaczął gasnąć. Jej spojrzenie ponownie spotkało się z oczami „Rumby” i w okolicy brzucha poczuła przyjemne ciepło. „Co za wspaniałe uczucie” - westchnęła, nie zastanawiając się, czy mąż to słyszy. Od obcego mężczyzny biła zwierzęca, prymitywna siła. Wyglądał na zdecydowanego i nieśmiertelnego. Opalony, krótko ostrzyżony i barczysty - przypominał jej dawnych chłopaków, z którymi umawiała się do kina i na dyskoteki. Tak oddziaływała młodość, niezliczone miliony komórek, w których przeżyły się hormony. I zapach. Wyobrażała sobie, że skóra szefa ochrony pachnie pomarańczami i wiatrem od morza. Ukradkiem obrzuciła spojrzeniem męża i porównała go z „Rumbą”. Mimo że nadal niczego mu nie brakowało, nie potrafiła myśleć o nim z namiętnością. Jej receptory nie odbierały już jego sygnałów, zużyły się i dopasowały. Pod tym względem chemia ciała działała bezwzględnie. Jej miłość do męża - uświadomiła to sobie w limuzynie „Bonasery” - przybrała teraz kształt chmury, która nigdy nie znika i zapowiada tylko letni deszcz. Oblizła usta końcem języka, napotyając rozpalone spojrzenie „Rumby”. „Podobam się, naprawdę znów się podobam” - myślała z radością.

Potem stało się coś niewiarygodnego. Biały bus z wgiętym zderzakiem zablokował im drogę. Po prostu zatrzymał się, a jego kierowca wysiadł i rozłożył bezradnie ręce. „Rumba” zorientował się, że powinien natychmiast uciekać, ale było już za późno. Drugi wóz zablokował ich z tyłu. Wtedy zobaczyli, że ze środka wyskakują ubrani na czarno mężczyźni z bronią i maskami na twarzach. „Rumba” położył ręce na kierownicy i spokojnie powiedział:

– Żadnych gwałtownych ruchów. Mają nas.

Nie musiał tego mówić, ponieważ Szoberowie bez trudu rozpoznali pistolety maszynowe. Znajdowały się w rękach dwóch napastników i z obu stron celowały do środka: jedna lufa - w szefa ochrony, druga - w doktora i jego żonę. Z tej odległości szyba prysnęła jak bańka mydlana. „Rumba” powoli odblokował drzwi i znieruchomiał. Tamci natychmiast wyciągnęli Szoberów, wpychając ich do samochodu, który zatrzymał się tuż obok. Miał prawie czarne szyby i żadnych innych znaków szczególnych. Odjechał tak samo cicho i szybko, jak przyjechał. Ochroniarz nie goił ich. Wiedział, że kilka serii z pistoletu maszynowego na

zawsze mogło pozbawić go pamięci. W takim starciu nie miał najmniejszych szans. Poza tym natychmiast odgadł, że napastnicy byli zawodowcami. Być może nawet szkolonymi przez któregoś z jego kolegów. Nie dawała mu spokoju myśl, że jeden z nich kogoś mu przypominał. Nie wiedział kogo, ale za wszelką cenę postanowił to sobie przypomnieć.

Wykręcił numer „Bonasery” i zjechał na poboczne szosy. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie zdążył nawet rozejrzeć się po ulicy. Świadkowie pojechali dalej lub wrócili do swoich zajęć. Nikt nie chciał mieć problemów.

- Szeffie, porwali ich - powiedział drewnianym głosem. - Sześciu ludzi w kominiarkach...

- Coooo? - zdziwienie „Bonasery” omal nie pozbawiło ochroniarza bębenka w uchu. W tym momencie styl „ojca chrzestnego” umarł. Pojawił się wychowany na ulicy prostak. - Wracaj!

Obaj wiedzieli, że gdyby istniała chociaż jedna szansa na milion, „Rumba” zdołałby uciec. Zachowanie niektórych ludzi było pewne jak smak herbatników. Zygmunt Rolka nie miał wątpliwości, że szef jego ochrony zrobi wszystko, żeby tamtych odnaleźć. Urażona ambicja „Rumby” gwarantowała, że nie spoźnie, dopóki nie zlikwiduje porywaczy. „Bonasera” widział kiedyś osiłka, który ośmielił się grozić bronią jego człowiekowi. „Rumba” przebywał wtedy w Niemczech i w hotelu kąpał się pod prysznicem. Napastnik wymierzył w niego AK-47 i kazał mu wynosić się z Hamburga. Był tak pewny siebie, że uderzył ochroniarza lufą w pierś. Po raz pierwszy i ostatni. Ta sama lufa przebiła mu przetyk i uwięzła w gardle. Dusił się dobre dwadzieścia minut. „Bonasera” przyszedł do pokoju „Rumby” mniej więcej w połowie seansu. Szef ochrony trzymał kałasznikowa w rękach i co chwila dopasowywał go do przetyku napastnika. Gwizdał przy tym jakąś smutną melodię. Na pytanie „Bonasery”: „Co gwizdziesz?” odpowiedział: „Melodię...”

- To człowiek „Helmuta” - stwierdził na wpeł do siebie gangster. - Prawdopodobnie pomylił pokoje.

- Przed nami cała noc, szeffie - pokiwał głową „Rumba”. - A on aż się pali do gadania...

Następnego dnia w ustach „Helmuta” wybuchł gyros. Wielka i pachnąca upieczonymi skrawkami mięsa bułka eksplodowała dokładnie w chwili, gdy gangster ugryzł ją zębami. Zgubiło go łakomstwo i przyzwyczajenie. Na lunch miał zwyczaj kupować swoje ulubione danie - właśnie gyros. Dziesięć lat



wcześniej upatrzył sobie niewielki bar, gdzie jego człowiek codziennie odbierał jeźdzenie. Wydawało mu się, że taka znajomość do czegoś zobowiązywała. Nie przewidział, że właściciel może mieć rodzinę, dla której zrobi wszystko.

Niektóre stacje poinformowały o tym jeszcze tego samego dnia w wieczornym wydaniu. „Rumba” udał, że

jego to w ogóle nie dotyczy. Tylko „Bonasera”, oglądając zdjęcie po wybuchu, sycił się wizją „Helmuta” gryzącego po raz ostatni swój ulubiony gyros. Dlatego nie martwił się o Szoberów; myślał raczej o ich porywaczach.

## Rozdział VII

Inspektor Marian Sygier spóźnił się o kilka godzin. Sprawa śmierci Szoberów nie dawała mu spokoju. Gdyby nie zaginięcie aspiranta Lisa, prawdopodobnie zrezygnowałby z podejrzeń i przerwał śledztwo. Przy całej swojej poczciwości miał jednak cechę, która nieraz naprowadzała go na właściwy trop - był uparty i wścibski. Dlatego postanowił dokładniej sprawdzić tożsamość ofiar wypadku. Zainteresował się ich zębami. Do układanki brakowało mu opinii stomatologa. Po zapoznaniu się z badaniami patologa udał się do rodziców i znajomych Szoberów, pytając ich o dentystę obojga małżonków. Uważnie przestudiował karty leczenia, mimo że już od pierwszej chwili zauważył nieścisłości. „Sprytny przewał” - ocenił z uznaniem. Tym bardziej ucieszył się, kiedy podjeżdżając pod budynek prokuratury, zobaczył Manna, który wchodził właśnie na parking.

- Mam coś nowego! - zawołał z daleka. Prokurator zatrzymał się i cierpliwie czekał. Inspektor wyzwał w nim niezrozumiałe poczucie winy.

- Jest pan cholernie uparty - docenił policjanta.

- Panie prokuratorze, Szoberowie prawdopodobnie żyją. Pochowaliśmy nie tych ludzi - wysapał, poprawiając skórzany krawat.

„Facet ma zdrowie...” - pomyślał Mann i uśmiechając się, sztywno zapytał:

- Skąd ta pewność?

- Wracam od dentysty...

- Jak pan myśli, gdzie mogli się zaszyć? - pytanie prokuratora przypominało drapanie w łydkę. Jego mina nie wyrażała optymizmu. Odżywała sprawa morderstw i... brak czasu. Minister w każdej chwili mógł go odwołać i raz na zawsze zamknąć drzwi do awansu.

- Nie mam pojęcia, ale na zdrowy rozum to oni mogą być tylko tam, gdzie ich potrzebują.

- Sugeruje pan, że doktor ma coś do sprzedania? - pytanie było zbędne. Mann sam sobie odpowiedział: Sygier dobrze kombinował.

- Kto wie? Taki cwany chirurg różne cuda robi... - odparł inspektor. - Po tych ogłoszeniach w telewizji i gazetach już powinniśmy ich mieć...

- Gdyby nie co? - przerwał Mann.

- Znaleźli jakiegoś opiekuna, mówię panu, na pewno kogoś znaleźli - Sygier był pewien, że wpadł na właściwy trop.

Stali na środku parkingu i nie zwracali na nikogo uwagi. W końcu zorientowali się, że pada deszcz, i schowali do samochodu Manna. Wiedzieli, że są o krok od wyjaśnienia zagadki. W tym momencie nawet „Peleryna” i „Bonasera” zeszli na dalszy plan. Sygier był skupiony i otrzepywał rękawy z kropel wody.

- Taki facet może się przydać - kontynuował. - Czytałem, że bandziorka robi sobie operacje plastyczne...

Mann spojrzął na inspektora tak, jakby tamten cytował fragment z prowincjonalnego brukowca.

- Niech pan szuka dalej - westchnął Mann, chcąc uwolnić się od towarzystwa policjanta.

Wiedział już wszystko, co powinien wiedzieć. Teraz miał zamiar pojechać do aresztu i popracować nad „Peleryną”. Sygier zorientował się, że prokurator przestał słuchać, i lekko urażony wysiadł z samochodu. Odszedł, chowając głowę w kołnierzu. Wtedy zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, panie prokuratorze - rozległ się głos „Bonasery”. - Martwię się o pana i dlatego dzwonię. Proszę nie robić głupstw. Taki inteligentny człowiek nie powinien zadawać się z przestępcami i gwałcić kobiet...

- Możemy skończyć tę rozmowę? - zdenerwował się Mann. Uświadomił sobie, że sam kazał założyć podsłuch na wszystkich telefonach Zygmunta Rolki. Tamten najwyraźniej chciał go wkopać.

- Nie podoba się panu moja troskliwość?

- Czuję, że chce mi pan coś powiedzieć - Mann starał się wyprzedzić słowa gangstera.

- No, nareszcie - radość także mogła być towarem. - Zapraszam pana na kolację. Wyjaśnię, że nigdy nie miałem powiązań z przestępcami i niepotrzebnie mnie pan nęka... Czekam o ósmej.

Połączenie zostało przerwane. Mann odetchnął. Zrozumiał, jak niewiele dzieliło go od kompromitacji. Specjaliści od podsłuchu nie byli głupi i potrafili czytać między wierszami. Wystarczyło, żeby wyczuli w głosie prokuratora strach. „Bonasera” najwyraźniej postanowił go tym razem oszczędzić. Potem zadzwonili chłopcy z podsłuchu.

- Coś mi się widzi, że ten gość chce pana wkopać - rozległ się spokojny głos Antoniego Globusa, człowieka, który w świecie telekomunikacji spędził ponad czterdzieści lat. - Mamy to... Pomyślałem sobie, że może chciałby pan zabrać na to spotkanie jakąś „pluskiewkę” - Globus najwyraźniej lubił zdrobnienia.

- Nie, nie - podziękował Mann. - Muszę to rozgryźć bez ryzyka. Inaczej mnie załatwi. Macie coś jeszcze? - ostatnie pytanie zadał odruchowo.

- Niby nic, ale coś jest... - stary specjalista od dźwięku zawahał się. - Powiem, bo to lepsze, niż potem żałować... Gadali o jakimś doktorze... „Bonasera” rozmawiał ze swoim człowiekiem i pytał, czy doktor przyszedł. Pewnie to nic ważnego, ale strzeżonego...

- Jest pan genialny, panie Globus - prokurator doznał olśnienia. Z emocji spociły mu się dłonie. - Nawet pan nie wie, jak mi pan pomógł. Do widzenia! „Mam go - syczał z radości prokurator - mam tego skurwiela i załatwię go!” Uderzał rękami w kierownicę i patrzył na wodę ściekającą po szybie. Z jednej strony układanka zaczynała przypominać znajomy kształt, z drugiej była uzależniona od jego decyzji. Jeżeli wprost spróbuje zniszczyć „Bonasera”, musi się liczyć ze śmiercią. No i utratą Beaty. Wybór przypominał pogrzeb za życia. Zaciął się w sobie i postanowił jednak działać zgodnie z prawem. Wierzył, że tylko w ten sposób ma szansę na ocalenie. Z góry założył, że miłość go oślepiła i jego decyzje mogą być błędne. Zachowywał się jak sternik statku, który w czasie sztormu nie może stracić z pola widzenia światła latarni.

Zadzwoił do inspektora i powtórzył informację, którą usłyszał od Antoniego Globusa. Słowo „doktor” wychodziło naprzeciw podejrzeniom Sygiery i wpisywało się w panoramę dwóch spraw. Niestety, wiadomość dotarła do policjanta zbyt późno. Zanim zdołał cokolwiek przedsięwziąć, Szoberowie zostali porwani i nitka się urwała. Według prawa „Bonasera” był czysty. Inspektor Sygier wściekał się, ale musiał być cierpliwy.

Prokurator Mann wszedł do domu „Bonasery”, nie mając pojęcia, że kilka godzin wcześniej doktor i jego małżonka zostali porwani. Wierzył, że ma w rękawie asa, którym przydusi gangstera. Na tę dziwną kolację ubrał się w garnitur i pokropił twarz wodą kołofanową. Miał nadzieję, że zobaczy tam również Beatę. Pochmurnym spojrzeniem ocenił wystrój domu „Bonasery”. „Ciężkie miliony” - dobiło go banalne spostrzeżenie. O takich pieniądzach mógł co najwyżej poczytać w gazetach.

- Zapraszam, zapraszam - ochrypli głos „Bonasery” przypominał otwieranie

bramy cmentarza. - Co za spotkanie...

- Nie pierwsze i chyba nie ostatnie, panie Rolka - stwierdził kwaśno Mann. - Zastanawiałem się, skąd miał pan na to wszystko pieniądze? Z pracy rąk?

Pytania były niegrzeczne, ale prokurator nie miał zamiaru wychodzić ze swojej roli. Gdyby wiedział, że gangster zaledwie dwie godziny wcześniej skończył przesłuchiwać dysk ze wszystkimi rozmowami z mieszkania swojej córki, prawdopodobnie byłby znacznie grzeczniejszy. Popenił błąd, nie patrząc we wściekłe oczy „Bonasery” i nie wsłuchując się w barwę jego głosu. Za każdym słowem czaiła się nienawiść i z trudem hamowane emocje. Nigdy jeszcze gangster nie grał „ojca chrzestnego” z takim przejęciem i samozaparciem.

- Pieniądze są wszystkim, panie prokuratorze - odezwał się z patriarchalną pewnością siebie. - Jeżeli ktoś twierdzi, że dobrze mu bez nich, to znaczy, że nie wie, o czym mówi... - Zygmunt Rolka starał się wystawiać ładnie i pełnymi zdaniem. Tak, jak uczyła go córka. Chciał wywoływać odpowiednie wrażenie. - Siądźmy do stołu...

- Nie boi się pan, że to wszystko straci? - zapytał prokurator, sadowiac się na miękkim krześle. Przez moment przyszło mu do głowy, że wcześniej mogli na nim siadać najwięksi bandyci z całej Europy.

- Mogę stracić tylko życie - uspokoił go „Bonasera”. Tego wieczoru wyglądał niezwykle dostojnie. W nowym smokingu przyciągał wzrok i mimo wszystko wzbudzał szacunek. Nawet w Mannie, który próbował nie dopuszczać do siebie tej myśli.

- Będziemy sami? - w głosie prokuratora zabrzmiało coś więcej niż zwykła ciekawość.

- Jeżeli chodzi panu o moją córkę, to tak - odparł gangster. Zrobił to uprzejmie, ale lód był wyczuwalny.

Mann po raz pierwszy ze zdziwieniem podniósł głowę i spojrzał w twarz gospodarza. „Co mu jest?” - zastanawiał się przez chwilę. „Chce mi o czymś powiedzieć i nie wie jak? A może się boi?”

- Cóż, szkoda... - szepnął z przekąsem Mann. Tylko on wiedział, ile wysiłku wymagało uporanie się z tęsknotą i pożądaniem.

- Mam dla pana niespodziankę... - „Bonasera” pokazał kucharce, że może postawić na stole wazę z zupą.

Mała i pulchna kobieta w różowym fartuchu skinęła głową i zabrała się do pracy. Miała nie więcej niż czter

dzieści lat, ale wyglądała na grubo po pięćdziesiątce. Wyjechała z kuchni

piętrowym wózkiem i zatrzymała się obok stołu. Wszystkie potrawy były przykryte metalowymi pokrywami i zabezpieczone przed zbyt wczesnym wychłodzeniem. Temperatura i umiejętnie podtrzymywane łakomstwo wyznaczały rytm jedzenia w domu Zygmunta Rolki.

– Może pani iść do domu - odprawił kucharkę „Bonasera”. - Resztą zajmujemy się sami. Smacznego, panie prokuratorze...

Po zjedzeniu zupy ich spojrzenia spotkały się; obaj panowie byli bardzo pewni siebie. Mann postanowił nie tracić czasu.

– Ciekaw jestem, na co pan liczy, panie Rolka, chroniąc doktora Szobera? - zablefował prokurator.

„Bonasera” nawet nie mrugnął. Gdyby jednak ktoś pokazał jego buty na telebimie, mógłby dostać oczopląsu. Gangster domyślił się natychmiast, że Mann nie był na bieżąco. Wyraźnie nie wiedział nic o porwaniu małżeństwa i zgadywał.

– Jest pan pewny, że wie, o czym mówi? - odwzajemnił się neutralnym i sondującym pytaniem.

– Operacje plastyczne nie uniemożliwiają wykrycia przestępcy - rzucił Mann. „Głupi pajac - stwierdził w duchu gangster - zasrany udawacz...” Głośno jednak zachęcał prokuratora do dalszych wywodów:

– Proszę mówić jaśniej. Konkretnie.

– Doktor Szober jest poszukiwany przez policję, a pan go chroni...

– Niestety, w żaden sposób nie mogę panu pomóc. Nie mam z tym człowiekiem kontaktu. Lubi pan brokoły?

– Tak, dziękuję - odpowiedział prokurator. Sztuczny styl „Bonasery” drażnił go. - Panie Rolka, możemy się dogadać. Pan poda nam wszystkie swoje kontakty, pomoże rozbić siatkę w Europie, a my pana umieścimy w bezpiecznym miejscu.

– Proponuje mi pan współpracę? - Brwi gangstera uniosły się. Nie wiadomo było, czy z chwilowego rozbawienia, czy ze zdziwienia.

– Czemu nie?

– Ja też mam dla pana propozycję - zaczął Rolka. Wypił łyk białego wina i kontynuował: - Jest mi potrzebny człowiek w prokuraturze... Moja córka już panu o tym wspominała, prawda?

– I wyraźnie odmówiłem - wtrącił ze złością Mann. Atmosfera nie służyła mu i zaczynał żalować, że przyszedł na spotkanie. - Obiecałem, że pana zamknę, i zrobię to. Nawet wbrew sobie.

– Co pan ma na myśli? - gangster nie miał kłopotów z nerwami.

– Dobrze pan wie...

- Niech pan mówi. Po co mam się domyślać - zachęcił gościa.
- Kocham pana córkę...
- Starczy - uciął ostro „Bonasera”. - Proszę posłuchać tego nagrania...

Podniósł się i włączył magnetofon. Prokurator prawie natychmiast rozpoznał swój głos. Po chwili wiedział już, że przegrał. Rolka dysponował nagraniem, które towarzyszyło próbie gwałtu na jego córcę. Krzyki, szarpanie i natarczywy głos prokuratora nie brzmiały pokojowo. Dowód przestępstwa nie wzbudzał wątpliwości, co najwyżej wstręt i pogardę. Mann opuścił wzrok i przestał jeść. Zbladł, jakby go polano wapnem. Taśma cierpliwie przypominała szczegóły niedawnego zdarzenia. W końcu głowa Manna dała znak, że wystarczy. „Bonasera” szybko wyłączył magnetofon i wyjął taśmę z nagraniem. Położył ją przed prokuratorem i wrócił na swoje miejsce. Spokojnie zaczął jeść brokuły polane masłem z tartą bułką.

- Co teraz? - w ten sposób mógł mówić tylko ktoś skazany na śmierć.
- Przyjazna współpraca - odpowiedział zimno gangster. - Przyjazna z jednego powodu...
- Tak? - ton głosu zdradzał wyczekiwanie na ostateczny cios.
- Uratował pan moją córkę z łap „Korby” - wyjaśnienie było wystarczające. - Tylko dlatego nie kazałem pana zabić. „Na psa”, bo zna pan ten sposób i powiedział o nim Beacie. Poza tym mam wrażenie, że pan ją naprawdę kocha. Doceniam to...

- Ma mnie pan w garści - stwierdził Mann. Hamował się przed zamordowaniem gangstera własnymi rękami. Czuł się skompromitowany i poniżony. A najbardziej rozwścieczał go protekcyjny styl Rolki.

- Mam - zgodził się łaskawie „Bonasera”. - To nie musi wcale boleć... - Prokurator aż zacisnął szczęki. - Proszę się częstować. Od tej pory może pan tak jadać codziennie. Stać pana...

Głos gangstera wyraźnie zmiękł. Wściekłość, jaką czuł po wysłuchaniu nagrania, opadała. Górę brały interesy.

Najgorsze nie wydarzyło się, a efektowna taśma dawała mu po prostu nieograniczoną władzę nad prokuratorem.

- Dobry wieczór - usłyszeli głos Beaty, która w tym momencie pojawiła się w salonie. Pocałowała ojca w policzek i usiadła. - Fajnie, że wpadłeś...

Te ostatnie słowa były skierowane do prokuratora. Pogłaskała go nawet po rękę. „Wydaje jej się, że jestem psem” - pomyślał cierpko.

- Pan prokurator będzie z nami współpracował - poinformował z satysfakcją

„Bonasera”. - Będziesz coś jadła? Nie? No to zrób nam, proszę, herbaty i podaj ciasto. Chodźmy, panie kolego, na fotele...

Oczy Beaty i prokuratora spotkały się. Bez gry i maski, tak jak w chwili, gdy ją ocalił z rąk „Korby”. Dziewczyna drgnęła i szybko odwróciła spojrzenie. Szybciej, niż zamierzała, ruszyła do kuchni. Zabolał ją smutek jego spojrzenia. Było jej żal, że ich intymne rozmowy ojciec cynicznie wykorzystał. Ten brzydki, łysawy mężczyzna zaczynał wwierać się w jej życie i stawać kimś ważnym

- niespodziewanie i w sposób całkowicie niekontrolowany. Nie dał się kupić. Ocalił jej życie. Potrafił ze sobą rozmawiać i nawet fałsz z jej strony nie zdołał zniszczyć atmosfery wzajemnej ciekawości. Beata kroić ciasto i zastanawiała się, co to wszystko znaczy. Prokurator wzbudził w niej uczucia, których się nie spodziewała. „Muszę być chłodna” - wmawiała sobie, wiedząc, że im częściej to powtarza, tym bardziej się pograża. Kiedy pojawiła się z tacą z ciastkami, obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Znała tę ciszę - w ten sposób jej ojciec dobijał przeciwników; siadał i po prostu milczał. Czasami trwało to godzinę. Powiedział jej kiedyś, że nic tak człowieka nie wy

kańcza jak brak słów. Robert Mann odczuwał to także. Złapany w pułapkę własnej namiętności stał się nikim. Tak przynajmniej mu się wydawało. Nie miał złudzeń, że taśmy do końca życia pozostaną w rękach „Bonasery”, a on nigdy nie będzie pewny, czy ma do czynienia z ostatnią kopią. Nigdy. To boleło najbardziej.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił - zlitował się w końcu „Bonasera”. Cisza umarła. Teraz mówił do niego jak do jednego ze swoich ludzi. Zwyczajnie i bez szacunku. Beata wniosła dzbanek z herbatą i usiadła obok nich. Zajęła się rozkładaniem filiżanek i talerzyków.

- Na przykład? - Mann zapytał zupełnie serio. Nawet sam był tym zdziwiony.

- No właśnie... - zaśmiał się nieszczerze gangster. - Wymyśl coś... Pokaż mi, że zaczynamy współpracować.

- Dobrze - odpowiedział prokurator, a dziewczyna obrzuciła go nieufnym wzrokiem. - Pana telefon jest na podsłuchu.

- Komórkowy? - zdziwił się „Bonasera”. - To możliwe...

- A mój? - wtrąciła Beata.

- Twój nie - uspokoił ją Mann, słodząc herbatę. - Tylko pana Rolki. - „Pana Rolki” ledwie przeszło mu przez gardło.

- Co z innymi?

- Tylko pana - potwierdził sztywno. Ciasto rozpląwało się w ustach, pachniało domem i świętami. Mann chciał je zjeść i jaknajszybciej zakończyć spotkanie.

Otrzymał cios i musiał wytrwać. Na razie leżał i łapał oddech. Kiedy informował gangstera o podsłuchu, zrozumiał, że zabrzmiało to jak błaganie o litość. Nie chciał być dalej bity, więc podarował przeciwnikowi przy świadku prezent - swoją przegraną.

„Aron” wiedział, że popełnił błąd. Pozwolił żyć człowiekowi, który był śmiertelnie niebezpieczny. Doskonale zapamiętał spokojną twarz „Rumby” za szybą limuzyny. Agent przypomniał sobie zaciekłość, z jaką przed laty trenowali obaj w jednostce specjalnej. Nigdy nie dowiedzieli się, kto był lepszy. W pamięci „Arona” był to ważny znak zapytania. Dlatego odczuwał niepokój. Poza tym pamiętał, że żołnierze uważali „Rumbę” za mściwego. Wyczuwali w nim mroczny obszar, do którego nie było dostępu. Może dlatego nie został nigdy etatowym operatorem, człowiekiem, który w każdym kraju, nie przebijając w środkach, pomaga swojemu rządowi realizować najtrudniejsze cele. Wojskowy psycholog na zawsze przekreślił karierę „Rumby”.

Willa, którą gangsterzy wynajęli, była położona z dala od zabudowań i dróg. Wybudowano ją dwadzieścia kilometrów od Warszawy, w pobliżu lasu. Niska i rozłożysta, przykrywała obszerne piwnice. W jednej z nich umieszczono porwanych. W pomieszczeniu poza oknami znajdowała się ubikacja, prysznic i łóżka do spania. Było tam także kilkanaście książek i stół. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, dlatego Szoberowie zaczęli od sprzątanía. Musieli się czymś zająć, aby pokonać strach. Doktor martwił się także o preparat. Ten, który miał przy sobie, mógł wystarczyć tylko na siedem dni. Potem jego żona zacznie umierać.

Pierwszej nocy odwiedził ich Franciszek Zyga. Był pijany, trzymał w ręce butelkę. Jego wąsy opadły, a gruba twarz błyszczała od potu. Przyszedł w towarzystwie „Arona”; obaj nie mieli tym razem masek. Agent stanął przy drzwiach, a gangster rozsiadł się na krześle. Pociągnął łyk wódki i wlepił oczy w doktora.

- No i co, doktoru? - wyseplenił z trudem. - Nasz kochany „Bonasera” dał się wycyckać... Powiedz mi, czego on od ciebie chciał, co?

W powietrzu zawirowały przekleństwa i na chwilę zapadła cisza.

- Nie wiem - odpowiedział Szober, siadając na łóżku obok żony. Ogarnął go stan apatii i niemalże metafizyczne poczucie wyższości. - Jechaliśmy do niego na rozmowę...

- Nie pieprz - warknął „Czub”. Coraz bardziej miał ochotę krzyczeć, przeklinać i strzelać wokoło z kałasznikowa. Na razie był to zaledwie przeblysk, ale zwykle od tego wszystko się zaczynało. Szał nadchodził jak burza, stopniowo i



bezwietrznie. - Podobno możesz zmienić twarz. Prawda to czy jakiś kit?

- Prawda - potwierdził doktor.

- Czy on chciał, żebyś mu zmienił gębę? - Zyga chwiał się i ledwie trzymał butelkę. Spojrzenie „Arona” nie wyrażało niczego. Czekał po prostu na rozwój wypadków.

- Nie wiem. Nie zdążył mi powiedzieć...

- Na pewno coś planował, na pewno... - wybełkotał na wpół do siebie gangster.

- To twoja żona? - pokazał palcem na Patrycję. Szober skinął głową. - Widzę, że trochę bojąca... Nie bój się, kochanie... Jak twój mąż będzie grzeczny, to niczego wam nie zabraknie. Muszę tylko wiedzieć, co ten stary pierdoła wymyślił. Po dwudziestu minutach „Czub” miał dość. Wyszedł chwiejnym krokiem i skierował się na górę. Nagle odwrócił się i sięgnął po pistolet pod pachą „Arona”. W tym momencie nie myślał - chciał strzelać i rozładować stres. Zanim dotknął zapiecia, znalazł się w żelaznym uścisku z twarzą przy ścianie. Z wysiłkiem łapał oddech i w przyspieszonym tempie trzeźwiał. Agent odczekał chwilę i poluzował chwyt.

- Niech pan tak nie żartuje - ostrzegł Zyge. - Następnym razem mogę pana zabić - mimo cienkiego głosu zabrzmiało to groźnie.

- I nie dostać forsy - warknął z wściekłością gangster.

- Forsę wpłaci nam pan jutro. Tak jak było umówione - stwierdził agent. W jego głosie nie było żadnych obaw. Za to w nosie Zygi pozostał zapach dezodorantu i wody kolońskiej. „Pieprzony inteligent” - pomyślał o „Aronie” i wszedł na schody. „Zasraniec z jednym jajkiem” - znęcał się nad agentem w myślach. Musiał sobie ulżyć. W końcu dotarł na kanapę przed telewizorem i dopił resztę wódki. Wziął zamach i z całej siły rzucił butelką o ścianę. Rozpadła się na kawałki, z których jeden trafił w kominiarkę naciągniętą na policzki jednego z agentów. Tylko „Aron” ujawnił swoją twarz, pozostali woleli pozostać anonimowi. Zyga opadł na kanapę i ciężko oddychał. Wydawało się, że lada chwila umrze i sto tysięcy dolarów nie zostanie wypłacone. Nagle ocknął się i wyszarpnął z kieszeni telefon. Docho

dziła północ, ale on nie zwracał uwagi na czas. Był podniecony i zdeterminowany. Chciał sobie ulżyć i powetować upokorzenia.

- „Bonasera”? - prawie wlaź do słuchawki. Nawet w świetle jednej żarówki widać było czerwień jego policzków. Płonęły i przypominały dwa przekrojone buraki.

- To ja - głos Zygmunta Rolki stęzał i w jednej chwili zamienił się w chrypkę.

- Poznajesz mnie? - Zyga zaczynał się ponownie nakręcać. Gestem pokazał agentowi, że chce się jeszcze napić. Tamten skinął głową i nawet nie drgnął.

- Jesteś pijany, „Czub”. Połóż się spać... - Rolka starał się nie przeciągać rozmowy. Właśnie usypiał. Poza tym pamiętał, że jego numer jest na podsłuchu.

- Sam się połóż... - wybuch wściekłości zagłuszyło pijackie czknięcie.

- Porozmawiamy jutro - „Bonasera” usiłował zachować spokój. Wstał jednak z łóżka i zaczął spacerować po sypialni.

Lidia Motke usiadła na poduszce i pohamowała ziewnięcie. Wyczuła, że spokój jej męża ma się ku końcowi. „Nareszcie, nareszcie cię udupią, stary zgredzie”

- zdawały się mówić jej oczy. Usta jednak uparcie milczały. Mogła wyglądać co najwyżej na zdenerwowaną.

- Mam tu tego doktorka - zawołał zwycięsko Zyga. - Słyszysz? Mam go i drogo sprzedam...

- Jutro porozmawiamy. - Rolka przerwał połączenie i błady usiadł na krześle obok lustra.

W piżamie przypominał pensjonariusza domu starców. Łagodnego i trochę zagubionego. Był zły, że nie zdołał przerwać połączenia wcześniej. Rano prokurator będzie

miał potwierdzenie, że maczał palce w ukrywaniu poszukiwanych Szoberów. Do tego dochodzili ludzie z podsłuchu. Informacje zaczynały się rozchodzić niczym epidemia, co nie wróżyło niczego dobrego. Telefon zadzwonił ponownie.

- Zadzwon jutro - odezwał się Rolka i całkowicie wyłączył aparat. Miał nadzieję, że jego człowiek do rana wytrzeźwieje i zmądrzeje. Na tyle, żeby założyć mu betonowe skarpety i wywieźć w morze. „Bonasera” skrzywił się i pomyślał o piosence, jaką zaśpiewa przy gitarze. Miał tak duży repertuar, że trudno było się od razu zdecydować. Wtedy zadzwonił telefon stacjonarny.

- Za godzinę bądź u mnie, Zyga - polecił z irytacją Rolka. Zapomniał o chrypcie i nikogo nie próbował udawać.

- Pocałuj mnie, wiesz gdzie - przerwał z pijackim uporem Zyga. - To ja czekam na ciebie za godzinę u mnie. Przyjedź sam albo z doktorka i jego żonki zostanie plama... Poniał?

- Poniał - powtórzył „Bonasera”. - U ciebie?

- A co myślałeś, że na księżycu? - prymitywna reakcja przypomniała Rolce początki.

Kiedyś wszyscy tacy byli. Potem niektórzy z tego wyrosli, poduczuli się, zobaczyli trochę świata, po prostu przetarli się i zmądrzeli. Koniec rozmowy. Zamiast spać,

będzie musiał odzyskać doktora. Za wszelką cenę, ponieważ bez niego cały misternie opracowany plan przestawał się liczyć. Martwił się tylko o podsłuch. Jeżeli policyjny specjalista cierpiał na bezsenność, mogły być kłopoty. Tego jednak nie mógł w żaden sposób spraw

dzić. Miał nadzieję, że zdąży wszystko załatwić szybciej od innych. Liczył na swoje szczęście.

„Bonasera” obudził „Rumbę” i kazał mu natychmiast przyjść. Sam ubrał się i wyszedł z sypialni. Zanim zgasił lampkę przy łóżku, usłyszał przymilny głos Lidii:

- Coś się stało, kochanie?
- Jak zawsze - uspokoił ją z uśmiechem.

Szef ochrony czekał na dole w pełnym rynsztunku. Kamizelka kuloodporna, dwa Glocki i pistolet maszynowy uzi mówiły za siebie. Gangster krótko wtajemniczył „Rumbę” w sytuację, po czym zapytał:

- Mam jechać sam?
- Pojadę z panem w bagażniku - zdecydował ochroniarz. - „Czub” jest zdrowo stuknięty i mógł kazać ich zlikwidować. Poza tym on pana do czegoś potrzebuje.

Będę blisko, ale nie na widoku, szefie.

Kiedy czterdzieści minut później podjeżdżali pod dom Franciszka Zygi, nic nie zapowiadało większych komplikacji. Limuzyna prowadzona przez „Bonasere” wjechała przez otwartą bramę na dziedziniec i powoli toczyła się w stronę ganku. Noc przypominała świąteczną bombonierkę. Gwiazdy, księżyc i ciepłe powietrze nastrajały do romantycznych spacerów i przyjacielskich spotkań. Wokoło słychać było odgłosy owadów i pachniało skoszoną trawą. Przed gankiem stało dwóch ludzi w kominiarkach naciągniętych na twarze. Obszukali „Bonasere” i wprowadzili do środka. Nie odzywali się, jakby chcieli ukryć także swoje głosy. Przed domem paliła się latarnia, w którą z furkotem uderzały ćmy. „Rumba” otworzył zamek bagażnika i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Na

szczęście jego szef miał zwyczaj słuchać dobrych rad i zatrzymał się w miejscu, gdzie rosły drzewa i był cień. Oczy ochroniarza wpatrywały się w sylwetkę zamaskowanego osobnika na ganku. Nie poruszał się, nie chrząścił butami, nie sprawiał wrażenia znudzonego. „Jeden z naszych” - ocenił ze smutnym uśmiechem „Rumba”. Nigdy nie pogodził się z tym, że doskonale wyszkoleni ludzie pozostawali bez środków do życia i czasami musieli sprzedawać się temu, kto płacił. Gdyby miał inny charakter, większość decydujących o tym polityków już dawno gryzłaby ziemię. Do mężczyzny na ganku dołączył drugi. Teraz mogli bez trudu obserwować cały dziedziniec. „Rumba” nie spieszył się; podobnie jak oni patrzył i

oceniał sytuację.

Zyga siedział na fotelu i z poczuciem wyższości palił cygaro. Pozował na twardego gościa z klasą. Śniło mu się kilka filmów naraz, dlatego manifestacja siły wypadła blado. Zanim zdążył pokazać Zygmontowi Rolce miejsce na kanapie, tamten sam usiadł i bez ogródek zaczął:

- Czego chcesz? - nie grał „ojca chrzestnego” i nie usiłował bawić się głosem. Zachowywał się naturalnie i czujnie. Tak jak przed wielu laty, kiedy rozpoczął budowanie swojego imperium.

- Co, nie spodziewałeś się, że taki numer ci wywinę...

- zaśmiał się Zyga. Nadal był pijany i widać było, że jeszcze długo będzie trzeźwiał. - Myślałeś, że sprzedasz nam kit o nowych czasach i oddamy wszystko jakimś frajerom? Pokręciło cię, „Bonasera”, pokręciło cię na starość... Mam oddać układy i sprzedać ludzi, z którymi kręcę ten interes od lat? Wymyśliłeś sobie, że twoja córka wejdzie w ten biznes, i zapomniałeś o nas, o swoich kolegach, którzy codziennie nadstawiają dupy?

- Mów, o co ci chodzi - w słowach „Bonasery” krył się chłód i lekceważenie.

- Będę gadał, co będę chciał... - zdenerwował się Zyga. Sięgnął po butelkę na stole i wypił duszkiem kilka łyków. Wyglądał jak pijak, który zapomniał, gdzie mieszka. - Mam doktora i możesz mi skoczyć...

- Czego chcesz, Zyga? - powtórzył pytanie Rolka. Nawet się nie denerwował, raczej coraz bardziej uspokajał. Czuł wpadający przez okno zapach trawy.

- Chcę, żebyś mnie słuchał, „Bonasera”, żebyś powiedział naszym ludziom, kto teraz rządzi - wypalił z triumfem w oczach Zyga. - Teraz ja będę kręcił interesem i dzielił kasę. A ty przejmiesz moją działkę. Koniec pieśni, stary. Zmiana warty.

- Skończyłeś? - „Bonasera” zgasił papierosa i mimo woli zaczął grać „ojca chrzestnego”.

- No... - potwierdził czerwony na twarzy „Czub”. Był tak pijany i przejęty rolą, że przestał się kontrolować. - Oddam ci doktora, ale ty musisz mi oddać wszystkie układy... Słyszysz? Celnicy, policja, prokuratura... Każdy klocek, bracie, co do jednego... A jak nie, to wojna!

- Chcesz ze mną walczyć? Dlaczego mnie teraz nie zabijesz? - w pytaniu gangstera tańczyły iskierki prawdziwej ciekawości.

- Zdążę - odparł cierpko Zyga. Zalaływało od niego potem i wódką. - Jesteśmy sobie potrzebni... Wiem, że kombinujesz z doktorem operację. Niech ci będzie, ale najpierw musisz spasować. Chłopaki mnie poprą, nie ma sprawy... Wiedzą, że nie

pekam.

Słowa zaczynały ciążyć im obu. Jednak nie mogli pozbyć się problemu od razu. Trzymali się w szachu. Zyga podniósł butelkę i potrząsnął nią w powietrzu, płyn zabulgotał i znalazł się w gardle gangstera.

- A co z żoną doktora? - wtrącił nagle Rolka. Miał nadzieję, że odpowiedź będzie prawdziwa.

- A co ma być? - tamten wzruszył ramionami. - Siedzi z nim w piwnicy i czeka na ratunek... Potrzebna ci? Mogę ją wysłać do burdelu. Turek dzwonił i pytał o nowe dziwki... A wiesz, że to niezły pomysł...? Trzydzieści kawałków daje od ręki. Ona jest całkiem, całkiem... To co, zostawisz ją czy chcesz parkę?

- Mają być razem - zdecydował „Bonasera”. - Kiedy przejmujesz interesy?

Zyga nastroszył się i stał nieufny. „Za łatwo to poszło” - ocenił w swoim pijanym mózgu. Nigdy nie podejrzewał, że jego szef tak szybko da się podejść.

- Ty chyba naprawdę chcesz przejść na emeryturę... - podsumował pogardliwie. - Zwołaj chłopaków pojutrze. Jak wszystko dobrze pójdzie, dostaniesz doktora... No, możesz iść się wypać. Masz młodą żonę, to musisz się spręzać.

Zyga nie wiedział wszystkiego. Informacje od Lidii Motke, żony Rolki, zostały poddane cenzurze. „Aron” powiedział mu wyłącznie o doktorze Szoberze i jego żonie. Nie zdradził, w jaki sposób zdobył te informacje i dlaczego ten ktoś zgodził się je podać. Taśma z filmem pornograficznym znajdowała się w pokoju agenta, w skrytce za kaloryferem. Zyga płacił mu za skuteczność, a nie za gromadzenie fantów. Poza tym „Aron” w głębi duszy brzydził się gangsterem i nie zamierzał pomagać mu bardziej, niż zostało uzgodnione. Gdyby Zyga znał prawdę o żonie Rolki, jego rozmowa z „Bonasera” skończyłaby się jatką. Był zbyt pijany, żeby się kontrolować, i z pewnością nie utrzymałby języka na wodzy.

„Bonasera” opuszczał dom Zygi z uczuciem ulgi. Chciał, żeby tamten przejął interesy i szybko się ugotował. Postanowił jedynie sprawdzić, kto z jego ludzi rzeczywiście trzymał z „Czubem”. Lista lojalnych musiała być dokładnie sprawdzona. Do rajgu mogli trafić tylko wybrani, a sam Rolka zamierzał wystąpić w roli Anioła Stróża.

„Rumba” opuścił bagażnik dopiero po oddaleniu się od domu Zygi. „Bonasera” streścił mu w skrócie rozmowę i uważnie wysłuchał odpowiedzi. Poddawał swojego ochroniarza testowi lojalności, bawiąc się własną pewnością siebie i perspektywą realizacji niezwykłego planu. Prowadził limuzynę i z zagadkowym

wyrazem twarzy wodził oczami po światłach reklam. Miał ochotę na szarlotkę i zastanawiał się, kto mu ją o tej porze upiecze.

- Nie zrobi tego - odezwał się „Rumba” z odcieniem wątpliwości. On także, chociaż był po stronie „Bonasery”, nie ufał zbyt prostym rozwiązaniom. Nauczył się, że nikt nigdy i nikomu nie dawał niczego za darmo. Nawet za cenę spokoju i emerytury. Żaden gangster nie rezygnował dobrowolnie z poczucia władzy. „Rumba” już dawno zauważył, że większość bogatych przestępców kierowała się poczuciem prymitywnie rozumianej dumy. Ci najlepsi tworzyli z tego kompozycję, która bez przerwy zmieniała znaczenia. Dzięki temu uciekali przed nudą.

- Chyba nie zrobi - odparł w zamyśleniu gangster. - Ona prawdopodobnie...

- Prawdopodobnie? - przerwał „Rumba”. Nie wiedział dlaczego, ale poczuł rozdrażnienie.

- Chciał ją sprzedać do burdelu - wyjaśnił „Bonasera”. Odpowiadał na pytania, myśląc zupełnie o czymś innym.

- Co na to doktor? - głos ochroniarza zabrzmiał jak piła tarczowa.

- Jeżeli się uprze, to trudno - odpowiedź niosła w sobie zapowiedź niespodzianki. Przez okna samochodu wpadł powiew wiatru. Chłodny i orzeźwiający, pasujący idealnie do nastroju „Bonasery”, który nie miał pojęcia, że szef jego ochrony po raz pierwszy w życiu miał zamiar zachować się nieprofesjonalnie. Powód był stary jak świat: kobieta.

Ludzie z podsłuchu nie spali. Rozmowa „Bonasery” została natychmiast przesłuchana i kilka minut później prokurator Mann o wszystkim wiedział. Zatelefonował do inspektora Sygiera i zasugerował, jak się wyraził, „mądrą obserwację”. Stary policjant szybko przejął inicjatywę. Mruknął coś niezobowiązującego, podziękował i dziesięć minut później siedział już w swoim samochodzie. Od wielu lat starał się mieć ubranie pod ręką. Zawsze wydawało mu się, że zdarzy się coś ważnego, a on nie zdąży się ubrać. Koledzy czasami śmiali się z niego, ale po cichu podziwiali. Sygier był rasowym śledczym, kochał węszenie za przestępcami i zbieranie podejrzeń do kupy.

Przed domem Franciszka Zygi zjawił się jeszcze przed przybyciem „Bonasery”. Zatrzymał samochód kilkadzie-

siąt metrów od bramy i zgasił światła. Wy siadł, zniknął za pobliskim zakrętem, odczekał chwilę, po czym spokojnie wrócił i zajął miejsce za kierownicą. Pozory starał się zawsze zachowywać. Uważał, że kierowca, który po przybyciu na miejsce nie opuszcza samochodu, niepotrzebnie zwraca uwagę. Nie palił papierosów, nie włączał radia i obserwował. Limuzyna Rolki przejechała blisko

niego i zniknęła na dziedzińcu za bramą. W czystym nocnym powietrzu niewidoczny obłok spalin przeniknął do środka samochodu policjanta i nieprzyjemnie podrażnił nozdrza. Inspektor zdecydował się na spacer. Nie musiał przedostawać się na teren posiadłości. Wystarczyło, że wszedł na murek ogrodzenia, odnalazł odpowiednie okno i przez lornetkę namierzył siedzących naprzeciw siebie gangsterów. Z daleka przypominali ciała stygnące na mrozie. Miał ich jak na dłoni. On sam w cieniu drzew był prawie niewidoczny.

Sygier usiłował czytać z ruchu warg, ale z tej odległości i przy braku wprawy niewiele mu to dało. Zdołał tylko wywnioskować, że Zyga zwany „Czubem” za dużo sobie pozwalał. Inspektor ze zdziwieniem drapał się od czasu do czasu w głowę, widząc nerwową gestykulację „Czuba” i potulne kiwanie głową „Bonasery”. Do tej pory obraz organizacji w kartotece policji był stosunkowo jasny, teraz najwyraźniej coś się zmieniło. Sygier poprawił pod pachą służbowy pistolet i odczekał, aż tamci skończą rozmawiać. Jego podejrzenia wzbudziło samo miejsce spotkania. Nie miał wątpliwości, że żaden liczący się gangster nie odwiedza swoich ludzi w nocy tylko po to, żeby zostać postawionym do kąta.

Kiedy „Bonasera” odjechał, Sygier wrócił do samochodu i zastanawiał się, co dalej robić. Nabierał przekonania, że da sobie radę. Widział, jak Zyga pociągał z butelki. Obserwował gestykulację zdradzającą coraz większy brak samokontroli.

Śledzenie wozu gangstera przypomniało inspektorowi stare czasy. W takich chwilach czuł się prawdziwym policjantem. Nie przywiązywał wagi do dwóch ochroniarzy, przypuszczając, że byli to ludzie zwerbowani na ulicy. Pogwizdywał i nie tracił z pola widzenia samochodu Zygi.

Inspektor pomylił się, ale na razie o tym nie wiedział. Mimo że postępował bardzo ostrożnie, ludzie „Arona” prawie natychmiast go zauważyli. Początkowo nie byli pewni, czy ktoś rzeczywiście ich śledził. Kiedy zjechali w boczną drogę, a tamten nie skręcił za nimi, odetchnęli z ulgą. Nie przestali jednak patrzeć za siebie. Zauważyli, że po przejechaniu kilkudziesięciu metrów tajemniczy samochód nagle zawrócił, po czym zgasił światła. Teraz byli już pewni, że będą mieli gościa.

– To on? - zapytał ochroniarz, mając na myśli „Bo- naserę”.

– Ktoś od niego... - rzucił przez zęby Zyga. Był wściekły, że Rolka chciał go podejść. - Odeślemy go w kawałkach.

Agenci spojrzeli po sobie i więcej się nie odezwali.

– Ciekawe, ilu ich wysłał? - mamrotał do siebie gangster. Leżał rozparty na siedzeniu obok kierowcy i cały czas popijał. Jego samochód prowadził jeden z ludzi „Arona”. - Czy wy, chłopcy, w ogóle myślicie, co? Wasz szef kazał wam

chodząc w czapkach i tajniacystyce

się nie wiadomo przed kim... No i pocicie się jak psu jaja na słońcu...

– Mamy to teraz załatwić? - zapytał ten, który siedział z tyłu. Miał miłą i kulturalną barwę głosu. Może dlatego „Czub” odwrócił się i warknął z irytacją:

– Niech nas odwiedzą. Musicie zapracować na chleb...

Kierowca tylko skinął głową. On także, podobnie jak jego dowódca, uważał Zyge za śmiecia i gdyby nie kontrakt, na pewno nie wysłuchiwałby głupich uwag.

Inspektor Sygier gwizdał pod nosem piosenkę ze znanego westernu i wystukiwał rytm na kierownicy. Widział przed sobą światła samochodu Zygi, zapamiętywał, któredy jechał, i starał się nie trafić do rowu. Czuł, że odnajdzie doktora Szobera i, być może, jego żonę. Od kiedy zajął się tą sprawą, chciało mu się żyć. Tajemnica i niebezpieczeństwo pociągały go, oddalały widmo emerytury i miękkich kapci. Sygier nie wyobrażał sobie siebie przed telewizorem i w szlafroku. W ogóle nie wyobrażał sobie starości. Przed oczami miał dziesiątki przestłuchiwanych, ich strach, hardość i stopniowe grzęźnięcie w gąszczu pytań. Cieszył się w duchu jak dziecko, kiedy okazało się, że może współpracować z prokuratorem Mannem. Niekształtna sylwetka i brzydka twarz tamtego sprawiała, że czuł się lepszy, a kompleks wiejskiego chłopaka zniknął.

Samochód Zygi zatrzymał się przed drzwiami domu. Nie zaszczekał ani nie wybiegł żaden pies. Przywitał ich chudy mężczyzna w czarnym ubraniu jednostek specjalnych. Sygier uśmiechnął się pogardliwie, gasząc silnik. Lubił, kiedy bandyci przebierali się w efektowne mundury i udawali twardzieli. Łatwo ich było wtedy podejść i aresztować. Leniwe mózgi rzadko wyrastały ponad przeciętną i przeważnie hodowały marzenia dziesięciolatka. Tacy ludzie sprawiali kłopoty słabszym. Sygier nie czuł się ani za słaby, ani za stary, żeby wyprowadzić ich w pole.

Przed willą zrobiło się pusto. Wszyscy schowali się w środku. Zaczął padać drobny deszcz, a ciężkie chmury przysłoniły księżyc. Nad głową inspektora roztaczała się czarna czeluść, a kilka kroków dalej słabo oświetlone okna willi. Skradał się, nie wypuszczając z ręki pistoletu. Zajrzał do wnętrza, ale nikogo nie zauważył. Obszedł dom dookoła; w pokojach było pusto. Postanowił wejść do środka. Odnalazł drzwi w pobliżu garażu i po chwili udało mu się je otworzyć.

W willi czuć było wilgoć. Inspektor nasłuchiwał odgłosów z piwnicy. Schodził coraz niżej, gotowy w każdej chwili strzelić. Betonowe schody zakręcały i prowadziły do obszernego pomieszczenia z piecem gazowym pod ścianą. Głosy rozlegały się w głębi. Sygier nie rezygnował. Ewentualny powrót do samochodu



uznał za tchórzostwo, a wezwanie posiłków nie wchodziło w grę, ponieważ nie zabrał ze sobą telefonu. Wiedział, że gdyby teraz odjechał, następnego dnia mogło być za późno. Za wszelką cenę potrzebował dowodów. W przypadku zagrożenia gotów był strzelać... i uciekać.

– Idzie na lepsze, doktorku - usłyszał przepity głos Zygi. - „Bonasera” zgodził się na układ i chyba cię oddam. O twojej żonie jeszcze pogadamy...

– A co ona ma do tego? - Szober nie ukrywał zmęczenia. Jego pytanie przypominało ziewnięcie.

– A ma, ma... - tłumaczył jadowitym tonem gangster. - Nawet nie wiesz, jaki skarb masz w domu... Pięć tysięcy dolców... - Nie czekał na reakcję i dodał: - W gotówce.

– Nie wiem, o czym pan mówi - wzruszył ramionami doktor.

Sygier zastanawiał się, co powinien zrobić. Coś mu mówiło, że Zyga nie był przygotowany na atak i warto spróbować. Trzech ludzi w czarnych ubraniach zauważył dopiero wtedy, kiedy stanął blisko drzwi, za którymi znajdowali się Szoberowie. „Dam radę” - ocenił i z wycelowaną w Zyge bronią stanął na progu.

– Nie ruszać się, policja! Nikt nawet nie drgnął. Za to ten, który powinien się najbardziej przestraszyć, wyszczerzył zęby i powiedział:

– No, nareszcie jesteś. Ile można czekać?

– Nie żartuj, Zyga - ostrzegł inspektor. - Wszyscy mają położyć broń na podłodze...

– Przecież nas nie wystrzelasz - zaśmiał się gangster. Alkohol częściowo już z niego wyparował. - Nie możesz, bo cię oskarżą. Widzisz, głupi glino, prawo działa tak, że możesz mnie pocałować... Schowaj tę zabawkę i siadaj grzecznie obok doktora. Poniał?

– Ostatni raz powtarzam. - Sygier spocił się. Zrozumiał, że przesadził. „Czub” nie był zwyczajnym bandytą i nie znajdowali się w dawnej, komunistycznej Polsce. Wtedy na widok milicjanta większość ludzi robiła ze strachu w majtki.

– Niech pan odłoży broń i usiądzie - wtrącił spokojnie „Aron”. Próbował sytuację załagodzić. Nie chciał zabijać policjanta, ale martwił się, że został już rozpoznany.

– Nie pouczaj mnie - warknął z irytacją Sygier. Zastanawiał się, w kogo ma strzelić. Widział wyczekujące spojrzenia doktora i jego żony.

– Ten facet chyba umarł - zadrwił Zyga. - Czego ty chcesz, człowieku?

– Doktora - odpowiedział krótko inspektor. - Jest poszukiwany listem gończym...

- Tak? - gangster zdziwił się. - A za co?

- Na razie to tylko podejrzenia - Sygier próbował wytargować coś w negocjacjach. - Prokurator go przesłucha i zadecyduje. Położcie broń, stańcie pod ścianą, a nic się nie stanie. Tych dwoje pójdzie ze mną - pokazał palcem także na Patrycję Szober.

- A jak nie?

Tak brzmiały wyjątkowo wkurzające pytania. Tego inspektor był pewny. Nie zdążył jednak odpowiedzieć, ponieważ poczuł na plecach ucisk lufy. Automatycznie unióśł ręce do góry. Jeden z zamaskowanych agentów „Arona” wyjął mu pistolet z dłoni i schował za pas. Sekundę później inspektor został podcięty i upadł dokładnie pod nogi Zygi. W głowie mu szumiało, a lewa ręka bolała w nadgarstku. „Jeszcze tego brakowało” - przestraszył się. Usiłował nie patrzeć w górę i nie drażnić gangstera.

- Chyba, stary, zwariowałeś... - odezwał się Zyga tonem fałszywego współzucia. - Porucznik Columbo się znalazł...

Sygier jednak spojrzał w górę. „Aron” nie reagował, robił wyłącznie to, za co mu płacono. Wolał nie uprzedzać zdarzeń. Wiedział, że on i jego ludzie nie mieli wyboru.

- Wyjdźcie stąd - rozkazał nagle Zyga. - I zabierzcie ich - pokazał wzrokiem na Szoberów. - A ty daj mi pistolet... - to skierowane było do agenta, który odebrał broń inspektorowi. - Tak, tak, jego spluwę... Gliniarz zostaje.

„Aron” skinął głową i po chwili w pomieszczeniu zostali tylko Zyga i Sygier. Gangster stał z policyjnym pistoletem w dłoni. Inspektor zrozumiał, że popełnił błąd. Jego sprytny umysł zaciął się i było po wszystkim. Pozostał niesmak i zdziwienie, że na nic zdały się odwaga, doświadczenie i upór. Decydowała chwila, nagła słabość, naiwność lub zwyczajny przypadek; potem w nieoficjalnych policyjnych rozmowach zwykło się twierdzić, że sprawa wygląda tajemniczo lub nie wydaje się prawdopodobna, że coś takiego nie mogło się po prostu wydarzyć. Sygier wiedział już, że mogło.

- Siadaj - rozkazał Zyga, pokazując krzesło.

Potem padł strzał. Bez ostrzeżenia, zwyczajny, jak splunięcie na chodnik. Kula utkwiała w prawej skroni inspektora. Nie zdarzył się żaden cud. Gangster wykonał egzekucję z automatyczną precyzją. Potem wytarł pistolet o własne ubranie i wcisnął go w prawą dłoń zabitego.

Godzinę później Zyga i ludzie „Arona” opuścili na zawsze willę. Gangster wpadł na kolejny pomysł, który uznał za genialny. Wracali do warszawskiego domu Zygi

– do miejsca, w którym kilka godzin wcześniej odbyła się rozmowa z „Bonasera”. Ten ostatni według planu „Czuba” nie miał podejrzewać nawet, gdzie zostaną przewiezieni Szoberowie.

## Rozdział VIII

Zenek zwany „Rumbą” był zaniepokojony. Po pierwsze, jego szef nie wykazywał ochoty do walki, co samo w sobie było irytujące, a po drugie, niemalże fizycznie odczuł magnetyzm spojrzenia Patrycji Szober. Poza tym ucierpiała jego ambicja - został sterroryzowany i nie sprawdził się jako konwojent. Był pewien, że w grę wchodził szantaż. Domyślił się tego, widząc reakcję Rolki. Spokój, z jakim tamten handlował losem żony doktora, zasługiwał na Oskara. „Rumba” chciał zemsty i zaczynał się obawiać, że zareaguje całkowicie nieprofesjonalnie, że pokierują nim emocje. Zanim jednak cokolwiek zrobił, „Bonasera” zwołał spotkanie wszystkich swoich najbliższych współpracowników i na wystawnym obiedzie przyjął z honorami Zygę. Nigdy jeszcze „Rumba” nie widział swojego szefa w roli ugrzeczniowego komiwojażera. Pozostali goście byli nie mniej zaskoczeni.

Na dworze świeciło słońce i śpiewały ptaki. W domu „Bonasery” pachniało ciastem. Stół w salonie został zastawiony najlepszą porcelaną, a serwetki osobiście układała Beata Alond. Po prawej stronie Rolki usiadł Janusz Derski, jak zwykle elegancki i uśmiechnięty. Ci, którzy go znali od lat, twierdzili, że nie był to uśmiech, lecz grymas wyższości. Dlatego Zyga nie lubił Derskiego i zazwyczaj starał się go unikać. Po lewej stronie usiadła córka „Bonasery”, która na tę okazję założyła sukienkę za kilka tysięcy dolarów. Wyglądała jeszcze młodziej niż zwykle i sprawiała wrażenie przyjemnie zrelaksowanej. Obok niej usadowił się Romuald Falski z wielką muszką pod żylastą szyją. Ubrał się w smoking i założył rodowy sygnet podupadłego rosyjskiego arystokraty. Puste pozostawały miejsca „Wabika” i „Korby”.

Naprzeciwno Rolki usiadł Franciszek Zyga. Sam i bez obstawy, która została przed domem. Był pewny, że „Bonasera” nawet ruchem palca nie zaryzykuje życia doktora. Dwaj ludzie „Arona” mimo upału nie zdjęli kominiarek, starannie zakrywając twarze. Spacerujący po terenie trzej ochroniarze nie spuszczaali ich z oczu. W głębi salonu siedział na kanapie „Rumba” i uważnie wszystkich obserwował. Nawet jeżeli to komuś przeszkadzało, nie miał odwagi się przyznać. Ludzie w organizacji złośliwie twierdzili, że „Rumba” zaglądał nawet tam, gdzie nie powinien. „Bonasera” czasami żartował, że gdyby chciał popełnić samobójstwo, szef jego ochrony na pewno by mu na to nie pozwolił. Byłby pierwszy.

Zyga ubrał się w biały garnitur, jakby chciał zaznaczyć, że przychodzi z

najlepszymi zamiarami. Ogolił się, podkręcił wąsy i natarł twarz mocną wodą kolońską. Za wszelką cenę chciał zrobić na wszystkich wrażenie. Z jego grubej twarzy nie zniknął pewny siebie uśmiech. Jedli, wymieniając krótkie uwagi. Mimo to atmosfera stopniowo tężała i coraz bardziej domagała się rozładowania. Kiedy zjedli drugie danie, „Bonasera” stuknął łyżeczką w kieliszek i zaczął:

– Raz jeszcze musimy zdecydować, co chcemy dalej robić. Kiedyś już na ten temat mówiliśmy i miałem nadzieję, że wszystko zostało ustalone. Niestety, pomyliłem

się. Doszło nawet do śmierci naszych dwóch kolegów. Niepotrzebnie... - Gangster wyglądał na zawodowego żałobnika. - Pojawiły się nowe okoliczności i trzeba z tym coś zrobić. Nie ma między nami „Korby”, nie ma „Wabika”... Szkoda, bo sporo nas łączyło.

– Było, minęło - przerwał zniecierpliwiony Zyga. - Możemy zarobić dużą forszę, panowie...

– Na pewno - kontynuował niezrażony Rolka. - To zawsze jest możliwe. Duża forsa... - wycodził przez zęby, jakby chciał zaznaczyć, że w ich przypadku oznacza to przesadne łakomstwo. Poza tym miał nadzieję, że jego słowa zabrzmiały mądrze. - Wspomniałem już, że sytuacja zmieniła się i nasz kolega... Franciszek Zyga... ma pewną propozycję - imię „Franciszek” zabrzmiało w uszach wszystkich jak uderzenie siekierą w zamrożone mięso. „Rumba” miał ochotę podejść i odkręcić „Czubowi” głowę. - Możecie wybierać...

– Nie ma co gadać - włączył się z poczerwieniałą twarzą Zyga. - Ja chcę robić interesy, a „Bonasera” pasuje... Ma dość, jego sprawa. Mnie tam nie leży sprzedawanie mojej działki obcym, kiedy interes tak dobrze się kręci. Kto chce się wycofać, niech powie... Kto chce zostać, będzie musiał mnie słuchać... - Zyga odwrócił się do „Bonasery i zapytał: - Prawda?

– To prawda - zgoda zabolęła i zaczęła pulsować własnym życiem. - Wycofuję się i zamierzam oddać wszystko Frankowi. On będzie wiedział, jak to dalej prowadzić. Jest jeszcze silny i ma energię. Nie mogę mu tego zabronić...

– Nie może - zaśmiał się nagle Zyga. Jego twarz wyrażała pogardę i poczucie wyższości. - Klnę się na wszystkie dziwki w tym kraju, że nie może...

Beata nawet nie podniosła oczu. Gdyby jednak na ekranie filmowano jej myśli, „Czub” zaczęłyby się bać.

– Franek ma coś, na czym mi zależy - ciągnął uprzejmie „Bonasera”. - Nie chcę wojny, nie mam o co walczyć, bo wszystko już mam... Po co? Dam mu moje kontakty, moje wpływy, moje przyjaźnie... Dostanie wszystko. On jeden pozna siłę

naszej organizacji.

- Myny siedzących przy stole wyrażały zarówno zdziwienie, jak i niesmak. - Warunek jest jeden: musicie się podporządkować. Każdy, kto będzie chciał zostać w interesie, musi słuchać Franciszka. On będzie teraz szefem. Ze wszystkimi bonusami i wszystkimi kłopotami. Na początek ma „Pelerynę”, który podobno już dojrzał i lada chwila zacznie sypać. Na razie sprzedaje prokuratorowi badziewie. Jednak kto wie co będzie dziś czy jutro...

- Załatwi się i to - wtrącił Zyga i jednym haustem wypił kieliszek wódki. - Dorwę skurwysyna, zanim puści bąka.

Derski zaczął gwałtownie cmokać ustami, jakby chciał pohamować słownictwo Zygi. Tamten jednak nie reagował i rozpałał się jeszcze bardziej:

- „Peleryna” to zwyczajne gówno... I tak zdechnie. Ja go pier...

- Wystarczy! - ostrzegł nagle Derski.

- Co? - Zyga jakby dochodził do siebie i nie wierzył własnym uszom. - Ja cię...

- Nie wchodzę z tobą w interes i nie mam zamiaru cię słuchać. - Derski pochylił się w stronę Zygi. Patrzył mu zimno w oczy i kontynuował: - Nie podoba mi się twój język i nie podobasz mi się ty, gównozjadzie...

Zyga poczerwieniał, zamilkł, zebrał się w sobie i wydawało się, że zaraz wybuchnie. Napotkał jednak uśmiechniętą minę „Bonasery” i pohamował wściekłość. Spojrzał tylko na Derskiego i wtedy wszyscy zrozumieli, co w najbliższych dniach może się zdarzyć. W tej perspektywie cmentarz był o wiele za dużym słowem.

- Kto idzie ze mną? - Zyga właściwie nie powinien pytać. Pozostał mu wyłącznie głos Falskiego.

- Ja pójdę. - „Bonasera” nawet nie był zdziwiony. Falski nie widział się na fotelu emeryta i za bardzo lubił swoje zajęcia. Jako były bokser nie wyobrażał sobie odpoczynku. Jego żywiołem była walka.

- Wiedziałem, że masz jaja... - Zyga opanował się i kiwnął głową do własnych myśli. - No, z tymi jajami trochę przegrzałem... - zażartował sztucznie. - Chodź, „Bonasera”, opowiesz mi o wszystkim, a ja oddam ci twoje fanty...

Rolka posłusznie wstał i pożegnał gości:

- Dziękuję wam. Pamiętajcie jednak, że was ostrzegąłem...

„Bonasera” skinął ręką, że wszyscy mogą przejść do stolika, na którym stało ciasto i kawa. Dał znak, że ma jeszcze sporo do omówienia z Zyga i chce to zrobić jak najszybciej.

- Kiedy mi ich odeślesz? - zapytał, gdy wchodzili na schody prowadzące do

gabinetu.

– Tylko jego ci odeślę - odparł ze śmiechem Zyga. Poklepał przy tym Rolkę po plecach. - Nie martw się, nie będzie jej źle...

Potem zniknęli za drzwiami. Pozostali w milczeniu przemieszczali się w stronę ciasta i kawy. „Rumba”

starał się ukryć irytację. Wyszedł przed dom, oparł się o jeden ze słupków podtrzymujących zadaszenie ganku i patrzył na obstawę Zygi. Musi im być cholernie gorąco, pomyślał. Podświadomie nie traktował ich jak zwykłych łobuzów, lecz ludzi zmuszonych, podobnie jak on, do niewdzięcznej pracy. Nie mógł znieść myśli, że kobieta, której spojrzenie tak dobrze zapamiętał, zostanie w rękach Zygi. Wiedział, że poza perspektywą zarobienia kilku tysięcy dolarów „Czub” miał zamiar osobiście się z nią zabawić. Nie dawało to „Rumbie” spokoju. „Chyba zwariowałem” - próbował się uspokoić. Nie znał jej, była zajęta, a mimo to tęsknota wypalała mu dziurę w mózgu. „Bonasera” jednak chciał odzyskać głównie doktora. Dopóki tak było, „Rumba” miał związane ręce.

– Jakiś problem? - usłyszał za plecami pytanie. Beata lubiła go i czasami zagadywała.

– Zmiany... - odpowiedział dwuznacznie.. - Może stracę pracę?

– Nie stracisz - uspokoiła go, wystawiając twarz do słońca. Na ustach miała jeszcze lukier z ciastka. „Piękna, ale nie dla mnie” - stwierdził „Rumba”.

– Twój ojciec chyba się poddał - spróbował wy badać grunt.

– Jest mądry - odparła. Jej myśli pobiegły w stronę prokuratora Manna. Przypomniała sobie wspólne kolacje i żarty. Inne niż z kolegami, z którymi od czasu do czasu umawiała się do kina, teatru lub na dyskotekę. Przy Mannie czuła coś więcej.

– On nie zostawi was w spokoju - powiedział ochroniarz.

– Kto? - dziewczyna nie wróciła jeszcze myślami od spotkań z prokuratorem.

– „Czub”. Dopóki żyje, będzie polował na twój ojca.

Beata poruszyła brwiami, jakby chciała mu powiedzieć, żeby się nie martwił. W głębi ogrodu na leżaku opalała się Lidia Motke. Siedziała schowana za parawanem, zdając sobie sprawę, że widok jej odsłoniętego ciała mógłby dekoncentrować ochroniarzy. Beata uważała ją za niegroźną i chorobliwie próżną. Kiedyś nawet w rozmowie z ojcem nazwała ją „materacem”, co „Bonasera” skwitował przytaknięciem. Gdyby oboje wiedzieli, że to „materac” tak bardzo skomplikował im życie, zupełnie inaczej spojrzeliby na problem zaufania. Może nawet Rolka

znalazłby żonie jakieś satysfakcjonujące zajęcie. Niestety, nigdy tego nie zrobił. Dlatego właśnie Lidia tak łatwo rozgrzeszyła się ze zdrady. Została wpłątana w pornograficzną sytuację i musiała się bronić, musiała odzyskać film. Nawet słońce i orzeźwiający wiatr nie potrafiły stłumić jej lęku. Człowiek z piszczącym głosem mógł przecież ją oszukać, mógł bawić się jej kosztem przez całe życie. I co wtedy? Została już tylko ostatnia porcja preparatu. Potem nadejdzie śmierć. Doktor Szober chodził po ciasnej piwnicy i za wszelką cenę starał się coś wymyślić. Wiedział, że gdyby zdradził tajemnicę swojego odkrycia Zydze, ten nie miałby oporów, żeby wszystko zniszczyć. Był

zbyt głupi i zbyt pazerny, co oznaczało kłopoty. Im mniej wiedział, tym lepiej - uważał Szober. Patrycja siedziała na starych skrzynkach po winie i w mdłym świetle żarówki próbowała czytać znalezionej na półce gazetę. Oboje zachowywali spokój, a zagrożenie w pewnym sensie, jak ocenił doktor, dobrze im robiło. Mimo brudu, myszy i braku naturalnego światła czuli się nieźle. Ludzie „Arona” punktualnie dostarczali im jedzenie i nie traktowali źle. Przypominali lekarzy, którzy o stałych porach przychodzili na obchód, sprawdzali stan pacjenta i obojętnie wychodzili. Zawodowa uprzejmość i unikanie zbędnych słów.

Patrycja z zaskoczeniem zauważyła, że przestaje myśleć o zamordowanych kobietach i nabiera optymizmu. Zdawała się w ogóle nie pamiętać o kończącym się preparacie i zagrożeniu śmiercią. Kilka razy doktor słyszał, jak nucila pod nosem jakąś melodię, a jej stopy wystukiwały rytm. Zmieniła się i zaczęła zadawać kłopotliwe pytania. W takich chwilach Szober miał wrażenie, że nic ich nie łączy, że znają się i przez pewien czas, jak w samolocie, muszą siedzieć blisko siebie. Ta druga strona spokoju zastanawiała doktora w sensie medycznym. Zestresowany organizm reagował zaskakująco - odrzucał lęki, aby zanurzyć się w niezrozumiałym optymizmie - mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Pojawienie się Zygi przypominało powiew huraganu. Nagłym szarpnięciem otworzył drzwi, wpadł do środka i z dwuznacznym uśmiechem powiedział:

- No, doktorku, wychodzimy. „Bonasera” aż się pali, żeby cię zobaczyć.

Szober wstał i podał rękę żonie. Nie zdążyła się poruszyć, ponieważ gangster odepchnął jej męża w stronę drzwi i zawołał:

- Ona zostaje.

- Jak to? - Szober był zaskoczony, tak jakby pacjent kazał mu gryźć klamkę.

- Ano tak to - odparł Zyga. Widać było, że zaskakiwanie doktora sprawia mu przyjemność. - Żona zostaje, a ty odchodzisz. Muszę mieć gwarancję, że „Bonasera” nie wywinie mi jakiegoś numeru. Pamiętaj o tym. Jeżeli spróbuje motać, to ją

sprzedam do tureckiego burdelu...

Pięść doktora trafiła „Czuba” dokładnie pod lewym okiem. Uderzenie musiało być mocne, ponieważ gangster upadł i przez kilkadziesiąt sekund próbował dojść do siebie. „Aron” i jeden z jego ludzi obojętnie obserwowali całe zajście. Oparli tylko ręce na kaburach z pistoletami, informując w ten sposób Szobera, że zastrzelił go, gdyby miał zamiar uciekać.

- Zabiję cię... - wyrzucił w końcu Zyga. Podniósł się z posadzki i ruszył na doktora. W ręce trzymał sprężynowy nóż. - Ja cię...

- A co z interesem? - zapytał nagle Szober. - Co z zyskiem?

- A gównu cię to obchodzi... - Gangster stanął niebezpiecznie blisko.

- Myślałem, że interes to interes, panie... - doktor uświadomił sobie, że nie zna nazwiska swojego prześladowcy. Nie bał się i, ku swojemu zaskoczeniu, w ogóle się nie denerwował. - Żona idzie ze mną.

- Nie, nie, kochany... Potrzymam ją na paru metach, a kiedy „Bonasera” udowodni, że nic nie kombinuje, może ci ją oddam. Może, bo cię nie lubię...

- Ona musi brać lekarstwa - zaczął z innej strony doktor. - A ja muszę je osobiście robić...

- Coś kręcisz, cwaniaczku... - wykrzywił się Zyga i dotknął wielkiego siniaka pod okiem. Dopiero teraz zaczął boleć i nabierał kształtu.

- Ostatnią dawkę bierze dzisiaj. Jutro zacznie umierać...

- Co ty pieprzysz? Odbiło ci? - Zyga czuł ból pod okiem i chętnie dźgnąłby doktora nożem. Opanował się jednak, wyobrażając sobie siebie jako szlachetnego „ojca chrzestnego”. Dla takiej przyszłości warto było zrezygnować z chwilowej zemsty. Dlatego schował nóż.

- Jeżeli ona umrze, ja nie kiwnę palcem - ostrzegł Szober. - Chcę, żeby miała dobre warunki i spokój. W pana interesie...

- Straszysz mnie? - Zyga był czasami tępy jak pień.

- Informuję - poprawił chirurg. - Moja żona jest kluczem do mnie, panie...

- Zyga - warknął gangster. Miał już dość urwanych zdań. Poza tym chciał, żeby doktor poznał jego nazwisko i zaczął je szanować. - Coś się zrobi, doktorku. Z tym burdelem to tylko żartowałem. Żegnaj się z żoną i idziemy.

Szober przytulił mocno Patrycję i szepnął jej do ucha:

- Przysięgam, że po ciebie wrócę... A lekarstwo przekażę... Odwrócił się do Zygi i idąc ku drzwiom, dodał:

- Jutro rano musi dostać lekarstwo. Słyszysz pan, panie... Zyga? Ktoś je tutaj przywiezie.



- No jasne, nie ma sprawy - uspokoił go gangster, zamykając drzwi do piwnicy.  
- Dostanie wszystko, co trzeba. Jedź do „Bonasery”, zrób mu dobrze i czekaj spokojnie na swoją kobitkę. I powiedz mu, żeby nie świrował, bo ją zarżnę jak świnię. Poniał?

Godzinę później Szober znalazł się pod domem „Bonasery”. „Aron” osobiście wysadził go obok bramy wjazdowej i poczekał, aż furka się otworzy. Poczul, że spojrzenie „Rumby” zanurzyło się do środka samochodu. Przez mgnienie oka skrzyżowali wzrok, po czym furka zamknęła się i doktor zniknął w środku. „Aron” przeklął w duchu, nabierając pewności, że „Rumba” tęskni za zemstą. Upokorzenie sprzed kilkunastu dni musiało boleć. „Aron” wysłał w swoim kierunku SOS, obawiając się najgorszego.

„Bonasera” objął doktora i przytulił jak kogoś bliskiego. Wydawało się, że chce mu powiedzieć, iż rozumie sytuację i postara się wszystko dobrze załatwić. Nawet „Rumba” próbował się uśmiechać.

- Muszę pojechać do apteki i kupić kilka rzeczy - powiedział pośpiesznie Szober. - Natychmiast. Albo moja żona umrze...

- Jedziemy - zdecydował „Rumba”, zapominając o obecności Rolki, który nie odezwał się, tylko skinął głową. Zauważył, że od chwili porwania Szoberów szef jego ochrony nosi w sobie pragnienie zemsty. Doskonale to rozumiał.

- Czy powiedział, jak długo chce ją trzymać? - zapytał cicho gangster. Wiedział, że w ten sposób Zyga spryt nie wciągnął go w dodatkowe komplikacje. Tak jakby przeczuł, że doktor jest dla „Bonasery” bezcenny.

- Aż będzie pewny, że go pan nie wykończy - takie wyjaśnienie mogło przenosić góry lub kopać groby. Źle się zaczynało i źle kończyło...

- To znaczy, że jej nie ruszy.

Rolka sam nie wierzył w to, co powiedział. Pewny był tylko tego, że kobieta będzie żyła i znajdzie się pod dobrą opieką. Nie wyobrażał sobie jednak nocy, podczas których pijany Zyga zostawi ją w spokoju. Pod tym względem znał swojego człowieka. Pozostawało ufać w szczęście Patrycji Szober. Najważniejsze, że miał doktora i zamierzał jak najszybciej przystąpić do realizacji swojego planu. Zanim kobieta umrze.

Pierwszy dzień bez preparatu nie zapowiadał jeszcze kryzysu. Patrycja czuła się lepiej, niż się spodziewała. Samotność i stres zostały sparaliżowane przez sytuację, a ustawiczny widok myszy, którymi od dziecka się brzydziła, wprowadził ją w stan niemalże psychodelicznego transu. Starła się nie pamiętać o swojej przeszłości,

odciąć od otoczenia i zanurzyć w świecie wyobraźni. Nawet jedzenie śniadania traktowała jak fikcję. Kiedy wydawało jej się, że nadzieja powraca, do piwnicy wszedł Zyga i zamknął za sobą drzwi. Wyglądał na pijanego i niewyspanego.

- Nudzisz się, mała? - zapytał, odstawiając butelkę wódki na półkę. - Rozbierz się, to pobaraszkuje...

- Niech pan stąd wyjdzie - odpowiedziała drewnianym głosem. Czuła, że wraca dawny strach i niepewność.

- O nie, kochanie - zaśmiał się Zyga i usiadł obok niej. - Twój stary nie wie, jaki skarb miał w domu... Dobry towar poznaję na pierwszy rzut oka. No to co, zrobisz mi dobrze?

- Nie chcę - nadal mówiła cicho i spokojnie. Po raz pierwszy miała żal do męża, że ją zostawił. - Niech pan stąd idzie...

Zyga uderzył ją w głowę otwartą ręką i przewrócił na skrzypiące łóżko. Miał zamiar udowodnić sobie, że nie wyszedł z dawnej formy i potrafi zmusić kobietę do orgazmu nawet wbrew jej woli. Podarł na Patrycji ubranie i usiłował zgwałcić. Nie był jednak do tego zdolny. Alkohol pozbawił go czucia, a jego członek przypominał kilkadziesiąt naleśników. Z wściekłości bił ją coraz mocniej. Przewornie starał się trafić w brzuch, żeby nie zostawić śladów na twarzy. Kiedy straciła przytomność, wstał i ziewając ze zmęczenia, otworzył drzwi. Krzyki Patrycji ściągnęły do piwnicy „Arona” i jednego z agentów. Nie przeszkadzali, ale ich miny mówiły wszystko.

- Zabrać ją na górę i wrzucić do wanny - wycedził przez zęby Zyga. - Ma się wykąpać i przygotować do drogi.

- Gdzie ją zabieramy? - zapytał „Aron”. Ton jego głosu był tak cienki, że mógł rywalizować ze skrzypcami.

- Zabiorą ją moi ludzie - odparł Zyga. - Zaraz ich tu ściągnę. Ta dziwka odpracuje to, czego mi nie dała.

Zyga wbiegł na górę, a obaj agenci weszli powoli do piwnicznej celi.

- Przynies jej jakiś koc - polecił „Aron”, widząc nagie ciało i ślady zadrapań.

Dwie godziny później sprzed domu Zygi odjechał bus z czterema dziewczętami i obstawą. Trzech goryli z karkami grubymi jak klasztorne filary, uzbrojonych w pistolety maszynowe i zaopatrzonych w fałszywe dokumenty, miało zawieźć towar do Berlina. Tam czekali na nich ludzie kierujący siecią niemieckich burdeli. Bus miał przyciemnione szyby i żaluzje. W środku przypominał samolot. Były miękkie fotele, barek i kanapa; z głośników sączyła się muzyka, a klimatyzacja regulowała temperaturę. Zaraz po znalezieniu się w środku Patrycja dostała zastrzyk, po

którym zobojeźniała i zapadła w półsen. Pozostałe dziewczęta znajdowały się w podobnym stanie. Ich paszporty leżały w schowku kierowcy, a rzeczy osobiste - w bagażniku. Patrycja zdołała tylko zapamiętać, że każda z dziewczyn była od niej młodsza i dobrze ubrana. Z pewnością nie wychowywały się w dzielnicach biedy i nie puszczały za drobne pieniądze. Odniosła wrażenie, że wszystkie znalazły się w busie tylko z uwagi na swoją urodę. Pod tym względem żadnej niczego nie brakowało. Szczególnie rzucały się w oczy duże biusty, piękne twarze i długie włosy.

„Rumba” osobiście przywiózł lekarstwo do willi Zygi. Kiedy przekraczał bramę ogrodu, „Aron” wyszedł mu naprzeciw. W południowym słońcu wyglądali jak dwaj rewolwerowcy szykujący się do ostatniego pojedynku. Patrzyli sobie w oczy i ukrywali niepokój. Znali

swoją wartość, przeszli przez te same szkolenia i potrafili czuć coś więcej niż pragnienie walki. Zyga obserwował ich z okna swojego gabinetu na piętrze. Wlewał w siebie wódkę, chcąc zapomnieć o upokorzeniu w piwnicy. Rano tak bardzo miał ochotę nauczyć żonę doktora szacunku dla prawdziwych mężczyzn, a siebie za takiego uważał, że niespodziewany brak erekcji omal go nie zabił. Ambicja i zwierzęcy popęd skumulowały się w jego głowie, wybuchając raz po raz niczym granaty. Lubił kochać się z kobietami, które w normalnych warunkach nigdy by na niego nie spojrzały. Dowartościowywał się w ten sposób i uspokajał. Patrzył na „Rumbę i zastanawiał się, dlaczego przyjechał osobiście.

- Pamiętam cię - zaczął rozmowę „Aron”.
- A ja twój głos. - Mina „Rumby” wyrażała dezaprobatę.
- Trochę nam nie wyszło - próbował ciągnąć rozmowę agent. Wydawało się, że nie zwrócił uwagi na złośliwość. - Ty tam, ja tu...
- Gdzie kobieta? - zmiana tematu była oczywista jak odciepienie pepowiny.
- W innym miejscu - wyjaśnił z odcieniem irytacji „Aron”. Drażniło go, że „Rumba” nie podejmował rozmowy i traktował go z góry.
- Chcę ją zobaczyć - to nie była prośba, to był rozkaz.
- Niemożliwe - taka odpowiedź mogła zaboć. „Rumba” spiął się do ataku, ale zobaczył sylwetki agentów w cieniu koło ganku.
- Musi wziąć to lekarstwo. - Podał „Aronowi” ciemnobrązową buteleczkę. Tamten wziął ją bez entuzjazmu. - Inaczej umrze...

„Aron” zawahał się. Sprawiał wrażenie kogoś, kogo nagle pochwalono za nie swoje sukcesy. Trzymał w rękach życie kobiety, która została zabrana przez ludzi nadających się co najwyżej do układania podkładów kolejowych. W jego umyśle zapaliła się

niewidzialna lampka, a kontrakt przesunął na dalszy plan. Postępowanie Zygi wobec żony doktora uznał za niepotrzebne zagrożenie. Miał zamiar powiedzieć o tym „Rumbie”, ale się powstrzymał. Wolał szelest stu tysięcy dolarów. Pamiętał, że pieniądze należały także do jego ludzi. Począł, aż „Rumba” odwróci się i zniknie za automatycznie zamykaną bramą. Ścisnął buteleczkę, wydając wyrok śmierci na niewinną kobietę. Podniósł wzrok i stojąc na środku drogi dojazdowej do willi, podniósł do góry rękę. Tak, żeby Zyga zauważył buteleczkę i zrozumiał... Odpowiedź nadeszła szybciej, niż się spodziewał. Gangster po prostu wyrzucił przez otwarte okno, zachwiał się i wymownie pokazał palcem kosz na odpadki. Gdyby wiedział, że kazał wyrzucić preparat wart co najmniej kilkadziesiąt milionów dolarów, na pewno umarłby jeszcze tej samej nocy. Błąd Zygi był podwójny, ponieważ pozwolił „Rumbie” spojrzeć w przyszłość. Kiedy ochroniarz wsiadał do samochodu, „Aron” właśnie zbliżał się do śmietnika. Przez pręty ogrodzenia słychać było otwieranie i zamykanie kłapy. Charakterystyczne i niosące się po okolicy. „Rumba” nie miał wątpliwości - Patrycja Szober albo nie żyła, albo w każdej chwili mogła umrzeć.

Telefon w rękach „Bonasery” zachowywał się jak gorący kartofel. Podszuch zmuszał gangstera do błyskawicznego przerywania lub - co było jeszcze trudniejsze

- kontrolowania rozmów. Kiedy „Rumba” zadzwonił, Rolka leżał właśnie na stole u masażysty. Relaksował się w jednym z kompleksów odnowy biologicznej i prowadził miłą rozmowę z Derskim. Zastanawiali się, dokąd wyjechać na wakacje, żeby nie spotkać nikogo ze znajomych.

- Szefie, oni wyrzucili to lekarstwo do kosza - poinformował ochroniarz. „Bonasera” mógł się tylko domyślać, że Zyga nie uwierzył w ostrzeżenia i spisał żonę Szobera na straty. Ktoś tak głodny władzy mógł to zrobić - ocenił.

- Zrób, co uważasz za słusne - powiedział z naciskiem. - Jesteś przecież inteligentny...

Teraz musiał się tylko martwić o utrzymanie tajemnicy przed doktorem. Rolka był pewien, że gdyby dowiedział się o śmierci żony, wszystko przestałoby mieć sens. Dlatego dał „Rumbie” wolną rękę, a to mogło oznaczać tylko jedno. Spojrzał na Derskiego i odłożył telefon. Gestem dłoni pożegnał masażystę.

- Mamy mało czasu - powiedział „Bonasera”, zapinając pasek. - Musimy porozmawiać otwarcie, Jasiu...

Przystojna twarz Derskiego zmarszczyła się, jakby chodziło o zjedzenie przesolonego śledzia. Współpracownik „Bonasery” nie wątpił, że nadszedł czas na zapoznanie się z planami kolegi. Od lat ufał w jego decyzje i nie tracił czasu na wątpliwości. Był z Rolką na dobre i na złe. Kiedy znaleźli się w samochodzie, „Bonasera” bez słowa

skierował się do mieszkania córki. Nawet nie zapowiedział swojej wizyty. „Trzeba się przyzwyczajać do ciszy” - powtarzał sobie w myślach.

Potem wybrali się we troje na spacer po parku. Nikt ich nie śledził i nikt nie podsłuchiwał. Prokurator zmagął się po raz kolejny z „Peleryną”, a jedyny policjant znający część prawdy po prostu nie żył. Rolka, jego córka i Derski wędrowali alejkami i sprawiali wrażenie całkowicie pogrążonych w miłej pogawędce. Dwaj dobrze prosperujący biznesmeni i kobieta, która mogła być równie dobrze ich córką, jak kochanką. Tak właśnie wyglądało to z boku.

- On musi nas zoperować - wyjaśniał półgłosem „Bonasera”. - „Peleryna” wcześniej czy później pęknie...

- Mann nie zaryzykuje - wtrącił z wahaniem Derski. - Złożyłyby sobie stryczek.

- Tak, ale kto inny może nam zaszkodzić - odpowiedział gangster. - Mann rzeczywiście jest w szachu i marzy mu się wolność... Kto wie komu po cichu sprzedaje sprawę, grając przede mną niewiniątko? To bystry gość. Poza tym nie wiadomo, co zrobi Zyga. Pozwoliłem „Rumbie” na działanie, ale nie mam pojęcia, co z tego wyjdzie. Chodziło raczej o czas dla nas...

- Tato, czy chcesz, żebyśmy wszyscy poddali się operacji? - zapytała nieufnie Beata.

- Ja muszę... - Nie mieli złudzeń, że mówił prawdę. - Naprawdę muszę zniknąć. Doktor zna się na swojej robocie. Testował na własnej żonie...

- A ja? - Beata pytała wprost. „Bonasera” przytulił ją i pocałował w skroń.

- Ty nie musisz, chociaż... - Rolka wiedział, że w ten sposób nie zrywa nici prowadzącej do niego. - Oni mogą cię obserwować nawet przez parę lat. Na szczęście ty nie masz żadnych grzechów, kochanie. Raczej chodzi o mnie i Janusza...

- Ja się zgadzam - Derski myślał szybko i bez ponaglania. - Mam już takich dwóch, którzy nam pomogą...

Beata z trudem godziła się na plan ojca. Wiedziała, że nie miał innego wyjścia, ale nie potrafiła wyobrazić go sobie z obcą twarzą. Co z rodzinnymi zdjęciami? Co z domem? Co ze znajomymi? Sama myśl na ten temat skrzypiała w głowie i w mózgu zostawiała głębokie koleiny.

- Kiedy? - zapytał o operację Derski, tak jakby to robił setki razy.

- Jak najszybciej. - „Bonasera” naprawdę się denerwował. Mówił naturalnym głosem i nie próbował grać „ojca chrzestnego”.

- Gdzie?

- Wynająłem już odpowiednie mieszkanie - zdecydował Rolka. - Lidkę wyślę w długą podróż po świecie, a informację o moim zaginięciu dostanie za granicą. Kiedy

wróci, uporządkuje to, co jej zostawiam, i może sobie brykać.

– Myślałam, że ją kochasz... - Beata była wyraźnie zaskoczona. Cynizm ojca nie miał granic.

– Ciebie Kocham - w ustach „Bonasery” tylko to było prawdą.

– Nie obchodzi cię, co ona zrobi? Może będzie zeznawać?

– Po co? - Rolka wzruszył ramionami. - Na jaki temat? Przecież ona nic nie wie...

– Ktoś jednak nadał doktora - Derski po raz pierwszy powiedział głośno to, co od jakiegoś czasu myślał.

– Wiesz coś? - zapytał Rolka.

– Nie. Tak sobie kombinuję, że cudów nie ma, prawda?

– Martwisz mnie... - „Bonasera” zatrzymał się i pokiwał głową. Jeżeli Derski miał rację, to Lidia Motke mogła być poważną przeszkodą w realizacji planu.

– Sam jestem wkurzony...

– Szkoda. - Tym razem „Bonasera” zamierzał działać wspólnie z Derskim. Od tego zależało życie kobiety, z którą od kilku lat spędzał noce i która wiedziała, jak taka noc powinna wyglądać. Pod tym względem dysponowała kapitałem, który z powodzeniem mógłby obsługiwać giełdę.

Tak przynajmniej myślał Rolka.

Ogrodzenie nie stanowiło problemu. Mężczyzna w ciemnym kombinezonie poprawił kominiarkę na twarzy i ruszył pewnym krokiem w stronę ganku, przy którym stało dwóch innych, tak samo wyglądających agentów. Zauważyli go, kiedy był już blisko. Zanim zdolali cokolwiek powiedzieć, położył palec na ustach i pokazał drzwi. Nawet jeżeli nie do końca to zrozumieli, kiwnęli głowami i wyjęli pistolety. Najwyraźniej w willi Zygi coś się działo. Ostrożnie, centymetr po centymetrze, wsuwali się w półmrok korytarza. Kiedy minęli próg, w ich głowach utkwily kule. Strzały przez tłumik zabrzmiały jak odbicia piłeczki pingpongowej. Mężczyzna ominął ich i pewnym krokiem skierował się do salonu. Domyślał się, że Zygę ochraniało nie więcej niż trzech ludzi.

Pozostali musieli się wyspać i odpocząć. W domku panował przyjemny chłód, a olbrzymie doniczki z zielonymi liśćmi wytwarzały niemalże tropikalny nastrój. Cichy szum klimatyzatora przywodził na myśl ekskluzywny hotel, w którym trwała właśnie poobiednia sjesta.

„Aron” podniósł zaskoczone oczy znad gazety, starając się zrozumieć, dlaczego w rękach jednego ze swoich ludzi widzi pistolet z tłumikiem. Trwało to zaledwie chwilę, potem doszła do głosu inteligencja.

– To ty? - bardziej stwierdził, niż zapytał. Piskliwy głos ranił w samo serce.

- Gdzie jest żona doktora? - Mężczyzna nadal nie zdejmował czapki. Wydawało się, że chce do końca odegrać swoją rolę.

- Pojechała... - „Aron” zastanawiał się, czy zdąży wyciągnąć pistolet. Odpowiadał automatycznie.

- Gdzie ona jest? - pytanie zostało powtórzone w sposób, który mógł zamrozić rzekę. Lufa pistoletu z tłumikiem wycelowana była w krocze; tam nie było kamizelki...

- Zyga wysłał ją busem do Niemiec - skrzypiący głos „Arona” nie zdradzał współczucia. - Do burdelu z trzema innymi panienkami.

- Kolor i numer rejestracyjny...

Agent odpowiedział szybko i dokładnie. Co jak co, ale pamięć miał doskonałą. Zauważono to już w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Od tamtej pory na każdej akademii mówił wiersze, które w głowie zwykłego śmiertelnika mieściły się tylko we fragmentach i nie na dłużej niż godzinę.

- A on? - spojrzenie mężczyzny powędrowało w górę.

- Kiedy go widziałem, był nagrzany i leżał u siebie na dywanie - odparł agent. - Zastrzelisz mnie? W pytaniu czaił się strach.

- To zależy...

Seria przecięła salon na pół. Rozkołysana i niekontrolowana, jak pierwsza miłość. W takich chwilach właśnie ożywiało się lub umierało szczęście. Kałasznikow o mało nie wypadł z dłoni trzeźwiejącego ze strachu Zygi. Stał na górze w drzwiach swojego gabinetu i próbował celować w „Rumbę”. Nie udało mu się ani za pierwszym, ani za drugim razem. Źle chwycona broń odbiła i pociągnęła jego rękę w przypadkowym kierunku. Wtedy szczęście „Arona” zgasło i pojawiła się krew. Przypadkowa kula, jedna z wielu opuszczających magazynek, sama wybrała sobie cel. W tym momencie „Rumba” leżał już na podłodze blisko schodów i mierzył w górę. Potem rozległ się brzęk zbitego szkła. Kiedy „Rumba” wbiegał na górę, przypuszczał, że gangster albo zeskoczył i ucieka na ulicę, albo po prostu blefował i został w pokoju.

W gabinecie nikogo nie było, a za oknem leniwie kołysały się gałęzie drzew. Nikt nie biegał, nie uciekał i nie krzyczał. Przez wybite okno dolatywał zapach kwiatów na klombach. „Rumba” odczekał chwilę, sprawdził dokładnie gabinet i zaklął pod nosem. „Uciekł, ten parszywy śmieć uciekł” - huczało mu w głowie. Świadomość, że Patrycja Szober znajduje się w busie wiozącym ją do tureckiego burdelu w Niemczech, bolała i nakazywała pośpiech. „Rumba” pamiętał, że bez lekarstwa kobieta w każdej chwili mogła zacząć umierać. Tego obawiał się najbardziej.

Dwie minuty później kosz ze śmieciami Zygi został wywrócony, a buteleczka z lekarstwem znalazła się w rękach „Rumby”. W tym momencie gotów był wyc z

radości, że służby porządkowe tak późno rozpoczęły pracę. Wybiegł przez furtkę i błyskawicznie uruchomił samochód. Mimo tłoku na jezdni nabierał prędkości i kierował się do niemieckiej granicy. Kominiarka wylądowała z tyłu, a pistolet z tłumikiem na siedzeniu obok. Reszty nie zdejmował, bojąc się stracić czas.

Ludzie Zygi nie zareagowali od razu tylko dlatego, że ich szef chciał się okazać zbyt sprytny. Ukryty w swoim gabinecie za podwójną ścianą przeczekał w napięciu prawie dziesięć godzin. Kiedy w końcu rozpoznał głosy swoich ochroniarzy, powoli uruchomił mechanizm odsuwający ścianę. Dziękował losowi, że kiedyś po obejrzeniu filmu kryminalnego zdecydował się zbudować sobie schowek. Mały i ciasny, ale nie wzbudzający podejrzeń.

Szybkość, z jaką „Rumba” pokonywał trasę w stronę granicy z Niemcami, na pewno nie była godna naśladowania. Samochód wpychał się w każdą wolną przestrzeń. Muzyka z radia grała tak głośno, że nawet gdyby ktoś próbował się do „Rumby” dodzwonić, miał szansę co najwyżej posłuchać sygnału i nagrać się na pocztę. Ochroniarz nie zastanawiał się nad tym, co robi. Po prostu działał i nie miał zamiaru przegrać. Wydawało mu się, że śmierć Patrycji Szober będzie czymś gorszym niż tortury. Nie próbował tego rozgryzać, ale tak czuł. W ten sposób jego umysł osiągał równowagę i odnaj-

dował zepchnięty na bok inny sens życia. „Zwariowałem, jestem idiotą, porąbało mnie” - powtarzał sobie co pewien czas i mocniej dociskał pedał gazu.

Pół godziny później o pościgu zostali zawiadomieni ludzie „Bonasery” w Poznaniu. Chodziło o to, żeby nie mieli zbyt dużo czasu na myślenie i zebranie informacji. Mieli po prostu działać i odnaleźć busa wjeżdżającego do miasta. Już kilkanaście minut po rozmowie z „Rumbą” kilkunastu chłopaków wyjechało na szosę z Warszawy i próbowało zlokalizować samochód. „Rumba” wyraźnie podkreślił, że nie wolno im podejmować żadnej akcji.

Kiedy w końcu zadzwonił telefon, ochroniarz o mało nie rozwalił deski rozdzielczej. Z radości uderzył w nią otwartą dłońią i wydał głośny okrzyk. Bus został namierzony kilkanaście kilometrów przed Poznaniem. Należało go bez zwracania uwagi opóźnić. Metoda była prosta i sprawdzona.

Po wjechaniu na stację benzynową i zaparkowaniu przed dystrybutorem porywacze podzielili się. Kierowca zajął się paliwem, drugi z mężczyzn poszedł do ubikacji, a trzeci siedział senny, czekając na swoją kolejkę. Miał mieć oko na dziewczyny, które na wszelki wypadek dostały po kolejnej dawce narkotyku. Przy innych dystrybutorach stało kilkanaście samochodów i toczyło się życie. Ludzie myli szyby, sprawdzali opony, gimnastykowali się, popijali wodę z butelek, ganiali za małymi dziećmi, śmiali



się, żartowali i zastanawiali głośno, gdzie warto coś zjeść. Czarny jeep nie zwrócił niczyjej uwagi. Troje młodych ludzi, w tym jedna dziewczyna, wiedziało, jak odwrócić uwagę porywacza w samochodzie. Chłopak i dziewczyna z radiem w ręce objęli się i poruszali w rytm głośnej muzyki. Kiedy para zaczęła się nagle całować tuż przed szybą busa i odwróciła uwagę porywacza, spod długiego płaszcza z ciuchlandu padły dwa strzały i było po wszystkim. Opony w samochodzie zaczęły tracić powietrze. Trzeci z trójki młodych ludzi zbliżył się do jeepa, trzymając w ręce ukrytej w kieszeni płaszcza pistolet z tłumikiem. Nikt niczego nie słyszał i niczego nie zauważył. Kolejną godzinę zajęła porywaczom wymiana kół. Zapas nie przewidywał przebicia dwóch opon naraz, dlatego musieli zorganizować sobie naprawę w warsztacie. Klnąc z wściekłości opłacili jednego z pracowników stacji, który zabrał przebite koło do oddalonego o kilkanaście kilometrów wulkanizatora i po blisko godzinie przywiózł je z powrotem. Patrycja, która nagle poczuła się źle i chciała skorzystać z ubikacji, musiała to zrobić w samochodzie. Żadna z dziewcząt nie nadawała się do spaceru przez stację - wszystkie ślaniały się i sprawiały wrażenie kompletnie pijanych. Kazali jej więc nasikać do przeciętej na pół butelki po wodzie mineralnej.

„Rumba” nadrobił stracony czas, minął stację benzynową i odnalazł wzrokiem busa. Obawiał się, że porywacze rozpoznają samochód Zygii, co niepotrzebnie mogło skomplikować sytuację. Zatrzymał się sto metrów dalej, zmienił ubranie i szybkim truchtem ruszył wzdłuż szosy z powrotem. Miał na sobie lniane krótkie spodnie do kolan, sportowe buty, podkoszulek i bluzę bez rękawów, z kilkunastoma kieszeniami, w kolorze safari. Na głowie umieścił czapkę z daszkiem i ciemne okulary, a na grzbiecie - mały plecak. Przypominał współ

czesnego turystę, który uwielbia piesze wycieczki poza miasto i sportowy tryb życia.

Kierowca busa odetchnął, kiedy drugie koło znalazło się na swoim miejscu i mogli wyruszyć dalej. Pozostali dwaj porywacze siedzieli w barku i popijali piwo. Upał dawał im się we znaki i coraz bardziej rozleniwiał. Niższy z nich przyniósł do busa kilka butelek wody i wrócił do barku.

W samochodzie było nie do wytrzymania. Rozgrzana blacha zamieniła wnętrze w piekarnik. Patrycja siedziała bez sił na fotelu i zastanawiała się, czy tak będzie wyglądać jej śmierć. Obserwowała zwisające z siedzeń pozostałe dziewczyny i czuła, że ich cierpienie mogło się dopiero zaczynać. Narkotyk działał coraz słabiej, ponieważ przegrzany organizm pozbywał się go szybko razem z potem. W środku zaczynało śmierdzieć i na dodatek okazało się, że jedna z dziewcząt dostała okresu. Kiedy kierowca wyprostował się po założeniu koła i splunął obok dystrybutora, wydawało się, że kłopoty minęły i za chwilę powiew wiatru ostudzi rozpalone wnętrze. Zanim jednak

zdołał wezwać ruchem ręki pozostałych osiłków, zorientował się, że bus ruszył. Nagle i ostro. Kierowca był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie zareagował. Dopiero potem spróbował biec, ale na próżno. Samochód wyjechał na szosę i błyskawicznie się oddalał. Dwaj pozostali porywacze wybiegli z barku, wyciągając po drodze pistolety. Nie mieli jednak żadnych szans. Obsługa stacji udawała, że nie widzi broni, a ludzie tankujący paliwo przezornie spuszczały wzrok. Kierowca odwrócił się do kolegów i pokazał

im kluczyki do samochodu. Miało to oznaczać, że był w porządku. Nie zwrócili uwagi, że dwie minuty później minął ich samochód Zyi. Siedzący za kierownicą „Rumba” pracował w kominiarce. Patrycja nie rozpoznała go. Wszystko działo się za szybko.

Pozostałe dziewczyny zostały wypuszczone z busa i uciekały, zatrzymując okazję.

– Nie bój się - odezwał się „Rumba”, rzucając spojrzenie w lusterko. - To twoje lekarstwo... Podał jej butelkę z preparatem. - Zaraz gdzieś zjedziemy, to umyjesz się i coś zjesz. W porządku?

Patrycja łyknęła lekarstwo i skinęła głową. Wydawało jej się, że skądś go zna, że już go widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć żadnych szczegółów. Nie wyglądał na turystę i była pewna, że nim nie był. Mięśnie wskazywały raczej na sportowca. „Śmieszny jest w tej czapce” - przemknęło jej przez myśl. Zza ciemnych szkielek okularów nie mogła dostrzec jego oczu. Kiedy w końcu zdjął kominiarkę - poznała go. Ostrożnie dotknęła jego ręki. W ten sposób próbowała mu podziękować. Sięgnęła do góry i ustawiła przed sobą samochodowe lusterko. Z niepokojem obserwowała swoją twarz, szukając śladów odrzucania przeszczepu. Na szczęście skóra nie była ani zaczerwieniona, ani opuchnięta. Miała nadzieję, że kolejna operacja nie będzie potrzebna.

– Nie wiem nawet, jak się nazywasz - powiedziała, nie patrząc w jego stronę.

– Zenek - „Rumba” skrzywił się z niesmakiem. - To cholerne imię prześladowe mnie od urodzenia. Jak można kogoś tak nazwać? Zenek...

– Patrycja to też dziwne imię... - próbowała żartować, ale powieki jej opadały i czuła powracającą słabość. „Rumba” podał jej butelkę z wodą. - Piękny dzień, prawda? - dodała ciszej. Zabrzmiało to jak zapowiedź filmu dla dorosłych.

– Wypij całą - poradził. Nie wiedział dlaczego, ale poczuł się szczęśliwy. Przed akcją liczył się z tym, że będzie musiał kogoś zastrzelić. Kiedy jednak uruchomił stacyjkę, zdecydował się po prostu szybko odjechać. Teraz tego żałował. Wcześniej nie zdążył zobaczyć na rękach Patrycji krwi i siniaków.

– Naprawdę? - zapytała nagle i jakby bez związku.

Przestraszył się i spojrzął na nią z niepokojem. Kobieta wypila wodę, otwierając przy tym śmiesznie oczy, po czym opadła na siedzenie i zasnęła. „Rumba” ustawił

klimatyzator na mniejsze chłodzenie i sięgnął po telefon. Nikt jednak nie odbierał. „Dziwne...” - ocenił ochroniarz. „Bonasera” rzadko pozbawiał się kontaktu ze swoimi ludźmi i jeszcze rzadziej włączał automatyczną sekretarkę. „Rumba” zaczynał mieć podejrzenia, że Zyga odważył się zaatakować i mogło dojść do najgorszego. Ochroniarz zrezygnował z odpoczynku i postanowił jak najszybciej wrócić do Warszawy. Włączył radio i nastawił cichą muzykę. Jeszcze przed przyjazdem na miejsce usłyszał informację o strzelaninie w willi Franciszka Zygi. Rozpoznał głos. „Czub” przeżył i prosił policję o szybkie odnalezienie sprawców napadu. Robił to tak przekonująco, że „Rumbie” zebrało się na płacz.

Kilka godzin wcześniej „Bonasera” usiadł naprzeciwko żony i zapytał głosem niezdradzającym cienia wątpliwości:

- Dlaczego mnie wystawiłaś?

Lidia Motke, która właśnie nałożyła sobie na twarz maseczkę z alg, z wrażenia o mało nie spadła z kanapy. Nie spodziewała się\* że „Bonasera” tak szybko odkryje prawdę. Wierzyła, że „Aron” dotrzyma słowa i nie powie nikomu o filmie. Gdyby nie algi, jej mąż zobaczyłby oblewający ją rumieniec.

- Skąd wiesz? - zapytała, tracąc nad sobą panowanie. Jej ręce zaczęły się trząść, a głos drżeć.

- Opowiedz mi o tym - poprosił „Bonasera”, zapalając cygaro. Rola „ojca chrzestnego” wracała sama, skutecznie mroząc rozmówcę.

Kiedy Lidia skończyła opowiadać, Rolka odłożył cygaro i bez słowa wyszedł z salonu. Starał się opanować i znieść w samotności poczucie upokorzenia. Uroda żony wydała mu się nagle przygasła i denerwująca. Zastanawiał się, w jaki sposób ją pożegnać. Nie myślał o zabijaniu, raczej o karze, jaką powinna ponieść. Nie chciał jej wysłać do burdelu, ponieważ godziłoby to w niego. Wiedział, że była głupia i tchórzliwa, co utrudniało wymyślenie odpowiedniej kary. W końcu uznał, że nie ma czasu na zemstę, i w milczeniu opuścił dom. Wiedział, że w ten sposób powinien zamknąć za sobą dawne życie. Większość majątku została przepisana na jego córkę, a pieniądze zdeponowane na hasło w kilku szwajcarskich bankach. Dom zostawał czysty i pusty. W sam raz dla policji, prokuratury i Zygi.

„Bonasera” siedł ulicą, ciesząc oczy słońcem i widokiem drzew, które wbite w miasto zieleniły się w lekkich podmuchach wiatru. Samochody jechały wolniej niż zwykle, a kierowcy smętnie patrzyli przed siebie. Jezdnia parowała z gorąca, a rozpuszczony asfalt wydzieliał charakterystyczny zapach. Derski uchylił drzwi i „Bonasera” wsiadł do samochodu. Ruszyli do miejsca, w którym czekał na nich doktor Szober.

- Sprawdziłeś ich? - zapytał Rolka, wystawiając twarz do nawiewu z klimatyzatora.

- Najlepiej jak było można - Derski zostawił sobie margines błędu. Zawsze starał się nie nadużywać znaczenia słów. - W schowku są ich dowody osobiste.

Rolka obejrzał dokumenty i pokiwał głową. Powoli odcinał się od przeszłości.

- Nawet przystojne chłopaki - zadrwił. - Którego wybrałeś?

- Ty wybierz - głos Derskiego zdradzał zmęczenie.

- Na pewno? - „Bonasera” rzucił okiem na przyjaciela. Tamten skinął głową. - Dobra, biorę tego blondyna... Jak on się nazywa? - Przeczytał nazwisko i dodał: - Michał Dudacz. Co o nim wiesz?

- Samotny, bezdomny, szwendający się po dworcach i przytułkach - wyjaśnił Derski. - Nie miał kumpli i starał się żyć na uboczu.

- Wygląda niezłe... - stwierdził z aprobatą „Bonasera”. - Na zdjęciu.

- Teraz też - potwierdził Derski. - Trochę mnie to kosztowało, ale wybrałem najlepszych. W końcu z byle kim nie będę się zadawał.

Zaśmiali się obaj i sięgnęli po papierosy.

Wieczorem znajdowali się już na stołach operacyjnych. „Bonasera” chciał być pierwszy; ubzdurał sobie, że to skróci czas jego rekonwalescencji. Miejsce, które przygotowali, nadawało się na dłuższy pobyt. Z dala od ludzi, otoczone ogrodzeniem i lasem, gwarantowało brak wścibskich oczu.

Dwaj bezdomni zostali zabici metodą doktora Szobera. Po prostu wstrzyknięto im barbiturany i było po wszystkim. Operacja odbywała się w salonie na dole willi. Derski siedział cierpliwie przed telewizorem i czekał na swoją kolejkę. Udawał, że niczego nie zauważa i uczestniczy w zwyczajnym zabiegu. Aparatura medyczna, stoły i ciała dwóch bezdomnych zdawały się nie odwracać jego uwagi od filmu. Tylko on wiedział, ile go kosztowało odgrywanie twardziela. Ludzie, którym Szober miał zabrać twarze, musieli spełniać określone kryteria. Jednym z nich była uroda. Derski nie wyobrażał sobie, że po operacji zbrzydnie i przestanie się podobać kobietom. Dlatego postarał się znaleźć kogoś, kto nie został jeszcze zniszczony przez alkohol, papierosy, podłe jedzenie i warunki życia. Obaj bezdomni nie przekroczyli czterdziestki i trzymali się całkiem dobrze. Nawet ich zęby nie przypominały jeszcze lasu po przejściu huraganu.

Odcięci od świata, bez telefonów, bez kontaktu ze starymi znajomymi, Rolka i Derski wkraczali w nowe życie. Każdy z nich zamierzał zbudować je po swojemu. Pod nowym nazwiskiem, z legalnymi papierami i bezpiecznie. Największy problem stanowiła córka „Bonasery”. Była jedynym słabym ogniwiem całego planu.

Kiedy zgłaszała zaginięcie ojca, policjanci uśmiechali się pod nosem, ciesząc się z takiego obrotu sprawy. Gdy zadzwoniła do prokuratora Manna i poprosiła o pomoc, wyczuła w jego głosie ulgę. Obiecał jej pomoc, ale nie ludziła się, że słowa dotrzyma.

Ludzie z organizacji natychmiast zaczęli przechodzić do Zygi i Falskiego.

W ciągu trzech dni nastąpiło ogólne przegrupowanie i podział wpływów. Bez kontaktów „Bonasery” organizacja rozpadała się i poszczególni bandyci zaczęli kroić tort dla siebie. Ani Zyga, ani Falski nie mogli tego powstrzymać. Kiedy okazało się, że pięciu ludzi Zygi zginęło w wybuchu samochodu-pułapki, a dwaj najbliżsi współpracownicy Falskiego wypadli z łódki i utonęli, wojna pomiędzy gangami rozpoczęła się na dobre. „Peleryna”, który zaczynał cedić niektóre informacje, nagle przestał mówić i zerwał współpracę. Doszedł do wniosku, że zaginięcie „Bonasery” i Derskiego oznacza koniec pewnej epoki i lepiej siedzieć cicho. Wyjście na wolność oznaczało ryzyko i śmierć z rąk Zygi, Falskiego lub jakiegoś ambitnego młodego wilka. Prokurator Mann, który miał nadzieję na sukces, zdał sobie sprawę, że wyląwiał teraz z sieci tylko drobne ryby. Wszyscy wiedzieli zbyt mało, żeby zaimponować ministrowi i dziennikarzom. On sam zaś nie miał pewności, czy „Bonasera” nie pojawi się ponownie w jego życiu i wszystkiego nie zepsuje. Dowody na Zygę i Falskiego były zbyt słabe, aby ich oskarżyć, a córka Rolki udawała, że o niczym nie wie. I to ostatnie najbardziej Manna denerwowało.

Oficjalna uczciwość kobiety, której pożądał, była nie do zniesienia. Cień, jaki wisiał nad jej majątkiem, doprowadzał prokuratora do szału. Niedostępność i obłuda.

Wciąż łapał się na tym, że myśli o Beacie Alond i nie spocznie, dopóki nie znajdą się razem w łóżku. Biologia, feromony czy cokolwiek innego gnały go w kierunku kobiety, która bezlitośnie kazała mu stać w poczekalni. Rozpalała swoją urodą, uruchamiała wyobraźnię, po czym z daleka tylko pozdrawiała. Nie chciała się z nim spotykać i wyraźnie go unikała. W dodatku zaczęła ubierać się na czarno i sprawiać wrażenie osoby pogrążonej w żałobie. Z kolei Lidia Motke, która związała się z Zygą, wezwana na przesłuchanie niczego ważnego nie potrafiła powiedzieć. „Rzeczywiście jest głupia i nadaje się wyłącznie na kochankę” - stwierdził Mann. Przynajmniej żona nie udała się Rolce do końca. Rozmowa z nią przypominała prokuratorowi tłuczenie głową o ścianę. Poza tym wydawało się, że zniknięcie „Bonasery” było jej na rękę. Poszukiwania Derskiego także rozbiły się o mur milczenia już na początku. Wszyscy, z którymi współpracował, udawali, że znali go tylko pobieżnie i nie ma o czym rozmawiać. Przyjaciel „Bonasery” mieszkał sam i starał się nie figurować w żadnych dokumentach. Nie miał w polskich bankach kont i nie był blisko związany z żadną kobietą. Tak samo trudno było dogadać się z szefem ochrony „Bonasery”, „Rumbą”. Jedyna odpowiedź, jakiej ochroniarz udzielał, brzmiała: „Pilnowałem tego człowieka przed łobuzami”. Jak na ironię nie znalazł się żaden łobuz, który by to potwierdził. „Rumba” wyprowadził się z willi „Bonasery” i zamieszkał w małym mieszkaniu w centrum miasta. Okazało

się, że teraz zatrudniła go Beata Alond. Oficjalnie wypłacała mu pensję i pozwalała wytłumaczyć się przed urzędem skarbowym.

Od czasu do czasu pojawiał się w jej towarzystwie i otwierał drzwi samochodu. *Zawsze* był elegancko ubrany i pachnący, czym dodatkowo doprowadzał Manna do szału.

Rozstanie z Patrycją odbyło się przed willą „Bonasery”. Kiedy samochód Zygi zbliżył się do bramy i „Rumba” zahamował, w okno od strony pasażera zapukał doktor Szober. Jego broda była długa i wyraźnie posiwiła. Okulary z oprawkami pamiętającymi Napoleona upodabniały go do rockowego artysty. W niczym nie przypominał dawnego i eleganckiego chirurga, ulubieńca kobiet i pieszczocha miejscowej elity. Nie nosił już starannie dobranych marynarek, spodni czy płaszcza, nie używał drogich wód kolońskich ani krawatów. Chudy, przygarbiony i wysoki sprawiał wrażenie kogoś obcego. Patrycja poznała go i otworzyła okno.

– Wsiadaj i idź za mną - powiedział Szober, po czym zaczął oddalać się od samochodu.

Patrycja działała automatycznie. Rzuciła spojrzenie na „Rumbę” i w pośpiechu skierowała się za mężem. Minęli kilka ulic, zanim doktor zdecydował się zwolnić. Dogoniła go, a on objął ją ramieniem. Z daleka wyglądało to na pogodzenie kochanków.

– Myślałem, że zwariuję - szepnęła jej do ucha. - Teraz mieszkamy gdzie indziej. Spodoba ci się.

– Co za dzień... - zachwyciła się Patrycja.

– Widzę, że chce ci się żartować - Szober próbował wyczuć stan żony. - Nic ci nie jest? Mam lekarstwo...

– Już wzięłam - przerwała mu szybko. - Zenek mi dał.

– Zenek? - zdziwił się doktor. - Jaki Zenek?

– Ten, który mnie uratował - wyjaśniła z zagadkowym uśmiechem. W ten sposób mógł wyglądać zadbany cmentarz.

– O ile pamiętam, to nazywali go „Rumba” - przypomniał sobie Szober. - Skąd on miał preparat?

– Ze śmietnika - zaśmiała się sztucznie Patrycja. - Czy ktoś nas szuka? Byłoby dobrze, gdyby o nas nie zapomnieli...

– Policja, prokuratura i pewnie ten gruby z wąsami - doktor nawet nie starał się mówić jak kiedyś. - Nie odpuści, bo wyczuł interes.

Wsiadli do niewielkiego samochodu i po chwili udało im się włączyć do ruchu ulicznego. Szober obserwował żonę ukradkiem i zdawał sobie sprawę, że jej choroba

się rozwija. Wyraz twarzy, spojrzenie, gesty i poszczególne słowa wskazywały na coś gorszego niż depresja. Patrycja zdradzała objawy choroby psychicznej.

– Nic ci nie zrobili? - upewnił się Szober.

– Powiedzieli, że zrobią ze mnie materac - odpowiedziała kobieta, patrząc smętnie przed siebie. - Co z nami będzie?

– Mam zoperować „Bonasereę” i tego Derskiego - odpowiedź doktora nie zaskoczyła jej. - Chcą zniknąć i dobrze mi za to zapłacą. Mamy fałszywe dokumenty i możemy z nimi żyć. Właściwie są prawdziwe, ale ich właściciele nie żyją.

– To kim teraz jestem? - w głosie kobiety nie było cienia ironii. To też wyglądało nienormalnie.

– Nazywasz się Joanna Pyzdra. - W ręce Szobera pojawił się dowód osobisty, który otrzymał od Derskiego. - Nikt cię nie skojarzy.

Potem wszystko potoczyło się szybko jak w kinie. Patrycja vel Joanna Pyzdra zaczęła wychodzić z mieszkania, spacerować, odwiedzać sklepy i rozmawiać z ludźmi. Mieszkanie znajdowało się w pobliżu szosy prowadzącej do willi, w której leczyli się po operacji obaj gangsterzy. Dzielnica była bardzo spokojna. Większość zabudowy stanowiły prywatne domy i kilkurodzinne, małe bloki. Wokoło rosły drzewa i kwiaty. Mimo to doktor Szober rozumiał, że stąpa po cienkim lodzie. Przede wszystkim jego żona zaczęła zachowywać się coraz bardziej nienormalnie. Z pozoru wszystko wyglądało jak dawniej. Kiedy jednak Patrycja zaczynała mówić, jej słowa zwracały niepotrzebnie uwagę. Nie pasowały do sytuacji. Doktor nie miał wątpliwości, że była to choroba psychiczna, która dzień po dniu pozbawiała kobietę tożsamości i utrudniała kontakt z mężem.

Przypadek sprawił, że doktor stracił zaufanie do gangsterów. Kilka dni po operacji, kiedy opuchlizna zaczęła powoli znikać, siedział z Rolką i Derskim na zadaszonym tarasie. Zbliżał się wieczór. Zwykle o tej porze Szober odwiedzał ich, aby sprawdzić szwy i gojenie. Wydawało się, że obaj go polubili. Po badaniu pili kawę, palili papierosy i słuchali muzyki z radia. Od czasu do czasu doktor przywoził ciastka, które łączywie zjadali. Częstym gościem była także córka „Bonasery”. Opowiadała o nowych inwestycjach i sytuacji na rynku nieruchomości. Przeważnie pojawiała się raz na dzień. Przywoziła jedzenie i zaopatrywała obu mężczyzn we wszystko, czego potrzebowali. „Bonasera” prosił ją, żeby nie przyjeżdżała, ale uspokajała go, że nikogo za sobą nie przyprowadzi. Pewnego wieczoru Szober był świadkiem rozmowy, która zburzyła jego spokój. Derski stawiał właśnie dzbanek z kawą na stoliku, kiedy przed domem zahamował samochód Beaty. Wybiegła zza kierownicy i jak zwykle ucałowała ojca na powitanie. Z wyglądu przypominała staruszkę sprzedającą na targu

jajka. Przebranie, charakteryzacja i sposób poruszania się idealnie do kogoś takiego pasowały. Usiadła na wiklinowym krześle i zdjęła perukę z chustką.

– Nikt cię nie śledził? - zapytał po raz setny „Bonasera”.

– W tym stroju? - zaśmiała się Beata. - To niemożliwe.

– Jesteś moim jedynym kontaktem z dawnym życiem - powiedział gangster, sugerując, że powinna być ostrożniejsza. - Jeżeli do nas trafią, to tylko przez ciebie...

– Jest jeszcze doktor - wtrąciła, gryząc ciastko z jabłkami. Szober, który właśnie wyszedł do łazienki, nadstawił uszu. Przez otwarte okno wszystko można było usłyszeć. Rozległ się głośny śmiech „Bonasery” i Derskiego.

– Chyba żartujesz... - Gangster dotknął swojej nowej twarzy i spojrział w lusterko, które od pewnego czasu zawsze przy sobie nosił.

Beata przestała jeść i potoczyła zdziwionym spojrzeniem po twarzach obu mężczyzn. Po chwili szepnęła:

– Nie zrobicie tego...

– Musimy, kochanie, musimy - Derski odezwał się tonem dobrego przyjaciela.

– Ale on ma już inne nazwisko i trudno go rozpoznać - próbowała powstrzymać okrucieństwo ojca.

– On po prostu wie - odparł twardo „Bonasera”.

– Czyli ja mam szczęście? - Spojrzenie Beaty sporo mówiło.

– Nie - zaprzeczył z uśmiechem „Bonasera”. - Ty masz wszystko. Moją krew i moje pieniądze. Już teraz. Jeżeli ryzykuję, to wyłącznie dla ciebie. Reszta nie ma znaczenia.

Szober wrócił błądy i zdenerwowany. Głównie na siebie, ponieważ wydawało mu się, że „Bonasera” nie zaryzykuje kolejnego morderstwa. Własna naiwność bolała najbardziej. Przyzwyczał się do obecności gangstera i wierzył, że są przyjaciółmi, że nie pozostaje im nic innego, jak wspierać się do ostatnich dni. Pomyłka piekła go od środka i pozbawiła resztek złudzeń. Martwił się o żonę, która, jak mu się wydawało, bez jego opieki zginie. Kiedy z uprzejmym uśmiechem kończył drugą kawę, wiedział już, że ma przed sobą jeszcze sporo do zrobienia. Gdzieś na dnie świadomości odżyła wściekłość na ludzi, którzy zagrażali Patrycji. „Bonasera” mimo woli ustawił się na linii strzału. W oczach doktora, skrytych za szklami okularów, narastało rozczarowanie.

## Rozdział IX

Prokurator nie ustępował. Po zniknięciu „Bonasery” i Derskiego zastanawiał się, w jaki sposób ustalić prawdę. Przestał myśleć o kompromitujących go taśmach i ponownie przystąpił do natarcia. Od kiedy „Peleryna” wybrał więzienie, a poszczególne gangi zaczęły wysadzać się w powietrze, Mann skupił się na jednym - na obserwowaniu Beaty Alond. Po zniknięciu Rolki i małżeństwa Szoberów odebrano



mu śledztwo. Teraz wykonywał mało znaczącą papierkową robotę. Rozgoryczony i zły, starał się odnaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia, aby rozwiązać obie łączące się sprawy i odzyskać szacunek do samego siebie. Instynktownie czuł, że tylko Beata mogła doprowadzić go do „Bonasery”, jeżeli tamten jeszcze żył. Tym razem było to jego prywatne śledztwo. Pożyczył od znajomych samochody i starał się nie spuszczać z dziewczyny oka.

Mann miał nadzieję, że zdoła wywinąć się z ewentualnych oskarżeń o współpracę z mafią i uśiłowanie gwałtu. Zdecydował się zaryzykować, uznając, że nie ma nic do stracenia. W ciemnościach i nocnej ciszy mieszkania nagrał na taśmę swoje wyjaśnienia i szczerze opowiedział o szantażu „Bonasery”. Gotowy materiał zapakował w kopertę, starannie zakleił i zaadresował do samego siebie. Następnego dnia wysłał przygotowany pakiet. Stemple pocztowe miały być niepodważalnym dowodem jego niewinności. Jeszcze wieczorem odebrał przesyłkę i schował na dnie szuflady. Wierzył, że teraz ma szansę na wyrwanie się z rąk gangstera.

Kolejnym zmartwieniem Manna były randki Beaty z „Rumbą”. Ochroniarz Rolki odwoził ją swoim samochodem do mieszkania w starej kamienicy, wchodził z nią na górę i oboje wracali do samochodu dopiero późno w nocy. Prokurator dostawał z zazdrości szału, ale postanowił wytrzymać i doprowadzić sprawę do końca. Szybko przekonał się, że stres miał wpływ na jego zdrowie, ponieważ w czasie jednej z sesji z prostytutką nie był zdolny do współżycia. Impotencja zaskoczyła go bardziej niż zniknięcie Rolki i Derskiego. Teraz miał jeszcze jeden powód, żeby zemścić się na gangsterze i przy okazji dobrać się do jego córki. Gdyby okazało się, że kłamała, mówiąc o zniknięciu ojca, byłby przynajmniej minimalny powód do jej oskarżenia. Prokurator miał nadzieję, że przy okazji wyjdą na jaw jeszcze inne nadużycia i w końcu prokuratura zleci mu jakąś poważną sprawę. Marzył o chwili, w której zaszantażuje „Bonasere” i jego córkę. W głębi duszy gotów był nie wnosić oskarżenia, byle tylko tych dwoje upokorzyć i od siebie uzależnić.

Wejście do starej kamienicy miało szereg dobrych stron. Prowadziło przez podwórko, niknęło w ciemnym korytarzu i rozplywało się na piętrach. Mann bez trudu zauważył, że dom miał drugie wyjście, i odpowiednio się zabezpieczył. Porozumiał się z dziećmi z podwórka, które miały natychmiast poinformować go, gdyby Beata próbowała opuścić budynek od tyłu. Za kilka batonów i butelkę soku pomarańczowego dzieci gotowe były

wyśledzić nawet perystaltykę jelit. W ten sposób Mann spędzał godziny pod kamienicą i czuł narastającą wściekłość. Kiedy widział „Rumbę” obejmującego ramieniem Beatę, z trudem powstrzymywał się, żeby nie wyjść z samochodu i nie rzucić tamtego na

chodnik. W takich chwilach nie zastanawiał się nawet, czy byłoby to możliwe. Zapominał o wyszkoleniu ochroniarza i myślał tylko o zemście.

Gdyby prokurator wiedział, że córka gangstera i jej ochroniarz grali przed nim komedię, z pewnością miałby poważne kłopoty z krążeniem. Beata rzeczywiście wynajmowała w kamienicy mieszkanie i naprawdę je odwiedzała. „Rumba” miał przykazane manifestować na ulicy intymność ich związku. Kiedy przekraczali próg mieszkania, wszystko ulegało zmianie. Beata i ochroniarz przebierali się za starych ludzi, wkładali na siebie ciężkie i grube łachmany, zniszczone buty i peruki. Ochroniarz doklejał sobie nawet siwą brodę. Kiedy wychodzili w kilkunastominutowych odstępach tylnym wyjściem, nikt nie mógł rozpoznać w nich młodych ludzi, którzy tam wcześniej weszli. Beata wyglądała tak staro i biednie, że nawet dzieci nie zwracały na nią uwagi. Od uznania za żebraczkę dzieliła ją wąska granica - nie śmierdziała.

Uczucia „Rumby” niebezpiecznie dojrzywały. Cicho i potajemnie zdobywały kolejne fragmenty jego podświadomości. Po rozstaniu z Patrycją ochroniarz czuł się opuszczony i samotny. Nie potrafił sobie z tym poradzić. Tęsknił, a rola fałszywego kochanka córki Zyg

munta Rolki dodatkowo go drażniła. Poza tym niewiele miał do roboty. Nudził się i wyszukiwał różne zajęcia. Mógł sobie na to pozwolić, ponieważ pieniądze zebrane w czasie pracy u „Bonasery” pozwalały mu żyć na przyzwoitym poziomie. Gangster bywał od czasu do czasu hojny i dawał swoim zaufanym ludziom bonusy. Pensja wypłacana co miesiąc przez Beatę Alond też była nie do pogardzenia.

Pewnego dnia „Rumba” nie wytrzymał i zapragnął zobaczyć Patrycję. Wmawiał sobie, że chce na nią tylko popatrzeć. Zamiast oddalić się w przebraniu biedaka, wszedł do wcześniej przygotowanego samochodu i pojechał za córką Rolki. Przed wynajętą przez jej ojca willą spędził trzy godziny; w końcu doczekał się przyjazdu doktora Szobera. Godzinę później udał się za jego samochodem i poznał ich miejsce zamieszkania. Stał na korytarzu w bloku i liczył piętra mijane przez windę. Potem wjechał na górę i zadzwonił do jednych z trojga drzwi. Trafił za drugim razem. Po uruchomieniu dzwonka zapalką schował się piętro wyżej i czekał. Szober rzeczywiście wyszedł ze środkowych drzwi i zawołał w głąb mieszkania:

– Dzieciaki wepchały nam zapalkę do dzwonka...

Potem była obserwacja okna, aż wreszcie zobaczył ją następnego dnia na ulicy. Szła właśnie do sklepu. Pod wpływem impulsu znalazł się pomiędzy półkami i niby przypadkiem na nią natknął. W letniej sukience w kwiaty jej figura wyróżniała się wśród innych kobiet, a włosy i zamyślona, jakby nieobecna twarz przyciągały spojrzenie. „Co za kobieta” - myślał „Rumba”, czując na dnie swoich oczu

wspomnienie pierwszego spotkania.

Poznała go i uśmiechnęła się. Trochę smutno i nostalgicznie. Stali przy półce z konserwami, badając się wzrokiem.

- Co za spotkanie! - odezwał się pierwszy. - Pani tu mieszka?

- Teraz tak - odparła z poważną miną. Sprawiała wrażenie kogoś, kto uporczywie nad czymś rozmyśla.

- Jestem w tym sklepie po raz pierwszy... - postanowił nie kłamać. - Zobaczyłem panią z samochodu i wszedłem...

- To chyba dobrze - westchnęła, dotykając dłonią jego ręki. - Potrzebuję przyjaciół.

- Ktoś pani groził? - zaniepokoił się „Rumba”, a jego myśli pobiegły w stronę pistoletu, który nosił w kieszeni kurtki.

- Nie, nie - uspokoiła go i na moment stała się sobą. - Czuję się samotna, panie Zenu... - pamiętała jego imię i wypowiadała je z dziwnym akcentem.

- A mąż? - odważył się zapytać.

- Ma swój świat. To dobry człowiek, ale chyba niewiele nas już łączy. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Żyjemy w pustce...

- Jeśli pani chce, to możemy się jeszcze spotkać - zaproponował, bojąc się jej reakcji.

- Jest pan pewien? - Znów zapadła się w siebie tylko znany świat. „Rumby” to jednak nie niepokoiło. Akceptował wszystko, co było z nią związane.

Spędzili ze sobą pół godziny. Niewiele rozmawiali, ale zupełnie im to nie przeszkadzało. Następne dni były bardziej urozmaicone. „Rumba” przyjeżdżał i zabierał ją do miasta. Bywali w kinie, w sklepach, spacerowali po ulicach, parkach i odwiedzali warszawskie baseny. Czasami zatrzymywali się nad Wisłą i patrzyli, jak wzdłuż rzeki przesuwiają się kajakarze. Gdzieś tam warczały motorówki, płynął prom wycieczkowy lub kołysał się ponton miejscowego wędkarza. Słońce i wiatr obiecywały więcej niż wyobraźnia. Oboje mieli wrażenie, że odpoczywają po ciężkim biegu.

Doktor zobaczył ich po raz pierwszy w dniu, w którym Zyga odwiedził Beatę. Rano, kilka minut po ósmej, w mieszkaniu córki „Bonasery” rozległ się dzwonek. Dziewczyna była w szlafroku. Otworzyła drzwi i omal ich ponownie nie zatrasnęła.

- Pogadajmy - rzucił Zyga, a jego natarte żelazem wąsy zakołysały się w powietrzu. Skinęła głową i wpuściła go do środka.

- Wie pan coś o ojcu? - udała zaskoczenie.

- Mnie nie musisz czarować - przerwał jej, siadając w fotelu. - Zaginął czy nie, wszystko mi jedno. Gorzej, że nie przekazał mi wszystkich kontaktów. Tak jak było

umówione. Kumasz trochę?

– Jeszcze nie - odpowiedziała i weszła do kuchni. - Kawy?

– Niech będzie - zgodził się łaskawie. - Musisz mi oddać wszystkie jego kwity. To, co masz... Notatki, kajety z adresami, kartki, zapiski. Cholera wie co jeszcze... Potrzebuję kontaktów, słyszysz? Twój ojciec mi to obiecał.

– Niczego takiego nie mam - Beata nawet nie próbowała udawać irytacji. - Sam pan wie, że prowadzę legalne interesy...

– Posłuchaj, córciu - jego głos stał się o ton za wysoki. - Ja muszę to mieć. Mam głęboko w dupie, jakie

interesy prowadzisz. Albo znajdziesz coś dla mnie, albo skończy się zabawa, rozumiesz? Za dużo trupów się porobiło, żebym odpuścił. Szczeniactwo chce mnie wykiwać i trzeba ich wziąć za mordę. A do tego potrzebuję kontaktów.

– Ojciec nie robił nigdy żadnych notatek - stwierdziła sucho.

– Jak poszukasz, to znajdziesz. I nie kombinuj ze mną, bo dawne czasy się skończyły. Tatusia nie ma i trzeba być grzecznym.

Kiedy później „Bonasera” poznał treść tej rozmowy, zbladł i wycedził przez zęby:

– Zrobię to osobiście. I poczekam, aż będzie miał pełne gacie...

Doktor Szober opuścił willę i udał się do domu. Dwie ulice dalej zobaczył żonę. Szła obok „Rumby” i z uśmiechem o czymś opowiadała. Był to moment, gdy poczuła się lepiej i chciała to wykorzystać. Szober przez dłuższy czas powoli za nimi jechał. Bez trudu rozpoznał, że dawny ochroniarz „Bonasery” zakochał się w jego żonie. Każde spojrzenie zdradzało miłość. Ona z kolei wydawała się szczęśliwa i oderwana od poczucia winy. Doktor nie ujawnił się, lecz przyspieszył i pojechał do domu. Miał wrażenie, że przypadek wymusza na nim decyzję, która nie zakładała powtórek. W ciągu kilku minut dowiedział się o sobie więcej niż w trakcie całego dotychczasowego życia. Ukłucie zazdrości towarzyszyło mu tylko przez chwilę, potem nadeszła chłodna refleksja. Nie miał wątpliwości, że jego czas dobiegał końca, że „Bonasera” nie wiązał z nim żadnej przyszłości. Może dlatego przywitał żonę słowami:

– Lubisz go trochę?

– Kogo? - była wyraźnie zaskoczona.

– „Rumbę” - celowo użył przezwiska ochroniarza.

– A, jego... -Teraz była naprawdę speszona. -Lubię... To dobry przyjaciel.

– Jesteś pewna?

– Nie jestem - przerwała i dokończyła nieobecny głosem: - ale to na pewno dobry przyjaciel.

Doktor objął ją ramieniem, przytulił i pocałował w policzek. „Ładnie pachnie” -

pomyślał i wtulił twarz w jej włosy. Wierzył, że miała jeszcze swoją szansę i nie powinien jej przeszkadzać.

Zyga nie uwierzył Beacie i ponownie pojawił się przed jej domem. Jego kierowca został w aucie i sięgnął do kieszeni po papierosy. Wtedy poczuł, że przez otwarte okno wsuwa się do środka gruby tłumik przykręcony do lufy pistoletu. Kluczyk ze stacyjki znalazł się w ręce napastnika. W tej samej chwili Zyga zobaczył przed sobą mężczyznę w długim płaszczu, który pokazał palcem, że trzyma w kieszeni broń. Kierowca, który pierwszy oddał swój pistolet, spokojnie czekał, aż Zyga wróci do samochodu i zajmie miejsce z tyłu. Mężczyzna w płaszczu usiadł obok niego. Właściciel pistoletu z tłumikiem zajął miejsce obok kierowcy i osobiście wsunął kluczyk do stacyjki.

– Co jest grane? - zapytał ze strachem Zyga.

Nikt mu nie odpowiedział. Obaj nieznajomi nakazali kierowcy jechać. Nosili ciemne okulary i zachowywali

się jak pracownicy zakładu pogrzebowego. Ten, który siedział z przodu, palcem pokazywał kierunek. Po godzinie znaleźli się w lesie w pobliżu Wisły. Wokoło było pusto, szumiały drzewa i śpiewały ptaki. Zyga z niepokojem patrzył na kieszeń, w której znajdowała się wycelowana w niego lufa.

– Nie wyłączaj silnika - rozkazał cicho „Bonasera”. Zyga cofnął się i zaczął nerwowo mrugać oczami.

– To, to... To ty? - wydusił z siebie.

– To on - odpowiedział mu z przodu Derski.

– Szefie, co wam odbiło? - głos Zygi zdradzał krańcowe wyczerpanie. - Mielście się wycofać...

– Czy wiesz, że mam tylko jedno dziecko? - „Bonasera” uśmiechał się, ale nikomu nie było wesoło.

– Szefie... - nagle Zyga zaciął się i zmienił taktykę. - W schowku mam dla ciebie prezent...

Derski wyjął kasetę z filmem pornograficznym. Na okładce było zdjęcie Lidii Motke. Jej twarz wyrażała ekstazę, a paznokcie wbijały się w plecy nagiego partnera aż do krwi. Tytuł i napisy były niemieckie. „Bonasera” udał, że niczego nie zauważył. Schował jednak szybko kasetę do kieszeni i zacisnął mocniej szczęki.

– Podaj mu szlauch - polecił Derskiemu, który razem z kierowcą wysiadł z samochodu.

Spod płaszcza Derskiego wysunął się gumowy wąż. Po chwili jego końcówka znalazła się w rurze wydechowej. „Bonasera” wysiadł i zatrzasnął drzwi, zostawiając szparę w oknie po swojej stronie. Osobiście wcisnął dymiący koniec szlauchu do środka

samochodu. Kierowca został popchnięty i po chwili znalazł się za kierownicą, na której posłusznie oparł obie ręce. Pistolety w kieszeniach płaszczy zostały skierowane na mężczyzn w samochodzie. Najmniejszy ruch oznaczał wystrzał. „Bonasera” bawił się nabojem rozpryskowym na oczach Zygi. Mijały minuty i spaliny powoli zasnuwały wnętrze samochodu. „Bonasera” do ostatniej chwili ludził się, że Zyga nie wytrzyma i spróbuje uciekać. Jednak jeżeli nawet tamten o czymś takim myślał, to nie zdążył się zdecydować. Stracił przytomność i nigdy już jej nie odzyskał. Kierowca i jego szef umierali ze strachem w oczach. Wydawało się, że zostali zahipnotyzowani, a ich ciała wypełnił wieczny lód.

„Co za widok?!” - zachwycił się Rolka. „Co za cudowny smak zemsty?!” - cieszył się. Wyobraził sobie radość córki, kiedy jej opowie, w jaki sposób ukarał Zyge. „Bonasera” czuł się kimś lepszym i pierwszy raz w życiu tak mocno odczuwał satysfakcję z zabijania. W tym momencie, gdyby mógł, wepchałby taką samą rurę ze spalinami do większości mieszkań na świecie. Wówczas zostałby tylko on, jego córka i kilkoro znajomych.

Godzinę później, z płaszcami spakowanymi w foliowe torby, obaj gangsterzy wrócili autobusem do Warszawy. Po raz pierwszy od wielu lat jechali komunikacją miejską i zastanawiali się, czy nie jest to najbezpieczniejszy sposób podróżowania. „Zemsta w dobrym stylu” - ocenił w myślach Rolka. Był z siebie zadowolony i zamierzał dać temu wyraz. Drażniło go jedynie wspomnienie kasety ze zdjęciem jego roznegliżowanej żony. Dawały o sobie znać męska ambicja i poczucie własności. Po wyjściu z autobusu wstąpili do jednej z najdroższych restauracji w mieście i zamówili obfitą kolację. Czuli się swobodni i anonimowi. Ich nowe twarze co najwyżej mogły się podobać lub nie. Żaden gangster ani policjant

nie zwróciłby na nich uwagi. W pewnym sensie i ku swojemu zadowoleniu przestali istnieć. Zanim całkowicie się upili, „Bonasera” zapytał:

- Wycieczka dookoła świata?
- Po jego trupie... - Derski podniósł kieliszek.
- Niech ci będzie. - Wódka zabulgotała w przelętku.
- Szkoda, że ludziom nie można ufać... Poza małymi wyjątkami, Jasiu... - W takich chwilach obaj zapominali, że zmienili również nazwiska. Przeszłość wracała i tak naprawdę to ona nadal liczyła się w ich życiu. - Szczęśliwej podróży.

W ten sposób los doktora Szobera został precyzyjnie określony. Banalnie i bez skrupułów. Pozostawało tylko pytanie: kiedy i gdzie?

Beatę Alond zdradził zapach perfum. To przez nie trójka dzieci z surowej warszawskiej kamienicy zastukała w okno samochodu prokuratora Manna. Kiedy kobieta pojawiła

się na podwórku i wkorytarzu, zapachniało lepszym i ciekawszym światem. Mężczyzna, który jej towarzyszył, nie zwracał na to uwagi. Niedługo potem Beata opuszczała budynek w stroju starej żebraczki. I wtedy właśnie jedno z dzieci skojarzyło jej zapach. Ze zdziwieniem odprowadziło wzrokiem zgarbioną i kulejącą kobietę. Powiedziało o tym starszym dzieciom, które skojarzyły fakty i szybko pobiegły w stronę prokuratora.

- Co tam? - Mann ocknął się z półsnu.
- Proszę pana... - dziewczynka mogła mieć dwanaście lat - da pan zarobić?
- Chyba o was nie zapominam - odpowiedział prokurator, wietrząc podstęp.
- Zapłaci pan? - wtrącił chłopiec, który poczuł perfumy Beaty.

-Ile?

- A ze stówkę... - wyrwało się małemu.
- Zależy za co...
- My wiemy. - Trzecie dziecko było chłopcem z kolczykiem w uchu.
- O czym? - Mann zainteresował się naprawdę.
- A da pan? - upewniła się dziewczynka. Skinął głową, a dzieci mu uwierzyły.
- Ta babka, co to pan kazał jej pilnować, to pachnie tak samo jak ta żebraczka... -

wypalił najmłodszy. - Naprawdę...

Prokurator obudził się z odrętwienia i natychmiast zrozumiał swoją naiwność. „Genialne - stwierdził z podziwem - genialnie wykombinowane...” Wyplacił dzieciom pieniądze i błyskawicznie ruszył z miejsca. Stara żebraczka już jednak gdzieś zniknęła i musiał zaczekać do następnego dnia. Tej nocy prawie nie spał. Słuchał muzyki, ćwiczył pompki, czyścił pistolet i wyglądał przez okno. Noc nie chciała szybko ustąpić, a minuty wydawały się długie jak lekcja religii. W końcu zdrzemnął się w fotelu i doczekał do świtu. Rano pojawił się w pracy tylko na dwie godziny, przerzucił papierki, wykonał kilkanaście telefonów, powiedział, że wychodzi w sprawach służbowych, i zniknął. Od kiedy prokurator Dacko przejął jego sprawy, przestano się z nim liczyć i traktowano jak kogoś, kto raz na zawsze stracił szansę na zrobienie kariery. Dodatkowy cios przyszedł tydzień wcześniej, ponieważ „Peleryna”

dogałał się z Dacką i postanowił zeznawać. W ten sposób ostatecznie upadł autorytet Roberta Manna, kurcząc się do wielkości majtek lalki Barbie.

Walki gangów na terenie całego kraju coraz mocniej eliminowały dawnych ludzi „Bonasery”, kreując nowe postacie i style działania. Potężna organizacja rozpadła się i słabła, ale wiadomo było, że po pewnym czasie znajdzie się ktoś, kto zrobi porządek i ponownie skupi władzę. Ostatnim akordem starej mafii była śmierć Romualda Falskiego. Gangster wyleciał w powietrze we własnej limuzynie, zapalając przyjemnie

szeleszczące cygaro. Ładunek był tak mocny, że z samochodu i ciał pasażerów pozostały tylko fragmenty. Po tym wszystkim „Peleryna” otrzymał od prokuratora propozycję współpracy jako wtyczka policji w europejskich grupach przestępczych. Szykowano mu wyjście na wolność, ponieważ dowody zebrane przez policję i prokuraturę miały okazać się niewystarczające. Prokuratorowi Dacce marzył się sukces na miarę zjednoczenia Niemiec. „Peleryna” miał dość więzienia, powtarzających się dni i bezsensownego oczekiwania na starość. Dlatego przemyślał układ z prokuraturą i zdecydował się na współpracę. Liczył na to, że pod płaszczykiem prawa zrobi kilka oplącalnych interesów i za kilka lat w chwale odejdzie na emeryturę.

O tym jednak Mann dowiedział się później.

Tym razem prokurator zaparkował samochód od strony podwórka. Chociaż był przygotowany na niespodziankę, w pierwszej chwili niczego nie zauważył. Gdyby nie palce

dzieci skierowane w plecy Beaty, nigdy nie zwróciłby na nią uwagi. Z trudem rozpoznał ją po ruchach bioder. Od czasu do czasu zapominała się i kusiła pośladkami. Wreszcie wsiadła do jednego z samochodów i odjechała. Śledził ją aż do willi, w której przebywali „Bonasera” i Derski. Kiedy zniknęła za bramą, wysiadł z samochodu i stanął na podmurówce parkanu. Obserwował taras ukryty pod zwisającymi gałęziami. Słońce zachodziło czerwoną kulą, stacając się coraz niżej za horyzont. Mann zaciskał dłonie na prętach ogrodzenia i zastanawiał się, kiedy mieszkańcy domu wyjdą na zewnątrz. Szczęście zachowało się jak zawodowy hazardzista. Najpierw zobaczył na tarasie ubraną w sportowe spodnie i bluzkę Beatę, później dwóch nieznanomych mężczyzn. Kogoś mu przypominali, ale wrażenie było bardzo mgliste. Nie potrafił przypomnieć sobie żadnych nazwisk. Potem został zauważony przez doktora Szobera, który przyjechał właśnie z nową porcją preparatu. Kiedy na tarasie pojawił się mężczyzna z brodą i w okularach, prokurator miał wrażenie, że przeżywa *déjà vue*. Uliczka była tak spokojna, że bez zwracania uwagi mógł oprzeć się o ogrodzenie, obserwować taras i przemyśleć sposób działania. Nie zdążył jednak nic wykombinować, ponieważ zapatrzył się na Beatę, która w kostiumie kąpielowym położyła się na leżaku dokładnie na wprost niego. Fala pożądania ponownie przyspieszyła mu tętno, a impotencja umarła śmiercią naturalną. Potem zobaczył dwóch nieznanomych mężczyzn. Podeszli cicho i bez ukrywania się. Zdażył jeszcze zeskoczyć z podmurówki ogrodzenia i udać, że szuka czegoś w kieszeniach spodni. Robił to z takim zaafowaniem, że nie zauważył igły, która wbiła mu się w plecy. Potem wydarzyło się coś, co zmieniło jego życie na zawsze.

Ocknął się i poczuł, że jest podłączony do kroplówki. Otworzył oczy i pojawił się ból.



Wydawało mu się, że przez jego twarz przejechał ciągnik. W powietrzu wyczuł zapach szpitala. Chciał zawołać i poprosić o wyjaśnienia, ale wargi zachowywały się jak dwa napompowane balony. Chyba jeszcze śni mi się jakiś koszmar - przeleciało mu przez głowę. Potem w pokoju pojawił się mężczyzna w masce chirurgicznej i w okularach. Mann z trudem przebijał się wzrokiem przez napuchnięte powieki i miał wrażenie, że już się gdzieś spotkali. Tamten pochylił się nad nim i pomruczał z zadowoleniem pod nosem. Znowu wróciła ciemność przerywana od czasu do czasu szarpiącym bólem. Doktor w masce nie odzywał się. Robił swoje i cicho wychodził. Pojawiła się za to Beata Alond, która zaczęła go pielęgnować. Mimo że się wstydził, nie mógł zareagować. Zanim po raz pierwszy samodzielnie wstał z łóżka, kilkakrotnie rozbierała go z piżamy i starannie myła. Czuwała także wtedy, gdy potrzebował skorzystać z basenu. Wyciągała naczynie spod łóżka i ostrożnie wsuwała pod jego siedzenie. Nie rozumiał tego, a wstyd doprowadzał go niemal do szaleństwa. Gdyby nie lekarstwa, zerwałby się i uciekł. Jednak jego przypadek z góry zakładał dłuższe leżenie. Ktoś zadbał o to, żeby przedwcześnie nie wybrał się na spacer. Czuwał nad tym odpowiedni zestaw środków uspokajających. Dlatego mimo ciągłego wstydu Mann nie był w stanie wykazać się jakąkolwiek aktywnością. Kiedy wreszcie mógł się odezwać i ból złagodniał, zorientował się, że nie leżał w szpitalu.

- Gdzie ja jestem? - przywitał wchodzącą Beatę.
- O, już mówisz... - ucieszyła się. - Miałeś wypadek i musieliśmy cię ratować...
- Ratować? - zdziwił się i zarazem przestraszył. Zdał sobie sprawę, że jego głos nie brzmiał tak jak dawniej. Teraz był chropawy i niski, jakby naśladował Louisa Armstronga. Odchrząknął i spróbował jeszcze raz. - Nic nie pamiętam... - jednak głos nadal pozostawał obcy.

- Wypadków zazwyczaj się nie pamięta - uspokoiła go dziewczyna. Ubrana była w białą sukienkę i sandały. Włosy upięła do góry, a w uszy wsunęła małe kolczyki z brylantami. Jej ciało było opalone i pachniało kremem. - Głodny jesteś?

Dopiero teraz zauważył, że kropłówka zniknęła. Podniósł się na łokciach i spróbował wstać, ale zakręciło mu się w głowie i z powrotem opadł na poduszkę.

- Co wy mi dajecie? - zapytał, dotykając czoła. Pod palcami poczuł zgrubienia i szwy. - Miałem operację? Coś z głową?

Usiadła przy łóżku i wzięła go za rękę. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że jego paznokcie były krótko obcięte. Nie rozumiał jej zachowania, a na usta cisnęły mu się dziesiątki pytań. Kiedy pochyliła się do przodu i zobaczył z bliska jej ciało, nabrał powietrza i powoli wypuścił. „Znowu mnie podpuszcza” - pomyślał przez chwilę. Ona jednak zaczęła głaskać jego dłoń i uważnie przyglądać się twarzy.

- Odpowiesz mi? - ciekawość o mało go nie rozerwała.  
- Tak, miałaś operację, ale nie głowy, tylko twarzy... - wyjaśniła niemalże erotycznym szeptem. - Bierzesz leki i dlatego jesteś osłabiony. Teraz już będzie tylko lepiej...

- Gdzie jestem?

- W prywatnym domu - odpowiedziała krótko. - Masz dobrą opiekę.

- A ten facet w czapce na twarzy? - przypomniał sobie tajemniczego mężczyznę w okularach.

- To lekarz. Nie chciał być rozpoznany.

- Co wy mi zrobiliście? - Jego spojrzenie pobiegło w dół, w okolice krocza. Zauważyła to i uśmiechnęła się szeroko.

- Nie bój się, tam też wszystko w porządku - stwierdziła. - Wiem, bo cię myłam.

Na samo wspomnienie zrobiło mu się jeszcze bardziej wstyd. Zastanawiał się, czy zauważyła, że się zaczerwienił.

- A co z moją twarzą? - raz jeszcze dotknął szwów.

- Jest nowa - odparła bez zmrużenia powiek, tak jakby czekała na to pytanie od dawna.

- Jak to nowa? - zdziwił się i zaniepokoił. - Podaj mi lusterko...

- Lekarz musiał ci przeprowadzić operację plastyczną. - Ton jej głosu zdradzał napięcie. - Twarz goi się dobrze i za miesiąc nie będzie żadnych śladów. Na pierwszy rzut oka możesz się nie rozpoznać. Poza tym działają jeszcze środki znieczulające...

- Lusterko - powtórzył z naciskiem. - Daj mi lusterko!

Oglądał się długo i w milczeniu. Widać było, że starał się zachować spokój. W końcu opuścił lusterko i utkwiał wzrok w suficie. Beata nie wypuszczała jego dłoni ze swoich rąk.

- Nie poznają się - odezwał się jeszcze bardziej zmienionym głosem.

- Po operacji to normalne - próbowała go uspokoić. - Opuchlizna szybko zniknie i będziesz zadowolony. Wyglądasz naprawdę dobrze.

- A co z moim głosem? - w pytaniu czuć było irytację.

- Teraz jest dużo ciekawszy - oceniła, kokietując go mrugnięciem powiek.

Miała rację. Sama wybrała dawcę. Osobiście wyjechała z doktorem Szoberem na ulice Warszawy i poszukała odpowiedniej twarzy. „Bonasera” od początku był zdecydowany doprowadzić swój plan do końca. Nie przewidział tylko, że jego córka zakocha się w prokuratorze i całkowicie zaangażuje w operację. Dlatego został zmuszony do zaakceptowania twarzy, jaka spodobała się Beacie. Wykorzystała plan ojca i uczyniła z Manna mężczyzną o regularnych i ciekawych rysach. Brzydota zniknęła - pojawił się

ktoś, na kogo lubiła patrzeć i kto ją pociągał. W tej chwili nie przeszkadzała jej ani łysina, ani chuda, żylasta sylwetka. Przystojna twarz decydowała o reszcie, czarowała ją i pozbawiała cynizmu. Mężczyzna, który ją stracił, został zamurowany w piwnicy. Miał trzydzieści kilka lat, nosił drogi garnitur, a jego skóra była tak wypielegnowana, że można ją było sfotografować do podręcznika medycyny. Śniada cera upodabniała go do latynoskiego kochanka, a złota bransoleta na przegubie ręki zdradzała coś więcej niż fantazję. Wyglądał świetnie - i to go zgubiło.

Informację o zaginięciu prokuratora Roberta Manna kilkakrotnie podawały gazety, radio i telewizja. Wiadomości o poszukiwaniu mężczyzny o wyglądzie latynoskiego kochanka nie wyemitowała ani razu nawet lokalna stacja. Obu zaginionych łączyło jedno - nigdy nie mieli się odnaleźć.

Problem pojawił się w chwili, gdy Mann zobaczył w telewizji swoje zdjęcie i informację o zaginięciu. Do tej pory starał się nie wychodzić na zewnątrz, ufając w ostrzeżenie doktora, że organizm musi się najpierw wzmocnić i uodpornić przed zarazkami. Godzinami oglądał telewizję, czytał i czekał na odwiedziny Beaty. Przyzwyczał się do milczących wizyt lekarza w czapce zasłaniającej twarz i nie próbował tego zmieniać. Czuł się coraz lepiej i miał nadzieję, że szybko wyjaśni podejrzaną sytuację i wróci do pracy. Poinformowano go, że w domu nie ma telefonu stacjonarnego, a o komórkowych może zapomnieć, ponieważ w tym miejscu nie odbierały sygnału. Nie uwierzył i czekał na dzień, w którym poczuje się na tyle dobrze, żeby wyjść na pierwszy spacer i wrócić do normalności. Wtedy właśnie dowiedział się z telewizji, że zaginął i trwają jego poszukiwania. Kiedy zapytał o to zamaskowanego doktora Szobera, nie otrzymał odpowiedzi, lecz zapisaną kartkę papieru.

- To recepta i pana przepustka do życia - odezwał się szeptem doktor. - Proszę ją przepisywać u lekarza i realizować w aptece. Jeżeli pan to zgubi, nie będę mógł w niczym pomóc. Wyjeżdżam. Prawdopodobnie już się nie spotkamy. Proszę pamiętać, że uratuje pana tylko absolutna dyskrecja. Preparat, który panu przepisałem, oficjalnie nie istnieje... Rozumie pan? Jest przeznaczony tylko dla pana.

Szober odszedł, a prokurator przeleżał kilka godzin, patrząc z przerażeniem w sufit.

- Chcę usłyszeć prawdę - powiedział do Beaty, która jak zwykle przyszła o szóstej wieczorem.

Oceśniła go spojrzeniem i uznała, że jest gotów. Tym razem usiadła w fotelu. Doszedł już do siebie, a bliźni prawie zniknęły. Wglądał interesująco i znacznie młodziej niż przed operacją.

- Dobrze, wszystko ci powiem - zaczęła stłumionym głosem. Dzień był chłodny, więc założyła spodnie i luźny sweter. - Nosisz twarz człowieka, który nie żyje. Umarł.

Twoje struny głosowe zostały podcięte i masz inny głos. Nikt nie jest w stanie cię rozpoznać. Jako prokurator przestałeś istnieć...

– Co ty... Co ty gadasz? - Jego oczy przypominały kółka dzieciennego wózka. - Nie róbcie sobie ze mnie żartów. I tak widzę, że coś tu nie gra...

– Powiedziałam prawdę - potwierdziła kiwnięciem głowy Beata.

– Po co to wszystko? - Nawet grymas jego ust był teraz interesujący. Był męski i bardzo zmysłowy.

– Nie chciałam, żebyś zrobił coś głupiego - wyjaśniła. - A poza tym teraz mi się naprawdę podobasz...

– Udowodnię, że żyję - przerwał jej ze złością. - Ani głos, ani twarz nie przeszkodzą mi, słyszysz? Analiza zdjęć, dokumenty, linie papilarne, znajomi, przyzwyczajenia, zawodowa wiedza. Tego nie można zmienić i zapomnieć.

– Twoje mieszkanie jest puste, a zdjęcia i dokumenty spalone - dodała. - Masz szansę zacząć nowe życie... Ze mną.

– Chcesz powiedzieć, że ci się podobam?

– Tak - skinęła głową. - Sama wybrałam ci twarz.

– Boże... - westchnął ciężko. - Czy twój ojciec żyje? - zmienił nagle temat. Domyślił się, że „Bonasera” skorzystał z okazji i tak samo zmienił wygląd.

– Dostaniesz milion dolarów, nowe mieszkanie i dobry samochód - kontynuowała cierpliwie. - Twoje nowe dokumenty będą autentyczne. Będziesz mógł zająć się podróżowaniem, czytaniem, robieniem tego, co tylko zechcesz. Będziesz całkowicie wolny.

– Robisz to dlatego, że ci się podobam?

– Oczywiście - zaśmiała się wesoło. - Zawsze mi się podobałeś. Myślisz, że spędzałabym z tobą tyle czasu, gdybyś mi się nie podobał? Lubię cię, bo jesteś inteligentny i masz swoje zdanie. A poza tym nie nudzisz mnie...

– Dajesz mi dużo pieniędzy - szepnął i podszedł do okna. W szlafroku wyglądał jak bokser przed walką.

– Nie ja - odparła. - Ktoś inny. Za twoje poświęcenie. Po prostu zarabiasz te pieniądze w uczciwy sposób. Nie dostajesz ich, ale zarabiasz, rozumiesz?

Słowo „zarabiasz” zabrzmiało uczciwie i przekonująco. „Aż za bardzo” - westchnął w duchu prokurator.

– Poza tym jesteś niezależny i nie musisz korzystać z mojej łaski. Krótko mówiąc: do końca życia jesteś ustawiony. Jeżeli zrezygnujesz, to zgnijesz w biedzie jako posmiewisko całego społeczeństwa. Zrobią z ciebie frajera, który zmienił się we Frankensteina i odbiła mu palma. Będą cię pokazywać w telewizji, fotografować w

ubikacji, zaglądać pod kołdrę i wymyślać na twój temat dowcipy. Może nawet zrobią o tobie film... No, zapomniałam o kolegach z pracy. Będą się nieźle bawić, prawda?

– Mam wybrać teraz? - Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Możesz w ogóle nie wybierać - odpowiedziała i z premedytacją zachowała się dokładnie tak, jak w niektórych serialach o miłości. Zdjęła sweter, pod którym była całkiem naga, i poprawiła włosy.

W tej samej chwili Mann podjął decyzję. Podeszedł do niej i delikatnie, jakby masował sobie opuszki palców, dotknął jej piersi. Czuł, że jego męska słabość mija i życie znów staje się piękne.

Zanim poszli do łóżka, Beata zamknęła drzwi na klucz. W uszach „Bonasery” i Derskiego, siedzących w salonie, zgrzyt zamka zabrzmiał jak obietnica zmartwychwstania. Mogli opuścić dom i usunąć się bezpiecznie z życia Beaty, mogli zatrzeć ślady i zapomnieć o przeszłości. Świat czekał i zamierzali z tego skorzystać.

Doktor Szober pochylił się nad żoną i szepnął:

– Musimy porozmawiać...

Podniosła oczy znad książki i uważnie mu się przyjrzała. Teraz byli starymi przyjaciółmi, którzy po swojemu wypełniali sobie kolejne dni. Doktor nie wyglądał dobrze. Pod oczami miał worki, a jego oddech świadczył, że znów zaczynał pić. Leżeli obok siebie na kanapie i czytali. On kolorowe magazyny, on podręcznik farmakologii.

– Czy lubisz tego... Zenka? - zapytał niby od niechcienia.

– Co za pytanie? - próbowała zażartować. Nigdy w ten sposób na ten temat nie rozmawiali. Wydawało się, że akceptował jej kontakty z „Rumbą”, a może nawet było mu to na rękę.

-Tak?

– Tak - odpowiedziała zaintrygowana.

– To dobrze - ucieszył się szczerze. - Zadzwoń do niego. Chcę z nim porozmawiać...

Nie dyskutowała i zrobiła to, o co prosił. Po dwudziestu minutach pojawił się „Rumba”. Pomyślała, że musiał jechać jak szalony. Obaj mężczyźni przywitani się, po czym Szober poprosił:

– Kochanie, czy mogłabyś zostawić nas na godzinę samych? Przepraszam cię, ale to dla mnie ważne...

Patrycja wstała i bez słowa skierowała się do drzwi. Jeżeli nawet miała pytania, to postanowiła zadać je później. Założyła kurtkę, zabrała ze sobą parasol i wyszła. Doktor pokazał „Rumbie” hotel i podeszedł do barku.

– Whisky, wódka, koniak? - mówił miłym i przyjaznym głosem. Na pewno nie

przypominał zazdrosnego męża.

„Rumba” odetchnął i ruchem głowy odmówił. Doktor nalał sobie wódki i usiadł przy stole.

– Kocha pan moją żonę? - był bezpośredni aż do bólu.

– No, wie pan... - ochroniarz usiłować zachować spokój, ale zrobiło mu się wstyd.

– Tak czy nie?

– Skoro pan pyta... Dobrze, odpowiem panu. Kocham Patrycję, ale do niczego jej nie namawiałem.

– To dobrze, że ją pan kocha - kontynuował doktor. - Czy ona może na pana liczyć? Wie pan, o czym mówię... Tak naprawdę liczyć! Czy ona się tylko panu podoba i nic więcej?

– Dziwne pytania pan zadaje. - „Rumba” pierwszy raz w życiu uczestniczył w podobnej rozmowie; ścisnęła go za szyję i odbierała spokój. Tym bardziej że nie wiedział, dokąd zmierzała.

– Jeżeli pan ją kocha, to proszę mi przysiąc, że zaopiekuje się pan nią aż do śmierci.

– Co pan opowiada, doktorze?

– Przysięgnie pan czy mam znaleźć dla niej innego opiekuna? - nie ustępował Szober.

– Ktoś panu grozi!? - „Rumba” zaczął kojarzyć fakty.

– Przysięga pan?

– Tak, jestem zakochany w pańskiej żonie i zależy mi na niej - wydusił z siebie ochroniarz. - Kocham ją, ale nie chciałem się wtrącać w wasze małżeństwo. Samo tak wyszło...

– Musi pan ją zabrać i zniknąć - w ten sposób mógł mówić człowiek, który nienawidził pogrzebów. - „Bonasera” będzie chciał mnie zlikwidować i na pewno to zrobi. Boi się i chce zatrzeć wszystkie ślady. Dziwne, że nie sprzątnął dotąd własnej córki... - żart zabrzmiał cierpko i bez echa. - Być może i do pana spróbuje się dobrać... „Rumba” spoważniał i błyskawicznie ocenił sytuację. Pokiwał głową i sucho stwierdził:

– Wyjedziemy.

– Żona ma pieniądze...

– Ja też - uciął szybko ochroniarz. - Zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa.

– Proszę pilnować, żeby brała lekarstwo - ciągnął doktor. - Zostawię jej receptę. - Gwałtownie posmutniał. - Najlepiej wyjedźcie za granicę. Przynajmniej na trzy miesiące...

– Jeżeli pańska żona się zgodzi, to jutro wyjedziemy - odpowiedział „Rumba”.

On jeden wiedział naprawdę, czym groził strach „Bonasery”. Gangster był jak księgowy, u którego wszystkie liczby musiały się zgadzać. Jeżeli w równaniu coś nie wychodziło, należało je uprościć, i to w każdy możliwy sposób. Potem pojawiał się wynik, który nie przewidywał poprawek. W języku Zygmunta Rolki nazywało się to dodawaniem i odejmowaniem, a znak minus w takim równaniu przypominał trumnę. Był tak samo cichy i wymowny.

Obie prostytutki dostały po pięćset dolarów i zadowolone opuściły mieszkanie „Bonasery”. Tym razem gangster wprowadził się na krótko do pięciopokojowego apartamentu w centrum miasta. Wszystko było tam urządzone i przygotowane na przyjazd lokatora. Młode dziewczyny wróciły „Bonasery” życie. Wymasowany i zaspokojony postanowił ostatecznie zamknąć rozdział z doktorem Szoberem. Tylko on znał prawdę i stanowił potencjalne zagrożenie. Derski był bezpieczny, ponieważ jechał na tym samym koniu, a ukochana córka była poza jakimkolwiek podejrzeniem. Oczy gangstera natrafiły na butelkę

z preparatem. Była pełna i zapowiadała dużo szczęśliwych dni. „Bonasera” otrzymała ją od doktora rano, tak jak prosił. Poinformował Szobera, że zamierza na dłużej wyjechać i martwi się o lekarstwo. Tamten rzucił jakiś żart, usiadł przy stole i od ręki napisał receptę. Kiedy zniknął za drzwiami, „Bonasera” zadzwonił do agencji i z radości zażyczył sobie dwie dziewczyny. „Młode i ładne” - zastrzegł groźnie. Miał receptę i czuł się wolny. Doktor własnoręcznie podpisał na sobie wyrok śmierci. „Naiwny frajer” - pomyślał gangster, sięgając po słuchawkę.

Kilka godzin później Szober wszedł do swojego samochodu i wyjął z kieszeni kluczyki. Dochodziła jedenasta w nocy i lokal, w którym siedział, powoli pustoszał. Ostatni goście kończyli spóźnione kolacje, dopijali kolorowe drinki i udawali się do domów. Uliczka, na której zwykle było ciasno, także opustoszała i nabrała romantycznego charakteru. W takich to okolicznościach trafiły doktora Szobera kule wystrzelone z pistoletu z tłumikiem. Zabójca czekał na odpowiedni moment. Skórzane rękawiczki cicho zaskrzypiały na spущie, a szary prochowiec zaszeleścił, kiedy broń wracała do kieszeni. „Bonasera” wysiadł z samochodu i pochylony przeszedł na drugą stronę jezdni. Derski włączył silnik skradzionego przed chwilą samochodu i spokojnie odjechali. Pięć ulic dalej przesiedli się do swojego wozu i uznali sprawę za zamkniętą.

– Jak to przyjął? - zapytał ironicznie Derski.

– Bardzo spokojnie - odpowiedział w tym »«mym stylu „Bonasera”. - Dostał przystawkę, zupełną, drugie (Ulli) i deser. Żarłok... Kto by pomyślał, że pan doktor mini inki spust? Kto by pomyślał...?

Zygmunt Rolka nie miał jednak racji. Doktor traktował przewód pokarmowy bardzo

poważnie. Wynaleziony przez niego preparat w sensie odżywczym nie zasługiwał na uwagę, ale miał inne zalety - był skuteczny. Szober podarował obu gangsterom receptę, w której zmienił nieznacznie jeden ze składników. Dzięki temu granica dzieląca ich od śmierci została zlikwidowana. Recepta dla „Bonasery” zabezpieczała przeszczep, ale nie broniła przed bakteriami. Szober raz jeszcze pozwolił sobie na medyczny żart, wyrafinowany i złośliwy jak rak. Derski i Rolka mieli umrzeć na coś całkowicie prozaicznego - na zwykłe przeziębienie lub jedną z chorób wieku dziecięcego.

Instruktor krav magi Henryk Zonenfeld przyglądał się prokuratorowi Mannowi, który wykonywał właśnie kolejną technikę. Nie poznał swojego ucznia, a tamten się nie przedstawił. Mann zapytał, czy może poćwiczyć, i po otrzymaniu zgody wszedł na salę. Sposób, w jaki wykonywał poszczególne uderzenia, zdradzał wysokie umiejętności. Instruktor przyglądał się kolejnym ruchom i zaczynał wątpić w to, co widział. Rozpoznawał swoją szkołę, rozpoznawał technikę Roberta Manna, ale zupełnie nie pamiętał twarzy i głosu swojego dziwnego gościa. Kiedy tamten skończył, trener podszedł do niego i zapytał wprost:

- Czy pan kiedykolwiek u mnie trenował?

- Zawsze. - Mina Manna wyrażała rozbawienie. - Wszystkiego nauczyłem się od pana.

- Powiedziałbym, że widzę mojego ucznia. Gorzej, że go nie poznaję. Ćwiczy pan dokładnie tak, jak pewien prokurator...

- Nazywam się Piotr Tajski - kłamstwo nie było proste. Nawet on nie potrafił ocenić, czy dokumenty dostarczone przez Beatę były całkowicie pewne. Wydawało mu się, że dowód osobisty, paszport i prawo jazdy zostały wykonane wzorcowo, a może nawet były autentyczne.

- Dziwne - pokiwał głową trener. - Ma pan postawę Roberta, jego ruchy i sposób zadawania uderzeń... Dziwne. Pierwszy raz z czymś takim się spotykam...

- Chciałbym z panem pracować - wtrącił nagle Mann. - Mogę prowadzić treningi, obozy, promować klub, zdobywać nowych uczniów...

Zonenfeld popatrzył na prokuratora bardzo uważnie, w końcu kiwnął głową i odparł:

- Nie wiem, co cię, bracie, kręci, ale nie będę ci przeszkadzał - przejście na „ty” odbyło się automatycznie.

- Powiedzmy, że jesteś Piotr, że nie znałeś Roberta i nie chcesz dużo o sobie mówić. Ja tam swoje wiem. Powiedziałeś, że chciałbyś mi pomagać. Dobra, załatwione. Zastanowię się, ile mogę ci zapłacić...

- Chcę panu pomagać nieoficjalnie - wyjaśnił Mann. - Bez papierów, ubezpieczenia i tego całego podatkowego chłamu. Jestem instruktorem, który z panem ćwicz. Nic



więcej.

- W porządku - zgodził się Zonenfeld. -I tak zawsze tu jestem, więc niczego nie wygniuchają. Kiedy chcesz zacząć?

- Jak najszybciej.

Po trzech miesiącach nieobecności Mann zamierzał odnaleźć swoje miejsce. Przemysłał sobie wiele spraw i wyznaczył nowe cele. Pogodził się z utratą naturalnego wyglądu, stanowiska i dawnych kolegów. Zaakceptował powtórne narodziny jako coś pozytywnego. Nie wdawał się w żadne moralne dociekania, starając się zachować dystans do samego siebie. Kontakt z Beatą wyzwolił w nim całkowicie nowe upodobania. Zrozumiał, że milion dolarów, mieszkanie i dobry samochód pozbawiły go jakichkolwiek zależności. Nie musiał słuchać szefów, obawiać się niezadowolenia ministra lub bez przerwy myśleć o pieniądzach. Obecna tożsamość pozwalała mu doświadczać przyjemności, o jakich nawet nie marzył. Poza tym teraz podobał się sobie w lustrze i czuł satysfakcję, widząc pełne akceptacji spojrzenia obcych kobiet. Korzystał z życia i coraz częściej powtarzał Beacie, że gotów jest wystawić jej ojcu pomnik. Brzmiało to o tyle dwuznacznie, że kilka dni po ich wyjeździe na wycieczkę za granicę „Bonasera” zachorował na gripę i nagle zmarł. Zostali o tym zawiadomieni przez Derskiego, który dogorywał w swoim łóżku na ospę.

Celowo zmodyfikowany preparat doktora Szobera wysterylizował organizmy obu gangsterów do granic wytrzymałości. Potem nastąpiło spotkanie z bakteriami i nieuleczalna choroba. Mann z Beatą zdążyli wrócić, pochować Zygmunta Rolkę i spotkać się z Derskim. Umierający gangster przypominał różowy balon. Sapał, jęczał i momentami majaczył pod wpływem temperatury. Zanim lekarze zorientowali się w sytuacji, było po wszystkim. Derski stracił przytomność i już jej nie odzyskał. Przed śmiercią wzbogacił konto Beaty o kolejne

miliony dolarów. Dziewczyna poznała hasło i nazwę szwajcarskiego banku w Zurychu. Przypadkowo dowiedziała się również, jaki los spotkał Lidię Motkę. Zobaczyła ją w jednej z migawek w serwisie informacyjnym, idącą obok „Peleryny” w futrze, za którym nie oglądali się tylko niewidomi. Gangster na usługach policji miał się dobrze i robił wszystko, aby świat przestępczy podziwiał go bardziej od „Bonasery”. Posiadając jego kobietę, rósł we własnych oczach i wydawało mu się, że zdobywał punkty u innych. „Jestem najlepszy” - wmawiał sobie, obejmując ostentacyjnie Lidię Motkę. I nikt temu nie zaprzeczał. „Bonasera” nie żył, a „Peleryna” zarabiał coraz większe pieniądze i czuł się całkowicie bezkarny.

Gdyby po upływie roku Patrycja Szober szczerze porozmawiała z Beatą Alond, obie uznałyby, że życie spletało im przyjemną, ale także trochę przewrotną niespodziankę.

Prawdopodobnie zgodziłyby się, że podobnie skomplikowane były losy bohaterów wieloodcinkowych oper mydlanych. Do rozmowy jednak nigdy nie doszło. W dniu Święta Zmarłych, kiedy wiatr z deszczem nikogo nie oszczędzał, obie kobiety spotkały się, ale nie zamieniły nawet słowa. Minęły się na cmentarzu, gdzie odwiedziły swoich zmarłych. Patrycja wracała z grobu Wiktora Szobera, pochowanego na koszt miasta pod nazwiskiem nieznanego włóczęgi z dworca. Beata szła w kierunku pomnika, na którym dłuto kamieniarza wykuło obco brzmiące słowa: Michał Dudacz. Obu kobietom towarzyszyli mężowie. Być może nie zwróciłyby na siebie

uwagi, gdyby nie fakt, iż obie były w zaawansowanej ciąży. W kroplach deszczu i światłach płonących zniczy wystające brzuchy przypominały kopuły piaskowych zamków. Panie uśmiechnęły się nawet do siebie, wyrażając w ten sposób rozbawienie, mężczyźni udali, że niczego nie zauważyli. Jednak w spojrzeniach, które przez sekundę ich połączyły, kryło się zarówno zaskoczenie, jak i niepokój. Beata rozpoznała „Rumbę”, ale jej twarz pozostała nieprzenikniona. Przeszłość i sprawy zawodowe, które już dawno przebrzmiały, nie miały prawa powrotu. „Rumba” rozpoznał Beatę i zachował się tak samo. Z zawodową obojętnością przesunął wzrok na obcą twarz prokuratora. Mann natomiast skojarzył ochroniarza i przez sekundę ogarnęła go niepewność, tak jakby na jego oczach spotkało się nagle życie doczesne z życiem wiecznym. Po chwili jednak wrażenie przeminęło. Tylko światła cmentarnych lampek przypominały, że nie wszystko jeszcze jest skończone i nawet zapowiedź nowego życia nie zmieni przeznaczenia. Motyw przeszłości gasł wraz z krokami ludzi, którzy nie mieli się już nigdy spotkać. Chcieli być szczęśliwi, zapomnieć i korzystać z życia.

Kiedy Patrycja wsiadła do samochodu i zmęczona oparła głowę o zagłówek, z jej torebki wysunęło się opakowanie z czekoladowymi paluszkami. Dokładnie takimi, jakie lubił jeść jej nieżyjący mąż. Przedarła kolorową folię i patrząc w zamyśleniu przed siebie, odgryzła duży kawałek. „Rumba” spojrział na nią zdziwiony i odezwał się stłumionym głosem:

- Mówiłaś, że nie lubisz słodczy...
- Dzisiaj lubię - odpowiedziała refleksyjnie. - Tylko w ten dzień, kochanie...

Ochroniarz skinął głową i w milczeniu sięgnął po jeden z paluszków. Nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił, ale czuł, że w ten sposób wyrażał coś więcej niż zwykłą miłość do żony. Zauważyła to i dotknęła jego dłoni. Powoli podniosła ją i położyła sobie na brzuchu. Za każdym razem, gdy słodki smak czekolady rozplýwał się w jej ustach, miała wrażenie, że człowiek, który poświęcił dla niej własne życie, jest blisko i nie pozwoli jej skrzywdzić. Podobnie jak mężczyzna, który był teraz jej mężem. Dzięki niemu coraz częściej wracała do rzeczywistości i zaczęła rozmyślać o przyszłości. W

miarę zbliżania się dnia narodzin, choroba cofała się, a koszmary znikaly. Ważne stawało się dziecko, które od czasu do czasu kopało ją w brzuchu, jakby chciało dać znać, że już wkrótce jej uczucia zostaną w pełni zaspokojone.

# Obudzisz Twarzy...?

Złodziej twarzy to historia chirurga plastycznego i jego niezwykle pięknej żony. Pewnego dnia twarz kobiety zostaje nieodwracalnie oszpecona w wypadku lotniczym. Mąż decyduje się zabić przypadkową dziewczynę, aby dokonać przeszczepu... Od tej chwili wszystko ulega zmianie. Uciekając przed prokuratorem, małżeństwo wiąże się ze światem przestępczym. To jednak nie jest ich największy kłopot, towarzyszy im coś znacznie gorszego.

Powieść trzyma w napięciu do ostatniej chwili. Poza dynamiczną akcją i wyrazistymi bohaterami wyróżnia się także ironicznym

## JACEK DĄBAŁA ZŁODZIEJ; TWARZY

poczuciem humoru. Na tle pozornie prostej historii sensacyjnej autor przedstawia znacznie poważniejszą problematykę - zagrożenia kryminalne związane z przeszczepami twarzy.

Jacek Dąbała - autor wielu powieści, scenarzysta, wieloletni dziennikarz telewizyjny - tym razem wkracza w mroczny świat przypominający Raymonda Chandlera. W dynamicznej, napisanej w filmowym stylu powieści zadaje pytania, przed jakimi musi stanąć każdy, kto otrzyma nową twarz.

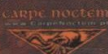
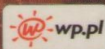
ISBN 978-83-6040-01-6



9 788360 504017

www.redhorse.pl

Patroni mediów



Wylacny  
dystybutor



24,99 zł\*

\*cena sugerowana

